ŚWIATŁO

CZASOPISMO DLA RODZIN POLSKICH

WYDAWCA I REDAKTOR:

Ks. MARCELI DZIURZYŃSKI

ROCZNIK II. TOM II.

ZA DRUGIE PÓŁROCZE 1910 ROKU.

KRAKÓW. – NAKŁADEM Ks. M. DZIURZYŃSKIEGO.

Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

SPIS RZECZY.

ŚWIATŁO

pismo powieściowe i popularno-naukowe

wychodzi **raz** w miesiącu — około dnia **1-go.**

Wydawca i redaktor: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

Rocznik II. (Półrocze II.) — **Numer 1.**
(Za lipiec 1910 r.).

Adres: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie
ulica Powiśle L. 12.

KRAKÓW.
Nakładem Ks. M. Dziurzyńskiego.
Czcionkami Drukarni Związkowej pod zarządem A. Szyjewskiego.
1910.

Treść numeru 1-go.

Rozszerzajcie „Światło“

i jednajcie nam nowych prenumeratorów jak najwięcej, bo gdy się w tym roku zbierze większa liczba Czytelników, to w takim razie podawać będziemy w każdym numerze „ŚWIATŁA“ piękne ryciny (obrazki).

Zdania Papieży i Biskupów o popieraniu prasy!

Papież **Pius IX.** powiedział: „**Żądamy, aby katolicy życzliwie popierali tych, którzy wydają pisma przejęte duchem katolickim**“.

Pius X., który niegdyś jako Patryarcha Wenecyi gotów był zastawić swój pastorał biskupi, aby podtrzymać pewne pismo weneckie, wyraził się już nieraz jako Papież, że „**popieranie dobrej prasy katolickiej** (czyli pism) **jest o wiele lepszem dziełem, niż budowanie kościołów i klasztorów**“.

W podobny sposób mówił w roku 1908 o prasie na wiecu katolickim w Saragossie (w Hiszpanii) Arcybiskup Aguirre z Bourgos. Wyrzekł on te słowa: „**W dzisiejszych czasach jest rzeczą większej wagi dać światu jedno pismo prawdziwie katolickie, niż zbudować kościół**“.

Kardynał Parochi mawiał: W czasach, gdy Kościołem rządził Leon X., udzielano hojnie odpustów tym, którzy składali ofiarę na budowę kościoła świętego Piotra. Ja zaś na klęczkach prosiłbym Ojca świętego, aby udzielał odpustów wszystkim, którzy przez popieranie prasy katolickiej współuczestniczą w budowaniu żywego Kościoła Bożego“.

Rocznik II. Kraków 1-go lipca 1910. (Półrocze II-gie) Nr. 1.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok: 3** korony — na **pół roku: 1** koronę **50** hal. — Do Niemiec na rok: **4** korony — półrocznie **2** korony. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA„ w Krakowie ul. Powiśle 12.

Najmilszy wizerunek.

(Zdarzenie z czasów męczeńskich).

W roku 86 po narodzeniu Chrystusa, w mieście Rzymie, który wtedy jeszcze był pogańskim i zostawał pod panowaniem cesarza Domicyana, mieszkała młoda i piękna niewiasta, imieniem Kornelia. Chociaż została wdową, nie nosiła długo po mężu żałoby, lecz obyczajem pogańskim, prędko szukała rozrywek w uciesznych zabawach różnego rodzaju. Dom też jej stał się wkrótce ze zabaw tych głośnym w całym Rzymie. Nie było dnia prawie, aby obeszło się u tej pięknej rzymianki bez licznego zebrania, wystawnej biesiady i tańców. A chociaż działy się tam rzeczy, od których oczy i uszy chrześcijanina odwróciłyby się ze zgrozą i oburzeniem, jednak pogańska młodzież rzymska, męzkiego i żeńskiego rodzaju, zbierała się chętnie w domu młodej wdowy, bo religia bałwochwalcza nie zabraniała wcale uciech tego rodzaju, a wyuzdanie i rozpusta, za grzechy poczytywane nie były.

Pogaństwo starego Rzymu, jako religia przez ludzi tylko wytworzona, i namiętnościom ludzkim jedynie sprzyjająca, chyliło się już jednak wówczas do upadku; bo choć państwo rzymskie było wprawdzie jeszcze dość potężne i rozległe, a wojska jego sławne jeszcze w świecie ze swego

męztwa, jednakże gdy siła kraju nie opiera się na stałych zasadach prawdy, potęga państwa krucha jest i nietrwała.

I w Rzymie więc, gdzie pogaństwo zepsuło obyczaje narodu, upadało też powoli męztwo żołnierzy i cnota obywateli. Lecz Pan Bóg w dobroci swej, przeznaczał temu upadającemu miastu jutrznię odrodzenia przez światło prawdziwej wiary. Gdy po Wniebowstąpieniu Pana Jezusa i po otrzymaniu Ducha św., Apostołowie pańscy rozeszli się w różne strony świata, by głosić Ewangelię św. i do wielkiego Rzymu przybyli dwaj najgorliwsi opowiadacze słowa Bożego, to jest Piotr i Paweł, by głosić je między poganami.

Zaiste, wielką być musiała siła tego słowa, kiedy między tymi ludźmi przywykłymi do zmysłowych rozkoszy, znaleźli się prędko chętni słuchacze nauki Chrystusa, który wstrzemięźliwość umartwienie i czystość polecał. A kiedy święci owi Apostołowie w 34 lat po śmierci swego Boskiego Mistrza i Pana, skazani przez potwornego cesarza rzymskiego Nerona, męczeńską śmierć ponieśli w roku 67, nauka ich już w pośród Rzymian głębokie zapuściła korzenie, a później, przez jednych drugim opowiadana, szybko się rozszerzyła.

Mieli już chrześcijanie swych kapłanów, Biskupów i sprawowanie świętych obrzędów, ale ponieważ sprawdzić się musiały słowa Pana Jezusa, który Kościołowi swemu ucisk przepowiedział, więc chrześcijanie wkrótce od pogańskich rzymskich cesarzy okrutne prześladowanie cierpieć poczęli i z odprawianiem ceremonii świętych kryć się musieli w podziemia, zwane katakombami. Męczennicy chrześcijańscy codzień krew wylewali, a cały naród rzymski z zaciekłą zażartością pastwił się nad swymi braćmi, którzy nową naukę przyjęli; nic to jednak nie pomogło, bo nowych chrześcijan dnia każdego przybywało, na widok stałości tych, co za wiarę ginęli.

Piękna Kornelia w pośród zabaw i uciech swoich, mało się zajmowała myślą o chrześcijanach i podług niej musieli to być jacyś szaleńcy, kiedy wyrzekali się światowych przyjemności, do których ciągnie przecie każdego człowieka jego natura.

Między wszystkimi, którzy do niej uczęszczali, upodobała sobie ona młodego Oktawiana, który najurodziwszym był ze wszystkich jej znajomych młodzieńców. On jej też odpłacał wzajemnością i ta powabna para oddawna uważana była przez wszystkich za przyszłe małżeństwo. Żadna biesiada u Kornelii nie odbyła się bez ulubionego młodzieńca; na znak swego upodobania w nim, kładła ona nieraz wśród uczty wieniec róż najpiękniejszych na jego głowę, a on wychylając czary wina jedną po drugiej, szeptał jej w namiętnem uniesieniu, słowa miłości i uwielbienia, i tak w używaniu rozkoszy czas im upływał.

Wydarzyło się wreszcie jednak, że minął dzień jeden, drugi, a Oktawian u wdowy nie pokazał się wcale. Przeszedł w końcu tydzień, a młodzieniec przysłał tylko służącego z zawiadomieniem, że wkrótce odwiedzi Kornelię, ale teraz przyjść nie może.

Zaniepokojona kobieta wysłała do niego swą niewolnicę z zapytaniem, jaka tego przyczyna, ale otrzymała odpowiedź, iż zdrów jest, i prośbę, aby była spokojną o niego, bo tylko zajęcia przeszkadzają mu być u niej.

Młoda niewiasta niecierpliwie czekała jego przyjścia, a gdy raz, w pośród wielu innych ujrzała go wchodzącego, uradowana wielce, z okrzykiem radości go powitała. Jednak twarz jego i postać wydały jej się mocno zmienione. Ta sama była wprawdzie u niego uprzejmość, ale przytem więcej powagi i powściągliwości. Wśród uczty był zamyślony i małomowny, a gdy kielichy zaczęły jak zwykle krążyć wśród biesiadników, którzy nie krępowani wstydem nieprzyzwoite pieśni śpiewać poczęli, nie tknął prawie wina, a widząc, iż rozpocząć się ma dla rozweselenia gości taniec niewolników i niewolnic, odwróciwszy oczy, wysunął się z grona ucztujących, i zbliżywszy się do Kornelii żegnać ją zaczął. Ta rzekła do niego z żalem:

— Nie poznaję cię dziś, Oktawianie, nietylko, że nie wytłomaczyłeś mi długiej swej nieobecności, ale chcesz znów mię rychło porzucić, co to oznacza?

— Nie pytaj mnie o to Kornelio, wierz mi tylko, że inaczej zrobić nie mogę.

— Widzę już, że mię kochać przestajesz — zawołała chwytając go za ramię — i z obojętności unikać mię zaczynasz i nie chcesz prawdy wyjawić.

— Nie, zawsze mi jesteś i będziesz drogą Kornelio; kiedyś się wszystko dowiesz. Puść mię, teraz ci jeszcze powiedzieć nie mogę.

To rzekłszy, skinął jej głową na znak pożegnania i wysunąwszy rękę z jej dłoni, zniknął szybko we drzwiach.

Kornelia wróciła do gości, ale już nie była tak wesołą jak przedtem, i swobodniejszą się uczuła, gdy się zebrani rozeszli.

Oktawian znów jej nie odwiedził przez czas długi. Na pytanie, które mu przesłała Kornelia, odpowiedział, że ją pozdrawia od serca, lecz objawia stanowczo, że przez długi czas nie będzie mógł u niej bywać, czego za złe niech mu poczytywać nie zechce, i zostawi go w spokoju.

Kornelia otrzymawszy taką odpowiedź, uczuła się dotkniętą i urażoną, uważając się za opuszczoną od swego ukochanego młodzieńca.

A ponieważ była przyzwyczajoną w rozrywkach szukać pociechy w smutku, zaczęła jeszcze więcej niż przedtem spraszać gości i bawić się zapamiętale, aby wesołość odzyskać. Ale było to daremne; im weselszą być chciała, tem większy uczuwała smutek, im ponętniej spoglądała na młodych zalotników, tem nieznośniejszymi jej się wszyscy wydawali.

O Oktawianie zapomnieć nie mogła, bo ciągle był w jej myśli obecnym. Zbrzydziła sobie hałaśliwe towarzystwo, kiedy jego w niem brakowało, zamknęła wreszcie swe drzwi gościom, a sługom swoim kazała, aby przychodzącym oznajmili, iż pani ich nikogo nie przyjmuje.

Dziwiono się powszechnie osamotnieniu pięknej rzymianki, które uważano za dziwactwo, lecz nikt nie przypuścił, że młoda kobieta tak silnie miała zranione serce, iż się pocieszyć nie mogła.

Nie umiejąc dłużej znieść niepewności i opuszczenia, postanowiła szpiegować swego ulubionego, myśląc, że podpatrzywszy co robi i z kim się widuje, dojdzie przyczyny jego zmiany.

Jednego wieczora przebrała się w suknie swej służącej, na głowę założyła czarny welon i puściła się sama w ciemne uliczki Rzymu, w stronę, gdzie jak się dowiedziała, było teraźniejsze mieszkanie Oktawiana. Nie prędko znalazła dom, którego szukała; był on stary i prawie próżny wyjąwszy parę zamieszkałych izdebek na dole i jednej na górze. Przeszedłszy wązkie schodki znalazła się na ganku, na który wychodziło okno od mieszkania Oktawiana.

W pokoju tym było wprawdzie jasno, a okno było szerokie, jednakże szczelnie zamknięte grubą firanką. Kornelia stała długą chwilę nasłuchując jakiego odgłosu, ale tak niezmącona cisza panowała w tym pokoju, że straciła zrazu nadzieję dowiedzenia się czegośkolwiek o tym, którego ciągle tak bardzo kochała.

Miała się już cofnąć, gdy wietrzyk wieczorny zabłąkawszy się w podwórzu starego domu, odbił się i o owe okno, przy którem stała niewiasta, a w którem jedna szyba była otwartą. Pęd tego wiatru poruszył ciężką firankę, która zwolna się odsunęła, zostawiając małą jasną szparę u brzegu okna.

Ciekawość więc niewieścia pomoc dla siebie w tem zdarzeniu znalazła i Kornelia żwawo zbliżywszy twarz do tego otworu, rzuciła szybko okiem w głąb pokoju, gdzie z radością ujrzała postać Oktawiana.

Młodzieniec siedział przy stole z głową podpartą na rękach, przed nim leżała wielka rozwarta księga, z której czytał, zatopiwszy w niej jakoby duszę całą i prawie bez ruchu, długi czas tak pozostał. Kornelia spojrzała na pokój, sprzęty były skromne, na stole książek kilka, na poręczy krzesła zarzucona biała szata.

Na ścianie naprzeciw siedzącego Oktawiusza wisiało jakieś malowidło w pozłacanych ramach; nie byłaby Kornelia na nie zwróciła uwagi, gdyby nie to, że młodzieniec przerwawszy czytanie, podniósł głowę ku temu obrazowi i długo się w niego wpatrywał.

To się powtórzyło kilka razy, bo odwracając głowę od książki, podnosił ją ku obrazowi, potem znów spuszczał i czytał, i na nowo później na malowidło spoglądał.

Kornelia każdy ruch młodzieńca śledziła, lecz z tego co widziała, nic zrozumieć nie mogła, więc rozważając nad

tem, coby to znaczyć mogło, stała zadumana; wreszcie firanka poruszona nowym powiewem wiatru, zasłoniła utworzoną wpierw szparę, a zdumiona kobieta, widząc, iż nic więcej tym razem nie wyśledzi, odstąpiła cicho od okna i zszedłszy po schodkach, wróciła do domu tą samą drogą, którą przyszła.

Nie wyrzekła się jednak chęci dalszego śledzenia; owszem, jej ciekawość i miłość jeszcze więcej zostały pobudzone. Gdy więc drugiego dnia ściemniło się, przebrawszy się jak wczoraj, znów pospieszyła w wiadome miejsce.

Tym razem firanka okna była podniesioną przez połowę, bo młodzieniec nie spodziewał się, że może go kto podpatrywać, a oprócz tego chciał chłodnem powietrzem wieczornem odświeżyć swą izdebkę. Kornelia ostrożnie więc zbliżyła się do okna, aby nie być widzianą.

Oktawian jednak był tak zatopiony w myślach, że nie uważałby, choćby nawet kto wszedł do pokoju. Dziś nie siedział on jak dnia poprzedniego, lecz ze złożonemi rękami klęczał, patrząc ze czcią na wiszące malowidło.

Dla Kornelii był to znowu widok niespodziewany i nie zrozumiały, i patrząc na Oktawiana, zapytała sama siebie, czy to może być ten sam młodzieniec, którego tak innym znała pierwej, i oczom prawie uwierzyć nie mogła.

(Dokończenie nastąpi).

Sierocy grosz.

Było to w roku 1809, w tym czasie kiedy Polacy prowadzili wojnę z Austryą.

Wtedy wojskiem polskiem dowodził książę Józef Poniatowski.

Stał on z wojskiem swojem w Krakowie, gdzie go odwiedził jeden z panów polskich, a widząc księcia zasępionego, zapytał:

— Dla czego ten smutek?

— Mam 30 i kilka tysięcy wojska — odrzeknie książę Poniatowski — a brak mi na utrzymanie. Co robić? Skąd wezmę pieniędzy, nie wiem sam, a potrzeba nagła i pilna.

Kraj zbierze, kraj złoży, ufam i spodziewam się, ale to pójdzie powoli, a wojsku potrzeba mundurów, — żywności.

— Ja ci zaraz poradzę co czynić — rzecze ów pan. — Są pieniądze sierót w sądzie, w depozycie złożone. Pożycz je z sądu, wydaj kwit, a kiedy kraj złoży, wtedy oddasz i wszystko załatwione.

— A czyje to pieniądze?

— Sierót, wdów, złożone są aż do czasu pełnoletności, albo do innych terminów.

Książę Józef wstał szybko, zbliżył się do przyjaciela i pyta:

— I ty mnie do tego namawiasz?

— Ja, alboż czynię co złego?

— Ty, mój przyjaciel, radzisz mi wziąć pieniądze sierót, a czy nie wiesz, że to krzywda?

— Ależ kraj odda, ależ bieżesz nie na swoje potrzeby, ależ to nie na zabawkę, ani hulatyki.

— Wszystko jedno, na co, sierocego grosza nie wolno ruszać, tak mnie uczyli zawsze i tak mi mówi moje sumienie.

— Ależ oddasz...

— A czy jestem pewny, co się ze mną stać może jutro, czy wiem jakie mogą przyjść jutro niespodziewane zdarzenia i potem sieroty płakać będą?

I nie wziął pieniędzy.

Dopiero Badeni, Wodzicki i książę Lubomirski na hipotekę na swój majątek te pieniądze pożyczyli i istotnie z własnego majątku oddali.

Tak w owych czasach szlachetni ludzie szanowali grosz wdowy i sieroty.

Rady abecadłowe dla Polek.

Aniołem na tej ziemi staje się niewiasta, — Jeśli w cnoty płci swojej zdobi się i wzrasta, — Jeśli pomna na swoje wielkie przeznaczenie, — Czynem trafia w myśl Stwórcy, w czyn zmienia natchnienie.

«Belkę sobie wyjm z oka, potem źdźbło z ócz brata». — Tak nas nauczał Chrystus, Bóg i Pan wszechświata: — Gdy cię język złośliwy do obmowy nęci. — Miej tę Boską naukę zawsze na pamięci. — I zanim poczniesz bliźnich obmawiać bez względu, — Poznaj pierwej błąd własny i oczyść się z błędu.

Czas oszczędzaj jak złoto — nie trwoń czasu marnie, — Bo ci to w dalszym wieku nie ujdzie bezkarnie; — Twe wrodzone talenta niech podwyższa praca, — Ta człowieka oświeca, uzacnia, wzbogaca.

Dobroć, tkliwość, łagodność są to dary nieba, — o te skarby najbardziej Boga prosić trzeba: — Niemi wszystkich zniewolisz, osłodzisz pożycie, — One najpożądańsze są w każdej kobiecie.

Elegancya twa cała niech zależy na tem: By czystość była w domu; dom twój jest twym światem; — Czysta pościel, bielizna i czyste odzienie, — Czyste serce, myśl czysta i czyste sumienie.

Fanatyk jest szaleńcem — bigot syn nałogu, — Nie klepaniem pacierzy spodobasz się Bogu: — «Kochaj Boga nad wszystko, bliźniego jak siebie!» — Znoś w pokorze czas próby, Bóg pocieszy ciebie.

Gospodyni zadaniem najwdzięczniejszem będzie: — Pilne oko na wszystko mieć zawsze i wszędzie; — Na wszystkiem w gospodarstwie musi się rozumieć — I drugich by nauczyć, najpierw sama umieć.

Hałas, wrzawa ze sługami nie działa skutecznie, — Trzeba czasem połajać, ale łajać grzecznie; — Gdy zbyteczna powolność często ludzi psuje, — Naucz grzecznem łajaniem — gniew twój on poczuje.

Igiełka gdy się miga w płci nadobnej ręku, — dodaje jej szacunku, powabu i wdzięku; — Bo muzyka, śpiew, taniec, wszystko to chwalebne, — Ale przytem koszulki także są potrzebne.

Kuchnia, pralnia, śpiżarnia, to nie bagatele, — Do tego trzeba wprawy, doświadczenia wiele: — By wszystko szło jak z płatka, wszystko w swoim czasie, — Będzie tak, skoro pani domu na tem zna się.

Lekkomyślność, trzpiotarstwo, te szkodzą niewieście, — Czy ona mieszka na wsi, czy w stołecznem

mieście. — Wszędzie takt przyzwoity zachować należy, — żeby nie uzuchwalać dość śmiałej młodzieży.

Łatwowierność jest wadą nerwowego wieku, — Wprzód się dobrze przekonaj, nim zaufasz człeku; — Zbadać, przejrzeć człowieka, na tem cała sztuka, — Nie dowierzaj na ślepo, nikt cię nie oszuka.

Majątek jest rzecz nie zła, kto go umie użyć, — Nim się można Ojczyźnie i biednym przysłużyć. — Im więcej będziesz miała dostatków, pieniędzy, — Tem więcej dłużną będziesz ubóstwu i nędzy.

Nauka już się ludziom stała koniecznością, — Oddawaj się nauce — kształć się z skwapliwością; — Albowiem jeszcze nigdy człek się nie przeuczył, — Głupi często i drugim i sobie dokuczył.

Oszczędność, jeśli tylko w skąpstwo nie przechodzi, — Jest jak rola uprawna, co dostatek rodzi: — Ohydne skąpstwo zawsze stratą się opłaci, — Nie bądź skąpą, bo «skąpy zwykle dwakroć traci».

Piękność — piękny to kwiatek, lecz prędko okwita; — Godna politowania jest taka kobieta, — Która jak paw ogonem piękności się puszy, — Piękność bowiem bez cnoty, to ciało bez duszy!

Rzetelność — ta odwieczna ojców naszych cnota. — Niech będzie twym udziałem. Licha to robota: — Kto matactwem, szacherką chce dopomódz sobie. — Ten w moralnem znaczeniu żywcem stoi w grobie.

Szacunek przynależny w miarę zasług, wieku — Jak dług oddaj każdemu uczciwemu człeku; — Nie pytaj: czy go atłas czy płócianka kryje, — Często pod zgrzebną szatą piękne serce bije.

Tarczą twoją niech będzie skromność i niewinność; — Postępuj prostą drogą, pełń swoją powinność: — Tarcza to Archanioła, z której grom uderza, — Jeśli szatan złowrogi zgubić cię zamierza!

Umiarkowanie w mowie, w każdym ruchu, czynie. — Wdzięk, godność osobista przystoją dziewczynie; — Bo gdy tylko kobieta w czemkolwiek przesadza, — Że nie ma wychowania sama siebie zdradza.

Wielkomyślność, szlachetność, śliczne to przymioty, — Wielkich praojców naszych rodowe te cnoty.—

Nie bądź mściwą, czyń dobrze nawet i dla wroga — Tą drogą się najłatwiej przybliżysz do Boga.

Życie ludzkie jak podróż zrazu szczęściem łudzi, — Lecz miłym dobry nocleg, gdy podróż utrudzi; — Więc pókić słońce świeci w porannym twym biegu, — Zrywaj kwiatki po drodze, lecz myśl o noclegu.

TRAFNA ODPOWIEDŹ.

Pewien kapłan odprawiał kazania misyjne w Szwecyi, gdzie, jak wiadomo, bardzo jest mało katolików. Kazania jego zasłynęły jednak tak, że i protestanci chodzili na nie, podziwiając jego świetną wymowę i głęboką naukę.

Zdarzyło się raz, że kapłan ten miał mowę na publicznem zgromadzeniu, na którem także dużo znalazło się protestantów. Pomiędzy nimi byli i studenci i jeden z ich profesorów, znany jako wielki uczony i nieprzyjaciel katolików. Ksiądz mówił o nieśmiertelności duszy, o przyszłem życiu, i wszyscy zachwyceni byli jego słowami.

Rozgniewało to niezmiernie uczonego profesora, to też gdy kapłan skończył, wstąpił on sam na podwyższenie i tak rozpoczął przemowę:

— Szanowni słuchacze! Mój poprzednik mówił nam długo o duszy ludzkiej. Widziałem setki ludzi żywych i umarłych — krajałem ciała ich na kawałki, rozbierałem kości i żyły, lecz nigdzie nie znalazłem duszy. Jakże więc mamy wierzyć w to, co nie istnieje, czego nie widzimy? Kto z was widział duszę? Nikt! A więc duszy niema!

Mówił tak jeszcze długo, starając się przekonać słuchaczy, że człowiek duszy nie ma, lecz ksiądz tak mu zaraz na to odpowiedział:

— Szanowni słuchacze! Weźcie setki noży i rozkrajcie na kawałki ciało profesora — rozbierzcie wszystkie jego kości i żyły, a przekonacie się, że rozumu u niego nie znajdziecie! Jak mamy uwierzyć w coś, co nie istnieje, czego nie widzimy? Kto z was widział rozum? Nikt! A więc rozumu profesor nie ma!

Zgromadzona publiczność głośno śmiać się zaczęła, a uczony profesor wyniósł się czemprędzej i nigdy już nie twierdził, że człowiek jest stworzeniem bez duszy.

ZMYŚLNOŚĆ ZWIERZĄT.

Powszcchnie uważają ludzie zwierzęta za istoty bez, myślne, ale jest to niesłusznie. Zwierzęta myślą i czują Zdolności te umysłowe nazywamy zwykle u zwierząt in stynktem. Zmyślność ta jest różna u rozmaitych zwierząt bo jedne z nich są potężniejsze niż drugie. Aby poznać jak zmyślne są zwierzęta, trzeba umieć je badać, trzeba sobie zadać tę pracę, aby podsłuchiwać niejako ich życie i obyczaje.

Zdziwi się może niejeden z czytelników, gdy powiemy, że zwierzęta mają swą mowę, ale tak jest w istocie: codziennie możemy widzieć, że one ze sobą się porozumiewają, że dają sobie jakieś znaki, które rozumieją wzajem. Kura zwołuje swym głosem kurczęta, a kogut kury; psy rozumieją się nawzajem, a nawet tak niepozorne zwierzęta, jak mrówki i pszczoły, mają sposoby, za pomocą których mogą się ze sobą porozumiewać.

Jednem z najpotężniejszych i najrozumniejszych zwierząt jest niewątpliwie pies. Jak łatwo można go nauczyć rozmaitych sztuczek, jak on rozumie i słucha swego pana, o tem wie każdy. Ze wszystkich psów pudle są najpojętniejsze; one często chodzą za swym panem, nosząc mu laskę i t. p., a niektóre nawet idą same z koszem n. p. po bułki do piekarza i dobrze to załatwiają.

Pomówimy nieco dłużej o psach z góry św. Bernarda, które są tak pojętne, a zarazem dobroczynne i litościwe, że z pewnością przewyższają pod tym względem niektórych ludzi.

Góra św. Bernarda leży w Alpach, najwyższych górach w Europie, a w kraju zwanym Szwajcaryą. Przez tę górę prowadzi gościniec, bardzo uczęszczany przez podróżnych. Trzeba jednak wiedzieć, że Alpy są bardzo wysokie, prawie przez cały rok leży na nich śnieg, a mrozy pa-

nują tam ogromne. Z powodu więc zawiei śnieżnych ginie koło góry św. Bernarda bardzo wielu podróżnych, jeżeli ich napadnie niespodzianie śnieżyca lub zasypie spadająca z gór lawina (ogromna ilość śniegu, staczająca się po pochyłościach gór; lawiny takie są nieraz tak wielkie, że całe wsie zasypują). Dla niesienia więc pomocy nieszczęśliwym podróżnym wybudowali pobożni zakonnicy schronisko na tej górze i zajmują się odgrzebywaniem ze śniegu i ratowaniem zbłąkanych. Do pomocy ci zakonnicy używają osobnych wielkich i o długim włosie psów. Codziennie wychodzą te zwierzęta z klasztoru, niosąc na szyi koszyk z pożywieniem i winem, dla pokrzepienia odgrzebanych, szukają wśród śniegu zbłąkanych, a w zadaniu tem pomaga im nadzwyczaj delikatny węch.

Zwietrzywszy człowieka, idą one za jego śladem, odgrzebują go ze śniegu, podają mu pożywienie i wino, by nabrał sił, a potem zachęcają go, aby wsiadł na ich grzbiet i tak uratowanego zanoszą do klasztoru, gdzie się nim dalej zakonnicy opiekują. Jeżeli pies człowieka nie może odgrzebać, lub przywołać do życia, wtedy pędzi do klasztoru i daje znać zakonnikom, którzy spieszą na pomoc z łopatami, noszami, ciepłem ubraniem i t. d Psy te wielu już ludziom przywróciły życie, a najsławniejszy z nich pies nazwiskiem Barry ocalił już życie 42 podróżnym. Zaiste mało jest ludzi, którzyby mogli się poszczycić tem, że przywrócili życie tylu osobom, a więc mało jest ludzi, którzyby tyle dobrego zrobili co ten jeden pies!

Jak wielki jest spryt psów, świadczy o tem następujące zdarzenie. Pewna kupcowa w Paryżu miała psa, bardzo do siebie przywiązanego i umówiła się raz z sąsiadką, że jej psa sprzeda. Pies widząc, że kobiety sobie ciągle jego pokazują i że sąsiadka ogląda go na wszystkie strony tak, jak ludzie, którzy do sklepu po towar przychodzą, że wyjmuje sakiewkę i chce płacić, rzucił się do nóg swej pani, wyjąc żałośnie, jakby prosząc, aby go nie sprzedawała.

Wprawdzie kot ma o wiele mniej zmyślności od psa, jednakowoż nie możemy mu jej zupełnie odmówić.

Parę przykładów przekona nas o tem najlepiej.

Pewien szewc w Przemyślu miał kota. Raz wyszedł na miasto za sprawunkami.

Gdy jego żona uśpiła dziecko, poszła także na kupno. Po chwili obudziło się dziecko i zaczęło płakać.

Słysząc to, sąsiadka szewca chciała wejść do mieszkania, aby dziecko utulić, ale drzwi były zamknięte. Zaglądnęła więc przez okno i zobaczyła, jak kot skoczył z łóżka na którem leżał, wziął kość w pyszczek i przyniósł ją malcowi, myśląc, że go tem uspokoi. Dziecko jednak na kość nie uważało, ale ciągle krzyczało. Wtedy kot wpadł na nowy pomysł uciszenia dziecka. Skakał z jednej strony kołyski na drugą i tym sposobem ją rozkołysał. Dziecko tak kołysane zasnęło, a kot położył mu się w nogach i także sobie drzemał.

W Paryżu, w jednym klasztorze, przygotował kucharz obiad i zdziwił się nie mało, zauważywszy, że jednej porcyi brakowało. Na drugi dzień powtórzyło się to samo, więc rozmyślał nad tem, kto mu te porcye porywa; postanowił przeto śledzić, by wykryć złodzieja. Trzeciego dnia, zliczywszy dokładnie wszystkie porcye, usłyszał dzwonienie u furty. Ponieważ był równocześnie odźwiernym, więc pobiegł, by zobaczyć, kto przyszedł. Nie zobaczył tam dzwoniącego, ale wróciwszy do kuchni spostrzegł ubytek jednej porcyi. Czwartego dnia przygotował jedzenie prędzej i wszystkie porcye rozstawił, a potem ukrył się tak, że mógł spoglądać na porcye, aby wykryć złodzieja. Za chwilę zadzwoniono u furty. Kucharz tam nie poszedł, lecz pozostał w swojej kryjówce.

Wtedy spostrzegł, jak kocur wskoczył oknem, porwał kawałek mięsa i uciekł na podwórze.

Tym sposbem odkrył wprawdzie złodzieja, ale nie wiedział jeszcze, kto dzwoni u furty. Następnego dnia zaczaił się przy furcie i oczekiwał dzwoniącego. Przyszedł on, ale nie był to nikt inny tylko kocur, który przyskakiwał i pociągał rączkę od dzwonka.

Wkońcu przytoczę zdarzenie świadczące niemniej o zmyślności kota, jak też o jego miłości macierzyńskiej, a którego sam byłem świadkiem. W Drohobyczu ' powstał przed kilku laty pożar w trzecim domu od domu mych ro-

dziców. Cała ulica była pełna dymu, a krzyk i zgiełk panował ogromny.

Na strychu właśnie była u nas kotka, która miała młode. Poczuwszy dym i wrzawę, poznała ona grożące niebezpieczeństwo, zbiegła ze strychu, ale znalazłszy drzwi zamknięte, zaczęła miauczeniem i skrobaniem prosić, aby ją puszczono. Wszyscy byli zajęci sobą, ponieważ zachodziła obawa, aby pożar do nas nie doszedł i przeto nikt nie zwracał na kotkę uwagi. Nareszcie domyślano się o co kotce chodzi i otworzono jej drzwi, a wtedy zaczęła ona znosić swe młode ze strychu na dół.

Widząc to, zniosłem kocięta na podwórze. Ale i tutaj nie wydawało jej się widocznie dość bezpiecznie, bo zaniosła swe dzieci na niedalekie pole, pomiędzy pokrzywy.

(Dokończenie nastąpi).

O czem winniśmy pamiętać, idąc do kąpieli.

Z każdem latem powtarzają się wypadki utonięcia podczas kąpieli. Przyczyną ich jest niemal zawsze nieostrożność kąpiących się, to też dziwić się trzeba, że przykłady te odstraszające, wywierają tak mało wpływu nawet na ludzi rozumnych i dojrzałych.

Wedle starych, wypróbowanych przepisów, nie należy wskakiwać do wody, będąc zgrzanym; trzeba czekać, aż ciało ostygnie, aż uspokoją się serce i płuca. Wielu jednak przypuszcza, iż są dostatecznie zahartowani i wytresowani, ażeby bezkarnie wchodzić do wody wprzód, nim uspokojenie to nastąpi. Udaje im się próba 99 razy na 100, aż wreszcie pewnego dnia przypłacają to chorobą, niekiedy — śmiercią.

Osoby te nie zdają sobie sprawy z działania zimnej wody na ciało ludzkie. A jest ono bardzo silne. Pod wpływem chłodu naczynia krwionośne kurczą się, krew ustępuje z powierzchni ciała, napływając ku organom wewnętrznym i skutkiem tego, w pierwszej chwili utrudnia działalność płuc i serca. Do tego dodać należy nagłe podniecające działanie oziębienia na nerwy, co objawia się w chwilo-

wem zatamowaniu oddechu i zatrzymaniu działalności serca.

Wszystko to razem sprawia, że najlepszy pływak doznać może w pierwszej chwili zawrotu głowy, poczem omdlewa i tonie, jeśli nie znajdzie natychmiastowego ratunku.

Drugi przepis kąpielowy przestrzega, iż nie należy wchodzić do wody z przepełnionym żołądkiem, lecz co najmniej w kilka godzin po posiłku. Uchybienie temu przepisowi sprowadza ból głowy, zaburzenia w trawieniu, a w następstwie częstokroć chorobę żołądka lub innych organów. Bywa niekiedy jeszcze gorzej, rzecz to bowiem stwierdzona w wielu razach, że wskoczenie do wody z obładowanym żołądkiem może stać się przyczyną natychmiastowej śmierci.

Dawniej nagłą śmierć w kąpieli objaśniano apopleksyą. Że ludzie do niej skłonni, łatwo jej ulegają w kąpieli, to możliwe. Przyczyny wszelako, wyłuszczone powyżej, sprowadzają częściej utonięcia, niż apopleksya. Niebezpieczeństwo utonięcia grozi też osobom skłonnym do zawrotów głowy i omdleń — powinny więc poprzestawać na kąpielach w wannach.

Lecz inne jeszcze niebezpieczeństwa grożą pływakom nieostrożnym. W poczuciu swej zręczności i siły puszczają się oni nieraz na wody, zgoła im nieznane. Pewien pływak wskoczył głową naprzód w miejscu dość płytkiem, lecz o gruncie szlamistym. Głowa utknęła w błocie, które go zadusiło. Inny, skacząc, wbił się na pal, innego wir porwał. Nie braknie nigdy ludzi nieopatrznych, którzy sami są sprawcami swych nieszczęść, warto jednak od czasu do czasu przypomnieć im, na co się narażają.

Wskakiwanie do wody ze stromych wybrzeży jest zawsze połączone z niebezpieczeństwem, napór powietrza na organa słuchowe przy wskakiwaniu głową na dół, jest tak wielki, że mogą pęknąć bębenki, a łatwo też można dostać zapalenia ucha środkowego.

Że pływanie jest niebezpieczne dla osób, które nie są wyćwiczone w tej sztuce, samo się przez się rozumie.

Woda pociąga młodzież, zwłaszcza w dni upalne; rodzice nie zawsze są w możliwości upilnować dzieci, to

też pożądane jest, aby wszystkie miejsca, służące do kąpieli, były starannie badane i urządzone odpowiednio.

Zresztą najostrożniejszy człowiek, któremu sztuka pływania jest obca, może podczas kąpieli, natrafić na głębinę.

W takich razach nie trzeba tracić przytomności, lecz myśleć o ratunku z całym spokojem.

Nie umiejąc nawet pływać, można się utrzymać na powierzchni, przy zachowaniu następujących przepisów: stać spokojnie, podnieść głowę do góry, nie wyjmować rąk z wody i najwięcej powietrza wciągać w płuca, wdychając głęboko, a wydychając krótko.

Ciało ludzkie jest trochę lżejsze od wody, którą usuwa, to też, gdy tonący trzyma ręce pod wodą, usta i nos pozostają na powierzchni, jeżeli zaś ręce podniesie, co zdarza się przy wołaniu o pomoc, wtedy głowa zanurza się głębiej. Pożądane jest obie ręce wyciągnąć w tył, powyżej głowy, wtedy bowiem ciało przybiera pozycyę poziomą, a twarz wynurza się po nad wodę.

Śmiech — lekarzem.

W XVIII. wieku wsławił się w Austryi Ignacy Born nietylko dziełami o górnictwie, ale i wierszami, w których szydził z wszystkich i wszystkiego, z czem się tylko zetknął. Nadzwyczaj zdolny, lubił lekkie hulaszcze życie. Siostra jego natomiast miała przeciwny zupełnie charakter. Pobożna nadzwyczaj, modliła się całemi godzinami, pościła i wszelkiemi siłami starała się nakłonić brata do pobożnego życia. Starania jej nie odniosły jednak najmniejszego skutku, przeciwnie brat szydził z niej i jej usiłowań tak niemiłosiernie, że biedaczka z płaczem nieraz przed nim uciekała.

Pewnego razu odezwała się siostra w ten sposób do Borna: Ty nie wierzysz w djabłów, bracie, zobaczysz, że jak się nie poprawisz, to cię oni wezmą. — Nieco później zachorował Born ciężko, a że nazwisko jego było sławne i że posiadał u dworu znaczenie, więc cesarzowa Marya

Teresa posłała do niego swego służącego murzyna z zapytaniem o jego zdrowie. Skoro go troskliwa siostra zobaczyła, zawołała przerażona: O ja nieszczęśliwa, wszakżem zgadła, że djabeł po brata mego przyjdzie. Born na te słowa tak się serdecznie rozśmiał, że wyzdrowiał.

Poeta niemiecki Kleist zapadł raz w ciężką chorobę. Przyjaciel jego, także poeta Gleim pielęgnował go troskliwie, a gdy sposobność pozwalała, czytał Kleistowi swe wiersze, których chory chętnie słuchał. Gdy się choroba wzmogła, nie chciał Gleim nużyć przyjaciela czytaniem. Kleist nalegał jednak silnie, więc Gleim przeczytał mu następujący czterowiersz:

«Czy śmierć umie kochać pusta?
Po co bierzesz mą dziewicę?
Śmierć ma zęby, a nie usta,
Trudno całować jej lice».

Chory tak się serdecznie rozśmiał, że wyzdrowiał potem.

Kardynał Salviani już umierał. — Opuszczony przez wszystkich, oczekiwał śmierci samotny. Wtem słudzy zaczęli po pokojach jego zabierać, co się tylko dało. Zobaczyła to ulubiona małpa kardynała, poszła za ich przykładem, schwyciła za stary kapelusz i uciekła z nim. Kardynał nie mógł się na to wstrzymać od śmiechu, parsknął na całe gardło, że aż słudzy zdrętwieli i — wyzdrowiał.

Pochód trędowatych.

Wzruszającą i straszną zarazem scenę opowiada pewien podróżnik, który przebywa obecnie w Abisynii. Pisze on: «W cieniu olbrzymich palm, pod któremi dzień przed tem odbywał się wielki turniej, szukałem śladów tej krwawej walki. W tem jeden z moich ludzi zawołał: «Nadchodzą ci, których Allach odrzucił, nadchodzą wyrzutki, uciekajmy!»

Zatrzymałem konia i ludziom, którzy uciekać chcieli, zagroziłem batem. Nadjeżdżających, których żarła choroba

straszna, w czasie której ciało odpada od kości, zwana «trąd», było 50. Prowadził ich naczelnik z całkiem przez chorobę zżartem obliczem.

Ten orszak straszliwy, nazwany przez jednego wyrzutkami, zatrzymał się w pewnem oddaleniu przedemną; wszyscy poczęli wołać i, łkając głośno, prosili miłosierdzia. Abym zaś wiedział kim oni są i z nimi się nie zetknął, powyciągali kawałki pozostałych ramion, odrzucili nakrycia z głowy, tak, że mogłem widzieć ich przez chorobę całkiem zniszczone oblicza.

«Biały człowieku» — jęcząc wołali — «zmiłuj się nad nami». Największa część z nich była przywiązana do koni. Rozkazałem memu służącemu parę sztuk monety położyć na ziemi i usunąłem się z moimi ludźmi. Okropny orszak nadjechał; najsilniejszy z nich zlazł z konia, podniósł monety, złączył się z drugimi i niedługo znikli ci nieszczęśliwi w oddali».

Jakże często narzekamy, gdy nas mała dolegliwość spotka! Jakiejże litości są godni tacy nieszczęśliwi?

Centy biednej dziewczynki.

W mieście Filadelfii (w Ameryce) na marmurowej tablicy umieszczone jest nazwisko biednej małej dziewczynki, której zawdzięcza miasto duży szpital i szkołę dla 1.400 uczniów. Nazwisko tego dziecka Mary Vicott.

Chciała ona swego czasu zapisać się w swojej parafii do szkoły; nie przyjęto jej, gdyż nie było miejsca. Dowiedziała się też, że zamierzano budować nową szkołę, ale nie było na to funduszów. Powzięła więc zamiar oszczędnością zebrać środki na szkołę; lecz w przeciągu kilku miesięcy zachorowała i umarła.

Po paru dniach, kiedy porządkowano jej odzież, znaleziono w kieszeni jednej z sukienek 75 centów, starannie w papier owiniętych z napisem: «Na budowę szkoły». Centy odano pewnemu księdzu, który opowiedział o tem zaraz następnej niedzieli z ambony. Sam wzruszony, tak poruszył serca, że każdy zapragnął naśladować dziewczynkę;

po sześciu latach był już uskładany kapitał przeszło milion dolarów: można więc było nietylko szkołę, ale i szpital wybudować.

Jakie znaczenie miało dawniej noszenie brody?

Dawniej Hebrajczycy (żydzi) wysoko cenili brodę jako ozdobę twarzy i poczytywali sobie za największą zniewagę, jeżeli jej się kto dotknął. U Rzymian dzień, w którym młodzieniec golił się po raz pierwszy, obchodzono nader uroczyście. Cesarz Neron poświęcił bożkowi Jowiszowi Kapitolińskiemu pierwsze włosy, zdjęte brzytwą z swojej twarzy, zamykając je w złotej szkatułce, wysadzonej perłami. U Normanów zapuszczenie brody oznaczało żałobę i niedolę. Wilhelm zdobywca, opanowawszy Anglią, kazał mieszkańcom golić brody; niektórzy z nich woleli kraj opuścić, niż pozbawić się tyle cenionej ozdoby. U Kwadów nie wolno było młodzieńcowi się golić, dopóki nie zabił nieprzyjaciela.

Był czas, kiedy na znak żałoby i szacunku dla nieboszczyka — złocono brody. Jeden z kronikarzy opowiada, że na pogrzebie Karola Zuchwałego śmiertelny wróg jego, książę Lotaryngii, uczcił zwłoki, idąc w żałobnym orszaku ze złoconą brodą.

W średnich wiekach istniał zwyczaj, że monarchowie, przytwierdzając pieczęć, kładli w miękki wosk trzy włosy z brody, aby nadać przez to dokumentowi większej wagi. Dawni królowie francuscy niezmiernie dbali o piękną brodę, trefili ją i przetykali złotemi nićmi. Na starych płaskorzeźbach perskich i asyryjskich widzimy monarchów z długimi brodami kunsztownie ufryzowanemi. Poddani naśladowali ich pod tym względem; niewolnikom tylko nie było wolno nosić zarostu.

U Egipcyan broda była godłem władzy najwyższej, a nosili ją wyłącznie królowie. Kształt jej był kwadratowy, rozmiary nader małe. Nawet królowa Hatusa wyobrażona jest na pomnikach z brodą, naturalnie przylepioną. Starożytni Grecy dopiero od czasów Aleksandra

Wielkiego zaczęli golić brody, tylko filozofowie nie poddali się tej modzie. To samo było w Rzymie.

Pierwotnie wszyscy tam mężczyźni byli brodaci; później dopiero, około roku 300 przed Chrystusem poszli w tym względzie za Grekami. Muzułmanie uważają brodę niemal za świętość, gdyż nosił ją Mahomet: niewolnikom tylko nie wolno jej zapuszczać. Pierwszym obowiązkiem gościnności u Turków jest namaszczenie brody gościa wonnościami. Maurowie podczas składania przysięgi trzymają się za brodę. U niektórych narodów wschodnich powitanie polega na ucałowaniu brody.

Jak sobie grad, pioruny i burze tłumaczyli dawni Słowianie, a mianowicie Czesi.

Niema większej klęski dla rolnika jak grad. Cóż to za boleść przejmuje serce gospodarza, kiedy na wschodzące lub dojrzewające zboże spadnie gęsty grad i zbije plon, a często wgniecie go w ziemię. Całą zaś niwę zamieni w błoto, na którem po wyschnięciu nie pozostanie ani śladu roślinności. W taki sposób, jak dziś, od gradu marniała i dawniej praca rolnika.

Ponieważ słowiańskie ludy od dawien dawna trudniły się rolnictwem, zatem zbiory zboża i wszelkie przeszkody w tychże zbiorach obchodziły przodków naszych zawsze. Że zaś burze i grady zrządzały najstraszniejsze klęski w rolnictwie, zatem Słowianie starali się obmyśleć przeciw nim zaradcze środki, by się od nieszczęść uchronić. Teraz, kiedy z biegiem czasu uczeni przekonali się dokładnie, że grad tworzy się z marznącego raptem w górze deszczu, — że zatem siła ludzka nie jest w stanie zapobiedz gradobiciu, to pozakładano towarzystwa, w których ubezpieczyć się można od szkód, jakie sprawia gradobicie, a to przez opłacenie niewielkiej rocznej składki.

Dawniej jednak tak nie było.

Opiszemy tu, jak sobie tłumaczyli przyczyny gradu i piorunów w dawnych czasach Czesi i jak, albo czem od nich uchronić się i zabezpieczyć chcieli.

Przekonamy się zaś z tego opisu, że i u nas w niektórych okolicach te same zwyczaje zachowują ludzie. Będzie to zatem jeden więcej dowód, że należymy do jednej wielkiej słowiańskiej rodziny narodów razem z Czechami, Serbami i t. d.

W religii wszystkich Słowian tak samo, jak w religiach innych pogańskich ludów władzę nad piorunami przyznawali ludzie jednemu z bogów. U Słowian bożek ten nosił różne nazwiska; nazywał się więc Piorunem, Perkunem, Perunem i tak dalej, Rzymianie nazywali go Jowiszem, a Grecy — Zewsem. Słowianie uważali go za boga nielitościwie złego i dlatego obawiali się go bardzo... Chcąc go zaś sobie pozyskać, żeby on im nie robił krzywdy, spuszczając grad i pioruny, składano mu różne ofiary. Jeżeli jednak bardzo ten bożek broił, to jest, gdy często sypał piorunami, gromami i gradem wreszcie, to mu ludziska po prostu grozili, a nawet do niego w niebo strzelali z łuków i innej broni, chcąc tym sposobem nielitościwego bożka zastraszyć i zmusić niejako, by zaprzestał krzywdzić ludzi. Tak samo niegrzecznie obchodzili się ze swoim Jowiszem i Rzymianie. Opowiadają naprzykład w historyi, że kiedy raz podczas uczty, wydawanej przez jednego rzymskiego cesarza, zerwała się gwałtowna burza z piorunami, wtedy cesarz rozgniewany, że mu Jowisz w zabawie przeszkadza, wydał rozkaz strzelania i ciskania kamieńmi w niebo. Kamienie jednak spadały naturalnie na ziemię i mnóstwo jego ludzi poraniły i pozabijały nawet.

Pioruny nazywają dotąd w Czechach «gromową strzałą», «bożym posłem», a wyobrażali je sobie dawniej jako ognistych kogutów, czarne kury lub wielkie kule. Znacznie później moc sprowadzania na ziemię burz, gradu i piorunów zaczęto przypisywać czarownicom i czarownikom, czyli wogóle ludziom, posądzonym o wspólnictwo ze złymi duchami. Wielu też wówczas ludzi, posądzonych o takie niby sprowadzanie klęsk, najniesłuszniej cierpiało prześladowanie, a nawet śmierć niekiedy ponosiło.

Bojąc się skutków burzy, jak to już powiedziano, skoro tylko ujrzeli zbliżające się chmury, udawali się ludzie najprzód z prośbą do «Pioruna», a gdy ten po dobremu nie słuchał ich, to trąbili, bili w kotły i tym podobnie

hałasowali, a nawet strzelali do nieba, aby niesfornego bożka nastraszyć. Nawet po zaprowadzeniu chrześcijaństwa nie zaraz ustały wśród ludzi te pogańskie praktyki! Pioruny, jako przynoszące klęski i nieszczęścia, uważano zawsze za posłów mocy piekielnej, a pragnąc uwolnić się od nich — modlitwą je odpędzano. Wtedy to zamiast strzelania zaczęto dzwonić w dzwony lub trąbić z wieży kościelnej.

Sądzono, że sam odgłos dzwonów rozpędzi chmury. To bicie w dzwony tłumaczą też Czesi następującem podaniem. Powiadają oni mianowicie, że bardzo dawno już temu wyszło kilku sąsiadów pogawędzić sobie pod cienisty buk. A że to był upał, posłali tedy jednego z dzbankiem do pobliskiego jeziora. Kiedy tę wodę wypili, poszedł z dzbankiem drugi zaczerpnąć świeżej wody. Powrócił jednak bez wody i powiedział towarzyszom, że jezioro zamarzło. Z początku nie chcieli oni jemu wierzyć i wstali, aby się naocznie przekonać. Otóż wtedy zobaczyli oni niby na jeziorze kilku szatanów, jak lód rąbali, ci tłukli w kawałki i nasypawszy sobie do worków, umawiali się dokąd z tym towarem udać się mają.

— Aby nie tam, — rzekł jeden — gdzie chowają dużo psów, boby na nas szczekały.

Psami nazywał szatan dzwony, w które bili ludzie na odstraszenie burzy. Takim więc sposobem niektórzy Czesi tłumaczyli sobie powstanie gradu i tak się przed nim zabezpieczali biciem w dzwony.

A może, jak twierdzą niektórzy uczeni, którzy badali zwyczaje dawnych ludów, chciano w Czechach za pomocą głosu dzwonów, osobliwie w nocy, dać znak okolicznej ludności o zbliżającej się burzy, aby więc tym sposobem pobudzić mieszkańców do czujności na wypadek ognia. Zapalano też wtedy w domach światło prawdopodobnie dla tego, aby ciągłe błyskawice nie sprawiały w ciemnościach zbyt przykrego wrażenia. Z czasem w tym celu zaczęto używać świec poświęcanych umyślnie na to w dzień Oczyszczenia Matki Boskiej, to jest 2-go lutego. Dlatego święto owo nazwane zostało «Gromnicznem», to jest święto święcenia gromnic, świec od gromu. W Czechach zaś prócz tego ustanowione było osobne święto, Świętego

Jana i Pawła, w dniu 26-go czerwca, kiedy poświęcano gromowe świece, bo gromnic z 2-go lutego używają i tam również w godzinę śmierci. Prawdopodobnie w Czechach to święto umyślnie obrano w czerwcu, że, jak wiadomo, w tym miesiącu najczęściej burze bywają.

W czasie burzy wyświęcano też w Czechach domy wodą święconą, obnosząc przy tem cztery Ewangielie, pisane w czasie Bożego Ciała. Zwyczaj ten i u nas zachowują z tą różnicą, że nawet zakopują cztery Ewangielie po czterech rogach pola, aby je od gradobicia uchronić. Niektóre też rośliny uważają w Czechach za skuteczne od burzy. — W pewnych naprzykład okolicach Czech 10-go sierpnia, w dzień świętego Wawrzyńca ubierają domy jarzębiną, najczęściej nawiązaną na nitki, jak Różaniec. Ma to chronić od gradów i piorunów. Dlaczego zaś u Czechów panuje taki zwyczaj, to nam objaśnia następujące podanie. Pewnego razu święty Wawrzyniec uciekał przed nieprzyjacielem i ukrył się w jednej chacie. Wtem nastała noc. Nieprzyjaciel tedy, nie mogąc świętego męża po nocy odszukać, zaznaczył sobie ten dom, zawieszając nań gałązkę jarzębiny. Ale nazajutrz, jak mówi podanie, wszystkie domy we wsi były jarzębiną ubrane i to uratowało świętego Wawrzyńca.

Rozmaitości.

Tresowane małpy.

W jednym z ogrodów zoologicznych pod Paryżem, ogólny podziw wzbudzają tresowane małpy — szympansy. Przedsiębiorca urządza nawet przedstawienia na scenie, w których role, zamiast aktorów, odgrywa para szympansów. Zmyślne te zwierzęta zachowują się zupełnie swobodnie, rozbierają się, ubierają, jedzą, tak, iż chwilami widz zapomina, że ta wystrojona para, to wytresowani mieszkańcy lasów południowej Afryki.

Szympansy tresurą swoją wprawiają patrzących w podziw; zwierzęta są przytem bardzo łagodne, zaznajamiają się z publicznością, kłaniają się i udają wielkich elegantów. Niedawno zdarzył się bardzo zabawny wypadek.

Podczas nauki jazdy na rowerze, jedna z małp, skorzystawszy z chwilowej nieuwagi dozorcy, pochwyciła rower wskoczyła na siodełko i nim to spostrzeżono szybko wyjechała na ulicę i przeleciała wśród tłumów przechodniów i pojazdów. Urządzono pogoń i niezwykłego cyklistę pochwycono dopiero przy pomocy policyanta. Dyrektor ogrodu zapewnia, że tresurę prowadzi tylko cierpliwością i łagodnością.

Jak długo żyć można bez oddychania?

W Anglii utonęło niedawno dwoje małżonków w rzece Tamizie. Obecnie dla oznaczenia spadkobiercy koniecznem jest ustalenie, który z małżonków umarł ostatni. Ostatni umarł zaś ten, w którego płucach znajdowała się w chwili zatonięcia największa ilość powietrza. Nawet bowiem po utracie przytomności może człowiek jeszcze żyć od 10 do 12 minut bez oddychania, jeżeli płuca wypełnione są powietrzem. — Po pewnej wprawie można nabrać do płuc tyle powietrza, że wyrzymać można bez oddychania 12 minut. Łowcy pereł przebywają pod wodą przeciętnie od 3 do 4 minut.

Wiek panujących.

Z powodu zmiany tronu w Anglii podają dzienniki francuskie wiek panujących w Europie. Najstarszym jest Cesarz austryacki Franciszek Józef, który kończy w sierpniu bież. roku 80 lat życia; po nim idzie król rumuński, Karol, który obchodził w roku bież. 70 rocznicę życia. Król duński Fryderyk liczy 67 lat, król serbski, Piotr, ma lat 66; król szwedzki Gustaw: 52 lat; cesarz niemiecki Wilhelm II. 51 lat; król grecki Jerzy i sułtan turecki Mahomed mają po 50 lat życia; car bułgarski Ferdynand: 49 lat, król włoski Wiktor Emanuel: 41 lat; król norweski Haakon: 38 lat; król belgijski Albert: 35 lat, król hiszpański Alfons: 24 lat, król portugalski Manuel: 20 lat, nowy król Anglii Jerzy: 44 lata.

Kraj bez napojów alkoholicznych.

Pierwszym krajem w Europie, w którym nie wolno będzie sprzedawać trunki upajające, jest wyspa Islandya, należąca do Danii. Już w roku 1900 zakazano tam fabrykować trunki, dozwolono tylko dowozić je z innych krajów i sprzedawać.

W roku 1908 oświadczyła się cała ludność wyspy w powszechnem głosowaniu, aby zakazano zupełnie przywozu napojów alkoholowych. Dnia zaś 1-go marca bież. roku zajmował się tą sprawą sejm i uchwalił znaczną większością głosów zabronić nietylko przywozu, ale i sprzedaży alkoholu. Król duński uchwałę tę już potwierdził. Wejdzie ona w życie od stycznia 1912 roku i od tego dnia alkohol znajdować się tam będzie tylko w aptekach. U nas chyba nigdy do tego nie przyjdzie, choć alkohol czyni straszne spustoszenia.

Psie mięso w Niemczech.

Dziennik angielski *Daily Chronicle* doniósł niedawno, że robotnicy w Niemczech zjadają rocznie dużo psów, zwłaszcza w Saksonii, w okolicy Chemnitz i Krottendorf.

Zainteresowana tem doniesieniem pewna gazeta berlińska wysłała w owe okolice swego korespondenta, który przekonał się o zupełnej prawdziwości doniesienia owej gazety angielskiej.

W rzeźni miejskiej miasta Chemnitz, liczącego dziś 270 tysięcy mieszkańców, zabija się rocznie około 800 psów, które dostarczają około 8 tysięcy kilogramów mięsa i smalcu.

Cała ta ilość mięsa psiego znajduje chętnych nabywców i spożywana bywa przez miejscową ludność robotniczą. Są nawet jadłodajnie, gdzie podają wyłącznie psie pieczenie przypominające podobno smakiem tłustą baraninę. Rzecz znamienna, że ci co lubią mięso psie, brzydzą się mięsem kociem. Najbardziej cenionem jest mięso psów pokojowych, jako najtłustsze, najmniej zaś mięso psów myśliwych jako żyłowate i suche.

Pierwszym lekarzem na świecie,

o którym ludzkość ma wiadomość, był Egipcyanin Hetep (siewca pokoju), żyjący około 4.500 lat przed Chrystusem. Pamięć jego przetrwała w Egipcie przeszło 4 tysiące lat. Jak wielkie miał on znaczenie, świadczy ogromny jego grób po śmierci i oddawana mu cześć boska.

Niezawodny środek.

Niedawno temu ogłoszono w gazetach znakomity środek przeciwko ciężkim i niespokojnym snom. Pewien jegomość, który na takie sny często cierpiał, nie miał nic spieszniejszego, jak zamówić ten środek i posłał żądane pieniądze. Punktualnie też odebrał odwrotną pocztą ową nieocenioną receptę, na której było napisane: Nie śpij pan wcale.

Coś podobnego zdarzyło się w Czarnkowie. Obywatel tameczny, który wskutek zbytecznego gaszenia pragnienia miał nos czerwony, gdy wyczytał w gazetach o środku przeciwko czerwonym nosom, natychmiast poprosił o ten środeczek; zażądano od niego nadesłania 5 marek, a gdy ów obywatel kwotę żądaną odesłał, odebrał po kilku dniach taką receptę: Pij dalej to ci nos zesinieje. Bądź więc zupełnie spokojny.

Tanio sprzedana krowa.

Cesarzowa austryacka, ś. p. Elżbieta, gdy przybyła po raz pierwszy do jakiejś miejscowości zagranicznej miała zwyczaj kupować krowę i odsyłać ją do swojego dworu na Węgrzech. W roku 1896 przyjechawszy do Biaric, we Francyi, zamieszkała w hotelu. W okolicy kupiła piękną czarną krowę u wieśniaka i kazała, aby przygnał ją do hotelu i pytał się o hrabinę Hohenembs. Gdy wieśniak przypędził krowę i pytał się o hrabinę, myślano że to waryat i chciano go wyrzucić. Nikt nie myślał, że cesarzowa kupiła krowę tak daleko od swej stolicy. Ale chłopina upierał się, że musi hrabinie krowę oddać.

W czasie sprzeczki dowiedział się wieśniak, że owa niby hrabina, to cesarzowa! Wtedy zaczął się trapić, że za tanio krowę sprzedał. „Od hrabiny było to dosyć — krzyczał — ale od cesarzowej za mało“. Ledwie zdołano zrozpaczonego chłopka uspokoić. Są ludzie, którzy lubią udrzeć łyka, gdzie się da.

Ile pałaców posiada cesarz niemiecki?

Oprócz pałaców, które należą do dóbr koronnych, posiada cesarz Wilhelm II. jeszcze 49 takich, które stanowią jego własność prywatną. Cesarz niemiecki jest również największym właścicielem ziemskim w Prusiech, mając 83 posiadłości w obszarze 100 tysięcy hektarów. Drugim jest książę pszczyński, który ma 80 posiadłościo bszaru około 60 tysięcy hektarów.

Największa restauracya na świecie.

Największym restauratorem jest Józef Lyons w Londynie. Zatrudnia on w swym interesie 10 tysięcy kucharzy, piekarzy, kuchcików i kelnerów; serwisy jego liczą 30 tysięcy talerzy i 50 tysięcy filiżanek w najróżniejszych kolorach i formach; bielizna stołowa tworzy całe góry. Dniem i nocą wypieka ośm olbrzymich pieców chleb i bułki. Do kuchni zabijają tygodniowo stada wołów, świń i cieląt; masła zużywa się 30 tysięcy kilogramów na tydzień, owoce i jarzyny przychodzą wagonami.

Ostatnim występem Lyonsa był obiad, urządzony przez niego z okazyi jubileuszu uniwersytetu w Aberdeen, dla 2500 uczestników, dla których dostarczyła restauracya Lyonsa 90 żółwi, 220 udźców baranich, 1.200 kuropatw, 200 kotletów, 2.500 przepiórek, 500 kapłonów, 1.200 gruszek, 350 melonów, 1.600 brzoskwiń i 6.500 funtów winogron; serwis wynosił 4 tysiące srebrnych talerzy, 50 tysięcy kilogramów porcelany i szkła. Zapasy te dostawiono do Aberdeen specyalnym pociągiem, a gości obsługiwało 750 kelnerów.

W jakie drzewo piorun najczęściej uderza?

Uczeni zbadali przyczyny, dla których w jedne drzewa piorun częściej, w inne rzadziej uderza. Zależy to od tego, ile zawartości olejowej drzewo posiada. Drzewa z wielką zawartością oleju są najmniej na uderzenie pioruna narażone, natomiast w drzewa o wielkiej zawartości mączki, a małej zawartości oleju często piorun uderza. Na tem się opierając, można powiedzieć, że najrzadziej uderza piorun w drzewa orzechowe i bukowe, częściej w jodły, a najczęściej w dęby, topole i wierzby. Jednakże podczas burzy najlepiej wogóle nie stawać pod drzewem.

Długość życia Europejczyków

przedstawia się według obliczeń porównawczych w cyfrach następująco: Ludzie żyjący w sferze północnej żyją przeciętnie 62 do 64 lat. W Anglii, Holandyi, Belgii i Francyi żyją 53 do 57, w Niemczech i Austryi 43 do 44 lat — a dlatego tak krótko, bo życie w tych państwach z powodu ciężkich stosunków społecznych jest istotnie walką o byt, a taka walka skraca życie.

Gdzie są największe kościoły?

W Rzymie jest kościół św. Piotra, który może pomieścić 54 tysiące osób. Katedra w Medyolanie 37 tysięcy. W Konstantynopolu kościół św. Zofii 23 tysiące. Kościół Notre Dame w Paryżu 21 tysięcy. W Pizie, w katedrze zmieści się 13 tysięcy. W Wenecyi, w kościele św. Marka 7 tysięcy 500.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Figle i żarty.

Do jednego celu. I znowu się kłócicie? Zastanów się pani: mąż i żona powinni dążyć oboje do jednego celu...

— Dlatego właśnie się kłócimy, bo mąż chce koniecznie rządzić domem i ja także...

Ale się zemścił. Pewien rzeźnik spotyka się na ulicy ze znajomym piekarzem.

— Zkąd to? — pyta piekarz.

— Byłem u ciebie — mówi rzeźnik — i kupiłem sobie bochenek chleba.

— A gdzież go masz?

— W kieszeni od kamizelki — mówi złośliwie rzeźnik.

— Poczekaj, ja się już zemszczę na tobie — pomyślał piekarz.

Po kilku dniach znowu spotkał rzeźnika.

— Zkądże to? — pyta tenże.

— Od ciebie — brzmi odpowiedź piekarza. — Kupiłem u ciebie świński łeb.

— A gdzie go masz?

— Ano, pod kapeluszem! — brzmi tryumfalna odpowiedź piekarza.

W koszarach. Rekrut: — Chciałbym już doprawdy umrzeć.

Feldwebel: — A widzicie go, toby mu smakowało, leżeć cały dzień w trumnie i nic nie robić.

Niemożliwe. Przy ćwiczeniach kawaleryi zawołał kapitan na jednego ochotnika:

— Zejdź na ziemię i przypatrz się, jak źle siedzisz na koniu.

Szczyt dokładności. Kapitan okrętu wchodząc do kajuty pewnego pasażera rzekł:

— Panie profesorze okręt tonie!

— Dziwna rzecz! — mówi profesor do siebie — a w programie podróży nie ma o tem ani wzmianki!

Pytanie i odpowiedź. Który doktór ani jednego człowieka nie wyprawił na tamten świat?

— Weterynarz.

ŚWIATŁO

pismo powieściowe i popularno-naukowe

wychodzi **raz** w miesiącu — około dnia **1-go.**

Wydawca i redaktor: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

Rocznik II. (Półrocze II.) — **Numer 2.**
(Za sierpień 1910 r.).

Adres: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie
ulica Powiśle L. 12.

KRAKÓW.
Nakładem Ks. M. Dziurzyńskiego.
Czcionkami Drukarni Związkowej pod zarządem A. Szyjewskiego.
1910.

Treść numeru 2-go.

Rozszerzajcie „Światło“

i jednajcie nam nowych prenumeratorów jak najwięcej, bo gdy się w tym roku zbierze większa liczba Czytelników, to w takim razie podawać będziemy w każdym numerze „ŚWIATŁA“ piękne ryciny (obrazki).

Zdania Papieży i Biskupów o popieraniu prasy!

Papież **Pius IX.** powiedział: **„Żądamy, aby katolicy życzliwie popierali tych, którzy wydają pisma przejęte duchem katolickim“.**

Pius X., który niegdyś jako Patryarcha Wenecyi gotów był zastawić swój pastorał biskupi, aby podtrzymać pewne pismo weneckie, wyraził się już nieraz jako Papież, że „**popieranie dobrej prasy katolickiej** (czyli pism) **jest o wiele lepszem dziełem, niż budowanie kościołów i klasztorów“.**

W podobny sposób mówił w roku 1908 o prasie na wiecu katolickim w Saragossie (w Hiszpanii) Arcybiskup Aguirre z Bourgos. Wyrzekł on te słowa: „**W dzisiejszych czasach jest rzeczą większej wagi dać światu jedno pismo prawdziwie katolickie, niż zbudować kościół“.**

Kardynał Parochi mawiał: W czasach, gdy Kościołem rządził Leon X., udzielano hojnie odpustów tym, którzy składali ofiarę na budowę kościoła świętego Piotra. Ja zaś na klęczkach prosiłbym Ojca świętego, aby udzielał odpustów wszystkim, którzy przez popieranie prasy katolickiej współuczestniczą w budowaniu żywego Kościoła Bożego“.

Rocznik II. Kraków 1-go sierpnia 1910. (Półrocze II-gie) Nr. 2.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok: 3** korony — na **pół roku: 1** koronę **50** hal. — Do Niemiec na rok: **4** korony — półrocznie **2** korony. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie ul. Powiśle 12.

Najmilszy wizerunek.

(Zdarzenie z czasów męczeńskich).

(Dokończenie).

Oktawian po niejakim czasie wyciągając ręce ku obrazowi, zawołał z uczuciem:

— O moja miłości! teraz cię zaczynam poznawać, i do ciebie tylko chcę wiecznie należeć!

Te słowa, jak grom uderzyły młodą niewiastę; tłumacząc je na swój sposób, tak je pojęła, iż pokochał jakąś inną kobietę, w której wizerunek wpatrując się, rozmawiał z nim, jak z nią samą. Szalona zazdrość w jednej chwili ogarnęła jej serce; nie stała już dłużej, ale zbiegła ze schodów i podążyła do domu, gdzie rzuciwszy się twarzą na posłanie, w rozpaczy i złości noc całą bezsennie we łzach spędziła.

Uczuła teraz jak silnie kochała Oktawiana, a że jako poganka nie umiała znieść z poddaniem cierpienia serca, jak to nas uczy nasza religia, w niepohamowanej zazdrości zapragnęła zemścić się na tej kobiecie, która jej serce ulubieńca zabrała.

W jednej chwili obmyślała sobie plan postępowania i nazajutrz rano, oznajmiwszy sługom swym, że z Rzymu wyjeżdża, dom opuściła, a zabrawszy z sobą tylko jedną

wierną niewolnicę wyprowadziła się na ową znaną sobie uliczkę, do domu, w którym mieszkał Oktawian i złożywszy opłatę właścicielowi domu, zajęła pokój położony naprzeciw młodzieńca.

Twarz miała ciągle welonem zasłoniętą, więc i Oktawian nawet spotkawszy ją, poznać jej nie mógł.

Zamiarem jej było, aby dnia każdego i każdej chwili mogła widzieć Oktawiana i dojść wreszcie, czyj wizerunek był mu tak drogim, dlatego starała się wymyślić sposób, aby kiedyś wejść do jego mieszkania i malowidłu przyjrzeć się blizko, bo przez okno dojrzeć nie mogła kogo przedstawia, gdyż farby były jego ciemne. Oktawian jednak drzwi zawsze na klucz starannie zamykał, wychodząc z domu, a wychodził nieraz na cały dzień prawie. Kornelia ciekawą była wprawdzie gdzie chodził, chodzić jednak za nim nie śmiała, ograniczając się na podpatrywaniu w domu. Oktawian spostrzegłszy kilka razy niewiastę z zasłoniętą twarzą wpatrującą się w jego okno, zapytał ją raz poważnie, nie poznając jej:

— Czego chcesz odemnie kobieto, jeśli niczego nie potrzebujesz, odejdź i zostaw mię w spokoju.

Młoda wdowa zaczęła coraz ostrożniej postępować, lecz gdy razu pewnego, we dwa tygodnie później, spojrzawszy wieczorem na spuszczoną firankę, spostrzegła, że przesuwały się po niej cienie, jakoby kilku osób, zaciekawiona podeszła ku oknu. Lecz nie stanęła blizko, wsunęła się tylko w znajdującą się opodal framugę w murze i słuch wytężyła. Usłyszała rozmowę z kilku głosów złożoną, a odbywającą się wewnątrz pokoju, nic jednak zrozumieć nie mogła: gdy przecie po niejakim czasie gwar na ulicach miasta przycichł, a głosy w pokoju ożywiły się, dosłyszała kilka słów wyraźniejszych, a między nimi takie: «wiara, męczeństwo, prześladowanie, wytrwałość», ale jej te słowa nie rozjaśniły niepewności.

Po chwili firanka w oknie podniosła się i ukazała się w niem twarz Oktawiana, który z ostrożności chciał się przekonać, czy kto nie podsłuchuje.

Nie dojrzał on wsuniętej w zagłębieniu muru kobiety, więc znów zapuszczając zasłonę, odwrócił się ku zgroma-

dzonym i rzekł do nich półgłosem, ale tak wyraźnie, że Kornelia słyszała każde jego słowo:

— Moi drodzy, choć od niedawna jestem uczniem i wyznawcą chrześcijańskiej nauki, czuję się już waszym bratem i szczerze was miłuję, uznając, iż wspólną wiarą związani, tworzymy jedną wielką rodzinę, której ojcem i głową jest sam Pan nasz Jezus Chrystus.

Nie mogę dość wdzięcznym być Jemu, iż łaską swoją oświecił mię i pozwolił mi przez przyjęcie do serca słowa Jego, wynagrodzić choć w części lata, zmarnowane w próżności światowej i błędach pogańskich.

Kochani bracia, moje mieszkanie jest dość odosobnione i od tłumu miejskiego odsunięte, dlatego wybraliście je dzisiaj na wspólne modlitwy, lecz zdaje się, że i tu bezpieczni nie jesteśmy, bo nas także wyśledzić kto może. Prześladowanie chrześcijan świeżo nakazane przez cesarza Domicyana, wzmaga się, lada dzień może zostaniemy tu odkryci, ujęci i rzuceni na męczarnie, lub pożarcie przez dzikie zwierzęta. Taki koniec niechybnie nas czeka, by nowy prawdziwy żywot nam otworzyć. Może też dziś ostatni raz się widzimy, cieszmy się, że choć wspólnie pomodlić się możemy. Hymnu śpiewać dziś nie będziemy, bo głos jego, rozchodząc się daleko, zdradziłby naszą kryjówkę, ale pod twojem przewodnictwem dyakonie January, odmówimy pacierze, a Pan łaskawie wejrzawszy na nas, którzy w Jego świętem Imieniu zgromadziliśmy się tutaj, próśb naszych wysłucha i w wierze nas umocni.

— Bóg z tobą, nasz bracie, — odezwały się głosy między przybyłymi, — niedawno między nas wszedłeś, ale łaska pańska wspiera cię zapewne, i wiara twoja żywą być musi, kiedy gotów jesteś na męczeństwo.

I za głosem dyakona wszystkie inne jednozgodnie powtarzać zaczęły pacierz pełen zapału, wiary i spokoju, a po skończonych modlitwach, pozdrowiwszy się w Imieniu Pana, zaczęli się wysuwać z cicha nowi chrześcijanie z mieszkania Oktawiana, aby wyszedłszy na ulicę, porozchodzić się nieznacznie w różne strony miasta i zniknąć w ciemnościach nocy, nie ściągając uwagi rzymskiej policyi, która pilnie czyhała na schadzki chrześcijan, aby ich chwytać i do więzień sprowadzać.

Oktawian został sam jeden i znów w obraz się wpatrzył. We framudze muru stała jeszcze osłupiała ze zdziwienia Kornelia. Nie mogła ona uszom swym uwierzyć, iż z ust jego usłyszała wyznanie chrześcijańskiej wiary. Nie mogła pojąć, jak ten człowiek, którego tak ukochała, i który ją tak miłował, mógł się wyrzec jej miłości, a dobrowolnie przyjąć tę religię, którą ona zawsze za szaleństwo uważała, jak mógł porzucić życie bezpieczne i wesołe, a narażać się na prześladowanie i śmierć pewną.

Ze zgrozą i żalem, nie ruszając się nawet z miejsca, dumała młoda kobieta o tej niespodziewanej dla siebie wiadomości i była już gotową, w wielkiem rozżaleniu, otworzyć drzwi do pokoju Oktawiana, rzucić się przed nim na kolana i błagać go, aby nową wiarę porzucił, a jej nie robił nieszczęśliwą, lecz właśnie w chwilę po wyjściu zebranych u Oktawiana gości, jakieś głośne krzyki dały się słyszeć na ulicy.

Były to wołania rzymskich policyantów, którzy spostrzegłszy kilku ludzi jednocześnie z domu wychodzących obskoczyli ich w koło wołając:

— Kto jesteście — czy chrześcijanie i gdzie idziecie?

Ci odrzekli bez trwogi:

— Jesteśmy chrześcijanie, a wracamy do domów.

— Wiązać ich! — zawołał jeden ze starszych żołnierzy, a bojąc się w swym nierozumie, aby który z pojmanych nie starał się uciec, ujął z ziemi kamień i rzucił nim na stojącego na boku młodego chłopca, który już najwięcej był oddalony od towarzyszy, ale także o ucieczce nie myślał.

Kamień trafił chłopczynę w czoło, stracił on przytomność, zachwiał się na nogach i wydając jęk bolesny, oparł się o mur.

W tej chwili zjawił się i Oktawian na ulicy; usłyszawszy bowiem krzyki od siebie, zbiegł prędko by zobaczyć, czy się co nie stało jego współwyznawcom.

Gdy ujrzał chwiejącego się chłopca, podbiegł ku niemu i podpierając go, chciał ratować. Lecz żołnierz pogański, rozgniewany za ten ratunek, przyskoczywszy do Oktawiana, ugodził go tak silnie w piersi mieczem, że ten

wypuściwszy z rąk towarzysza sam padł bez jęku na bruk uliczny.

Żołnierz zostawił go na ziemi, a sam podążył za innymi, otaczającymi nowo pojmanych jeńców, którzy teraz zaczęli hymn głośny na chwałę Panu swemu śpiewać, idąc swobodnie i bez trwogi, choć wiedzieli, że dziś lub jutro krew swą wyleją.

Oktawian leżał tak bez oznaki życia czas jakiś na ziemi, wreszcie Kornelia, która widziała, iż on na odgłos krzyków wyszedł na ulicę, przeczuwając niebezpieczeństwo, choć go zrozumieć jeszcze nie mogła, poszła za nim i wpatrując się w ciemność, ujrzała go leżącego, na ziemi, o kilka kroków od domu.

Schyliła się nad nim, podtrzymując mu głowę rękami i rzekła zcicha:

— Oktawianie!

Ranny otworzył oczy, lecz nic nie ujrzał, zapytał tylko:

— Kto mię woła?

— To ja Oktawianie, twoja Kornelia, powiedz, co ci jest i co z tobą zrobić?

Oktawian lekko się uśmiechnął i rzekł:

— Niech mię zaniosą do mego mieszkania.

Kornelia zawołała dwóch ludzi z pomiędzy tych, którzy się zbiegli na odgłos ulicznego hałasu, i poleciła im zanieść ostrożnie Oktawiana na górę.

Gdy go do pokoju wnieśli i położyli na łóżku, przerażona Kornelia wpatrując się w jego twarz bladą, ujrzała jak jego oczy już mgłą śmierci się zasłaniają, a z rany w serce zadanej krew po trochu sączyć się nie przestaje.

— Umrę zaraz — rzekł cicho — dobrze, że tu jesteś Kornelio, i mogę cię jeszcze pożegnać.

Młoda poganka padając przy nim na kolana i przypomniawszy sobie powody swej zazdrosnej miłości, zawołała:

— Nim umrzesz Oktawianie, powiedz mi, jaką kobietę nade mnie ukochałeś, dla której mnie porzuciłeś, a w której wizerunek pewnie tak często spoglądałeś?

Oktawian rzekł łagodnie:

— Nie dla innej kobiety ciebie opuściłem, ale dla miłości Tego, którego nad wszystko ukochałem. Jego to wizerunek, który ze wszystkich był mi najmilszym. Patrz, oto On — rzekł wskazując na wiszący obraz, który przedstawiał ukrzyżowanego Pana naszego Jezusa. — On moją najwyższą miłością, umieram, ale przez Niego żyć będę wiecznie, oczy moje zamykają się, ale przez Niego światło nieskończone zajaśnieje mi. Kornelio droga, którą aż do końca miłuję, przeczytaj napis, który jest u spodu obrazu:

«Jam jest droga i prawda i żywot».

— Oto słowa, Kornelio, które niech ci będą wskazówką. Gdy ja umrę niech mnie pochowają w katakombach, a ty weź do siebie ten wizernek, który odtąd niech i dla ciebie najmilszym się stanie.

Kornelio bądź chrześcijanką, a Bóg w niebie nas może połączy.

To były ostatnie słowa młodego męczennika. Umierającą dłonią ujął rękę Kornelii, ciągle na kolanach przy nim klęczącej i uścisnął na znak pożegnania.

Potem wziął w ręce mały żelazny krzyżyk, który nosił na piersi, i całując go skonał.

Smutna kobieta umaczała chustkę swoją w krwi jego rany, by ją jako pamiątkę zachować, a później, usunąwszy się od pogańskiego świata, i wyuczywszy się nauki chrześcijańskiej, przyjęła chrzest święty. W sercu do śmierci przechowała pamięć tego, który najdroższym jej był niegdyś z ludzi, a czcząc i wielbiąc w duszy Tego, który jej tak jak wpierw jemu, ponad wszystko najdroższym został na świecie.

Ludzie długowieczni.

Niezliczone mamy z dawnych i nowszych czasów przykłady długowieczności, tak liczne, że możnaby niemi całe tomy zapełnić. Lecz w niewielu tylko stosunkowo wypadkach znane nam jest życie tych ludzi, którzy tak znacznie przekroczyli średnią miarę życia ludzkiego.

A jednak byłaby to rzecz niezmiernie ciekawa, a nawet pouczająca i pożyteczna wiedzieć, w jaki sposób oni cieszyli się tak wyjątkową długowiecznością, czy za pomocą dogadzania sobie we wszystkiem, jedząc i pijąc dobrze, czy prowadząc życie wstrzemięźliwe i czynne.

Ażeby znaleźć odpowiedź na to pytanie, przejrzyjmy kilka poważnemi świadectwami poręczonych życiorysów ludzi, przeszło stuletnich.

Najsłynniejszym ze wszystkich ludzi długowiecznych z dawniejszych czasów, był chłop angielski, Tomasz Paar czyli Parres. Urodził się on w roku 1483 we Winningtonie, umarł w roku 1635, mając lat 152 i miesięcy dziewięć. Ożenił się po raz pierwszy w 80 roku życia, a po 32-letniem pożyciu małżeńskiem stracił żonę, z którą miał dwoje dzieci, poczem, mając lat 120, poślubił młodą wdowę, którą również przeżył. Do ostatnich niemal dni życia wykonywał ciężkie roboty, nie wyłączając młócki, przyczem żywił się zawsze najprostszemi pokarmami. Dopiero krótko przed śmiercią zaczęły mu niedopisywać wzrok i pamięć. Żył zawsze nadzwyczaj skromnie, pożywienie jego składało się głównie z chleba, sera, piwa i mleka.

W roku 1635 hrabia Arundel sprowadził tego człowieka jako dziwny okaz na dwór króla Karola I. do Londynu, gdzie nawykłemu do prostego jadła starcowi zastawiono najwykwintniejsze potrawy i napoje, w następstwie czego 19-go grudnia tego roku umarł z powodu cierpienia żołądkowego. Słynny lekarz Harwey dokonał badania jego zwłok i stwierdził, że wszystkie jego narządy były zupełnie zdrowe, z czego wywnioskował, iż zmarły byłby mógł żyć o wiele dłużej, gdyby nie pożywienie niezwykłe.

Niemniej głośny od poprzedniego był norweg, Jakób Drakemberg. Żył on pod panowaniem siedmiu monarchów duńskich i umarł w roku 1770 w Arhus w Jutlandyi, mając lat 147. W wczesnej młodości zaciągnął się do marynarki, do 91 roku życia służył jako majtek, w którym to czasie dostał się do niewoli tureckiej i w niej 15 lat pozostawał. Mając lat 111, ożenił się z 60-letnią

wdową, a po jej zaś śmierci uderzył w zaloty do młodej dziewczyny wiejskiej.

O daleko starszym jeszcze człowieku zamieścił w roku 1878 wiadomość londyński tygodnik «The Lancet». Na zebraniu lekarskiem w Bogocie w Ameryce Południowej dr. Ludwik Hermandes opowiadał o niedawnych swych odwiedzinach u pewnego gospodarza wiejskiego, nazwiskiem Miquel Solis. Człowiek ten miał lat 180, co potwierdził własnoręczny jego, przez niego samego, uznany podpis na liście tych, którzy składkami swymi przyczynili się w roku 1712 do wzniesienia klasztoru Franciszkanów w San Sebastian. Dr. Hermandes zastał staruszka gorliwie pracującego w ogrodzie. Skóra jego miała wygląd pergaminu, długie śnieżno-białe włosy okręcone były naokoło głowy. Solis odpowiadał chętnie na wszystkie zadane mu pytania i oświadczył, że późny wiek przypisuje jedynie nad wyraz umiarkowanemu życiu jakie od najwcześniejszej młodości prowadził, nigdy bowiem nie zdarzyło mu się przebrać miary w jedzeniu ani piciu.

«Jadam teraz tylko raz dziennie — mówił — ale za to tęgie i pożywne potrawy, które mnie nieraz dobre pół godziny czasu kosztują, zanim się z niemi uporam. Lecz widzi pan, niepodobna chyba przez pół godziny zjeść więcej, aniżeli można strawić przez godzin 24. O mięso mało dbam; pierwszego i piętnastego każdego miesiąca poszczę cały dzień, poprzestając wówczas jedynie tylko na wodzie. Wszystkie potrawy spożywam dopiero wtedy, gdy dobrze ochłodną i ostygną, tej ostrożności przypisuję moje późne lata».

Powyższe przykłady długowieczności mogłyby być jeszcze znacznie pomnożone, lecz poprzestańmy tu na tych kilku przytoczonych wypadkach prawdziwych i świadectwami lekarskiemi poręczonych.

Otóż, czy sposób życia tych wszystkich starych ludzi był jednakowy? — Nie! — Czy może od dzieciństwa już znajdowali się oni w szczególniej przyjaznych warunkach, pozwalających im w odpowiedni sposób pielęgnować i oszczędzać swe ciała? — Także nie!

Większość ludzi stuletnich nawet z nielada mozołem przebijać się musiała przez życie. O żadnym z nich również

nie znajdujemy wzmianki, jakoby był jakimś wyjątkowo silnym ustrojem ciała obdarzony.

Przeciwnie człowiek o słabym organiźmie, umiejący oszczędzać i zarazem wzmacniać swój organizm, może dłużej żyć aniżeli osobnik, obdarzony lwią siłą, a postępujący nieumiarkowanie. Doświadczenie uczy, że «natury słabe» często okazują o wiele większą odporność względem chorób i innych wpływów szkodliwych, aniżeli silne. Szczególnie stosuje się do świata dziecięcgo, gdzie wrodzona słabowitość, nie może być zawsze uważana za wróżbę niepomyślną na przyszłość.

Zdrowie bowiem i siły cielesne, to kapitał, który tem dłużej trwa, im oszczędniej się z nim obchodzimy, podczas gdy rozrzutność pod tym względem mści się nietylko na kieszeni, ale na samem życiu. Zyć tedy należy we wszystkiem z umiarkowaniem, zachowując zawsze miarę i równowagę dla ducha i ciała.

Zgon Zawiszy Czarnego.

(Rok 1428).

Zygmunt, król rzymski i węgierski, zebrawszy wojsko z Węgrów i Polaków, ruszył zbrojno na pogranicze Turcyi. Podstąpił potem pod zamek Gołubiec, leżący nad Dunajem, a niedawno przez Turków opanowany. Sułtan turecki Amurat, dowiedziawszy się o zdobywaniu zamku Gołubca, który już do niego należał, w potędze swojej zaufany, wyszedł zbrojno przeciw królowi Zygmuntowi. Lecz gdy król Zygmunt o jego zbliżeniu się powziął od szpiegów wiadomość, strwożony odstąpił od oblężenia i, cofnąwszy się za Dunaj, z większą częścią wojska pospieszył do Siedmiogrodu. Została część mniejsza, odwodowa, która dla małej liczby statków wodnych przeprawić się przez Dunaj nie mogła.

Między pozostałem wojskiem wielu było znakomitych rycerzy; jeden z nich Zawisza Czarny z Garbowa, starosta Spiski. Król Zygmunt wysoko cenił rzadką męża tego odwagę i dzielność, jakiej w każdym czasie dawał

dowody; dlatego wiedząc, że pozostałe rycerstwo wielce od Turków było zagrożone, posłał po niego łódź, z rozkazem, aby wsiadłszy do niej, chronił się przed grożącem niebezpieczeństwem. Ale on, jako rycerz, przestrzegający gorliwie swojej sławy, uważając to za rzecz niegodną, aby towarzyszów swoich w chwili ostatniej miał odstępować, wołał wraz z nimi poddać się niebezpieczeństwu. Nie dbając zatem o własne ocalenie, odprawił łódź, przysłaną przez króla Zygmunta, a przywdział zbroję błyszczącą. Poczem siadłszy na konia niedużego wzrostu i wziąwszy ze sobą dwóch tylko pachołków, z kopiją podniesioną wybiegł przeciw wojskom tureckim.

Niebawem obskoczony od Turków, którzy wzięli go za króla lub jakiego książęcia dla zbroi świecącej i połowy czarnego orła, którego miał w herbie na płaszczu rycerskim, okrywającym zbroję, dostał się w niewolę. A gdy mu zdjęto z głowy szyszak i jako jeńca prowadzono go do sułtana, powstał spór żwawy między dwoma żołnierzami tureckimi, któregoby rzeczywiście był jeńcem. Wydzierali go sobie nawzajem, domyślając się w nim godności królewskiej. Lecz kiedy słabszy nie mógł się oprzeć mocniejszemu, dobywszy kindżała, uciął głowę Zawiszy. Tak mąż znakomity, który w wieku swoim nie miał równego, życia nędznie dokonał. Głowę jego zaniesiono sułtanowi tureckiemu; ciało, odarte ze zbroi, w Racowie pogrzebali.

Znaczna liczba rycerzy poległa w tej bitwie, ale żaden nie przewyższył Zawiszy Czarnego szlachetnością i dzielnością bohaterską. Nietylko w tej bitwie, w której pojmany zginął, ale we wszystkich wyprawach okazywał się on rycerzem dzielnym i znakomitym; słynął odwagą i wielkimi czyny, w których mu nikt nie wyrównał. Był zaś w mówieniu słodki i ujmujący, tak iż nietylko zacnych i szlachetnych, ale barbarzyńców nawet swoją uprzejmością zniewalał.

Miał przedewszystkiem ten rzadki w sobie przymiot, że jak w bitwie najśmielszy zapał, tak w radzie najumiarkowańszą okazywał rozwagę; i godzien za swe dzieła bohaterskie Homera samego pochwał. Z wielkimi umysłu darami łączył biegłość w sztuce wojennej, której nabył już

to przez wrodzoną zdolność, już przez ćwiczenie i wprawę, służąc wojskowo w różnych krainach. Samo szczęście nastręczyło mu sposobność tem większego zalecenia i wsławienia swojej odwagi, aby podejmując śmierć tak chwalebną, raczej zajaśniał nią, niż zginął.

Zygmunt, król rzymski i węgierski, dziwiąc się jego cnotom za życia, zwykł był często powtarzać: że wielu królów zgon nie będzie tak sławnym i głośnym, jak Zawiszy Czarnego. I sprawdziły się jego słowa. Bo gdy w walce za wiarę Chrystusa inni sromotnie pouciekali, on poniósł śmierć zaszczytną, która imię jego w całem chrześcijaństwie głośno wsławiła. Zawiszę Czarnego długo opłakiwała Polska, straciwszy w nim szczególniejszy zaszczyt i ozdobę.

WYBRYKI PIORUNÓW.

Ogień niebieski zabija więcej ludzi, niż przypuszczamy; — badając te wypadki, trzeba istotnie podziwiać różnorodność zjawisk elektrycznych. Oto kilka przykładów. Pewien młody żołnierz wyszedł od krewnych po burzy i widząc, że deszcz znowu pada, zaczął biedz, żeby prędzej dostać się do koszar. W tem uczuł, że coś go porywa i przenosi na drugą stronę placu, o 100 łokci dalej i rzuca ścianę. Nie widział wcale błyskawicy, nie słyszał grzmotu. Jednocześnie piorun wpadł do sąsiedniego domu, przewrócił krzesło, potłukł butelki, w oborze zaś zabił dwie krowy.

Żołnierz miał stłuczone kolano i podrapane ręce, ale zresztą nic złego mu się nie stało. Gorzej piorun obszedł się z młodym pasterzem na łące: biedny chłopak został zupełnie zwęglony.

Wiadomo, że największe niebezpieczeństwo grozi ludziom, którzy podczas nawałnicy chronią się pod drzewa. Kilku podróżnych uciekając przed deszczem, spostrzegło człowieka i psa pod wierzbą objętych płomieniem. Widząc, że żadne się nie rusza, zbliżyli się i przekonali, że to były już trupy.

Trzech żołnierzy stanęło pod drzewem podczas burzy. Piorun uderzył i wszystkich zabił; mimo to stali jak przedtem. Kiedy minęła nawałnica, ludzie zaczęli na nich wołać, a nie odbierając odpowiedzi, podeszli do nich. Za pierwszem dotknięciem zabici rozsypali się i został z nich tylko stos popiołu.

Grom nie zawsze sieje śmierć i zniszczenie, lecz niekiedy bawi się w figle. Raz naprzykład, zdarł z pewnego przechodnia odzież, bieliznę i obuwie, zostawiając mu tylko jeden mankiet. Łatwo wystawić sobie zdumienie przechodnia, kiedy otrzeźwiony chłodem odzyskał przytomność i przekonał się, w jakim jest stroju.

Często trafiają się wypadki, że piorun zdziera z człowieka ubranie i trzewiki, nie wyrządzając mu żadnej szkody.

Tym sposobem przekonano się raz, że pewien mężczyzna był w istocie przebraną kobietą: piorun podarł na strzępy odzież i bieliznę i odrzucił je daleko.

Pewnej kobiecie stopił w uchu kolczyk: oprócz wstrząśnienia, nic złego jej się nie stało, tymczasem krowy pasące się obok niej na łące, padły nieżywe. Na polu pod Pawią, kula ognista musnęła bose nogi młodej wieśniaczki, wdarła się pod suknie i doszedłszy do szyi, wyleciała przez dziurę w staniku. Dziewczę żadnej nie poniosło szkody, miało tylko czerwoną pręgę na ciele. W jednym z kościołów paryskich piorun spalił jakiejś pani całą pończochę, nie sparzywszy nogi.

W Dampierre, we Francyi, wyrwał nożyczki z rąk szwaczki, siedzącej przy maszynie.

W pewnej wsi, podczas burzy, na szczycie topoli ukazała się ognista kula wielkości jabłka, po gałęziach zsunęła się na ziemię i kręcąc się wśród kałuży, potoczyła się na sąsiedni dziedziniec, gdzie pod wrotami obory stało dwoje dzieci. Jedno z nich przez ciekawość dotknęło jej nogą: natychmiast rozległ się straszny huk, dzieci zostały przewrócone, ale nie poniosły szwanku, tymczasem w oborze znaleziono zabitych kilkanaście sztuk bydła. Jak wytłumaczyć to zjawisko?

Pewien człowiek mijał właśnie krzyż przydrożny, kiedy grom w niego uderzył i powalił o ziemię. Pospieszono

mu na ratunek i rozbierając go, zobaczono na plecach krzyż, odznaczony czerwonemi pręgami. Te zadziwiające zdarzenia dowodzą, jak mało wiemy jeszcze o elektryczności, chociaż z jej usług korzystamy.

Są miejscowości tak szczęśliwe, że pioruny rzadko w nich uderzają, na przykład w Paryżu nigdy prawie nie słyszy się o wypadku śmierci od gromu.

Napoleon I. i jenerał Bertrand.

Jenerał Bertrand był wiernym towarzyszem Napołeona zarówno w dniach sławy i chwały, jak i na wygnaniu w czasie pobytu cesarza na wyspie św. Heleny.

Raz w czasie poufnej rozmowy o różnych sprawach i zagadnieniach, jenerał Bertrand rzekł:

Najjaśniejszy Pan wierzy w Boga i ja wierzę również, ale jakim jest Bóg!.. Jak Go sobie wyobrazić?..

— A czy wyobrażasz sobie co to jest geniusz? — odparł cesarz. — Czy widziałeś kiedy jak wygląda? A jednak masz pojęcie, że jest to wielka potęga. Czy na przykład w czasie bitwy, gdy ważyły się losy nie szukałeś mię spojrzeniem? »Gdzie jest cesarz? rozlegało się dokoła pytanie. Co było w tym okrzyku? czyż nie odczuwałeś w nim wiary ogólnej w mój geniusz? I ja tak samo mam pewność niezachwianą i jak moje zwycięstwa wzbudzają w was ufność we mnie, tak cały cudowny rząd światem daje mi pojęcie o Bogu i wyobrażenie o Jego wszechmądrości. Mój geniusz jenerale i twoja waleczność są, jako ów drobny pyłek lub źdźbło trawy wobec Jego potęgi! Ja Go czuję — ja Go widzę — ja w Niego wierzę!.. Jeśli ty masz jakie wątpliwości, jeśli nie odczuwasz Jego obecności na każdym kroku, prawdziwie żal mi cię jenerale!..

W chwili śmierci.

Czy chwila śmierci bolesną jest czy nie? Nad tem pytaniem zastanawia się dr. Albert. Wywody jego streścić można mniej lub więcej w słowach następujących.

W znacznej większości wypadków chwila śmierci odbywa się zupełnie bez bólu. W razie nagłej śmierci o cierpieniach naturalnie mowy być nie może. Ale nawet w tych wypadkach, gdy ostatnią chwilę dłuższa walka ze śmiercią poprzedza, to pomimo wykrzywionej twarzy, potu śmiertelnego, przerywanego oddechu i rzężenia, prawdopodobnie rzadko kiedy cierpi konający. W miarę bowiem zamierania organizmu nerwy się znieczulają, tak, iż człowiek umierający cierpienia odczuwać przestaje.

Co do tej sprawy daje historya wiele przykładów. Sławny Couvier w ostatniej godzinie liczył uderzenia swego serca, czegoby, naturalnie w razie cierpień nie mógł byłby zrobić.

Ostatnie słowa umierającego Penna brzmiały: «Ach, gdybym mógł utrzymać w palcach pióro i opisać, jak koniec jest łatwy».

Ludwik czternasty, król francuski, wyrzekł krótko przed zgonem: «Sądziłem zawsze, że się więcej śmierci bać będę».

Podobne wypadki spokojnego zaśnięcia snem wiecznym mogą się zdawać wyjątkowymi: liczne jednak opowiadania osób, wyrwanych śmierci w chwili ostatniej, potwierdzają przypuszczenia, że śmierć bez bólu następuje. Powieszeni, uduszeni, topielcy, ludzie wydarci z pazurów dzikich zwierząt zaczynają zwykle cierpieć wtedy, gdy ich przywracają do życia; zbliżająca się śmierć prędzej miłe, niż przykre robiła na nich wrażenie.

Podróżnicy alpejscy Heim i Whymper, którzy obydwaj spadli w górach ze znacznej wysokości, zeznali zgodnie, że w chwili upadku mieli zupełną świadomość tego, co się z nimi dzieje, ale, jak ludzie zachloroformowani, nie czuli wcale obijania się o skały.

Admirał Beaufort, ocalony od utonięcia opowiadał, że od chwili, gdy w walce z żywiołem opuściły go siły, minął

od razu strach podniecenie nerwowe. «Utonięcie nie wydało się niczem strasznem: jeżeli wtedy wogóle cośkolwiek czułem, były to raczej uczucia przyjemne». Podobnie brzmią opowiadania innych topielców.

Tak samo też śmierć z zamarznięcia poprzedzona jest przez zupełne znieczulenie; ludzie marznący odczuwają ogromną senność i zwykle, nie mogąc jej się oprzeć kładą się, aby nie wstać więcej.

Ponieważ nikogo z nas śmierć nie minie, przyjemnie słyszeć, że ta ostatnia chwila będzie przynajmniej bez bólu.

Naturalnie zupełnie wiarogodnego sprawozdania o śmierci nie mamy i nigdy mieć nie będziemy

Dawne zwyczaje przy stole.

Narzekamy dziś na niegrzeczne lub niestósowne zachowanie się niektórych ludzi przy jedzeniu. Ale pocieszmy się, bo i dawniej nie było pod tym względem lepiej.

Nasi przodkowie uważali, że nie przystoi kaszleć przy stole lub drapać się po głowie, mimo to uważali niekiedy te czynności za konieczne, i wtedy aby je wykonać wstawali od stołu, albo się odwracali.

Jeść pełnymi usty również uchodziło za nieskromność. Wolno jednak było użyć serwetki, jako chustki do nosa, a potem... wytrzeć nią talerz lub szklankę. W zwyczaju było również, jeśli po zjedzeniu zupy wlewało się do talerza wino z kieliszka i wypijano je wprost z talerza. Tutaj zwykle gospodarz dawał «dobry» przykład.

Kości wolno było ogryzać i wysysać, o ile przytem nie mlaskało się zbyt głośno. Jeśli palce powalały się tłuszczem, obcierało je się najpierw chlebem, a potem dopiero serwetką. Wolno było w pewnych wypadkach pluć na ziemię, zwłaszcza, jeśli się w usta wzięło coś bardzo niesmacznego. O ile to był kąsek, to powinno się go było wyjąć dwoma palcami prawej ręki i albo schować do kieszeni albo rzucić pod stół na ziemię.

ZMYŚLNOŚĆ ZWIERZĄT.

(Dokończenie).

Przytoczyliśmy już poprzednio przykłady zmyślności u psów i kotów; lecz i u innych zwierząt możemy ją podziwiać. Obok psa najrozumniejszem zwierzęciem jest bezsprzecznie koń.

Koń, z którym się dobrze obchodzą, rozumie każde słowo, każde skinienie swego pana. Lekka zachęta słowem «wio!», lub co najwyżej słabe szarpnięcie lejcami wystarczy już, aby koń ruszył z miejsca.

Na słowo «wichi» i «hetta» zwraca się na lewo lub na prawo, zupełnie jak człowiek, któremu każemy iść w prawą lub lewą stronę. Pana swego zna koń dobrze i na głos jego zbliża się, dając się pieścić i głaskać. Jak bardzo jest przywiązany do swego pana i do stajni, w której się wychował, świadczy o tem najlepiej następujące zdarzenie:

W Szlezwiku, prowincyi niemieckiej, która leży między morzami Bałtyckiem i Niemieckiem, jest maleńka wysepka Barso, o kilometr od lądu stałego odległa. Na tej wysepce mieszkał jeden wieśniak, który sprzedał raz klacz, z jednorocznem źrebięciem innemu mieszkającemu na stałym lądzie nad brzegiem. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu zobaczył nazajutrz dawny właściciel klacz swą ze źrebięciem stojącą pod drzwiami jego domu.

Przepłynęła ona kanał morski, dzielący wyspę od lądu, by powrócić do swej stajni. Wzruszony tem wieśniak zwrócił pieniądze nabywcy, nie chcąc mu odstąpić swej tak wiernej klaczy.

Konie można nauczyć rozmaitych sztuczek, a konie tak wyuczone można widzieć po cyrkach. Tańczą więc tu konie według muzyki, kłaniają się i wyprawiają różne najpocieszniejsze figle.

Wieleż jest takich ciemnych ludzi, co uważają konie za leniwe z natury, które trzeba batem do pracy napędzać. Ale jest to nieprawda, bo koń będzie chętnie pracował, byleby tylko go nie przeciążać. Dowodem tego jest następujące zdarzenie.

W Kijowie był przy straży pożarnej koń, który zawsze ciągnął sikawkę na miejsce pożaru. Ale po latach koń się zestarzał, sterał siły i przeto przydzielono go do jakichś innych podrzędnych, chociaż nie mniej ciężkich robót. Pewnego razu, stojąc w stajni, słyszy koń sygnał pożarowy, przypomina sobie dawną swą służbę pędzi ze stajni i staje obok wozu pożarnego, jak gdyby prosząc, aby go do dawnej przypuszczono pracy. — Czyż koń ten nie zawstydził niejednego swą ochotą do pracy?

Do konia podobny jest osieł, którego uważamy niesłusznie za bardzo głupie zwierzę. Tymczasem przeciwnie, jest on dosyć pojętny i często chodzą po miastach z osłami tak wyuczonymi, że poznają godzinę na zegarze; jeżeli jest godzina 10-ta, to osieł uderza 10 razy kopytem o ziemię.

W gorących krajach żyją zwierzęta nazwane małpami, które budową bardzo zbliżają się do budowy człowieka. Małpy, szczególnie mniejsze gatunki, widzieli zapewne nieraz czytelnicy w menażeryach, lub u wędrownych cyganów, którzy pokazują z tymi zwierzętami rozmaite figle. Małpki te tańczą, ubierają się w przygotowane dla nich suknie. Szczególnie ciekawem jest u małp to, że naśladują, o ile mogą najwierniej, wszystkie ruchy ludzkie, co świadczy o ich dość znacznej roztropności.

Posłuchajmy, co mówi sławny przyrodnik Brehm o szympansie (gatunek wielkiej małpy).

Jak bystro szympans wszystko bada, dowodzi tego jego sąd o ludziach prawie zawsze słuszny. Zna on i rozróżnia życzliwych dla siebie ludzi od niechętnych. Najchętniej przebywa każdy szympans, z którym się dobrze obchodzimy, w kółku rodzinnem.

Tutaj zachowuje się tak, jakoby był wśród równych mu istot. Zważa dokładnie na zwyczaje domu i poznaje, czy kto na niego patrzy, czy nie. W pierwszym razie czyni to, co powinien, w drugim zaś to co, mu się właśnie podoba. Bardzo łatwo uczy się tego, czego go uczymy, n. p. siedzieć prosto przy stole, podawać sobie potrawy do ust łyżką lub widelcem, pić ze szklanki lub filiżanki, mięszać cukier w szklance, i t. p. Również łatwo przyzwyczaja się do ubrania, kołdry i łóżka; bez wszelkiego trudu rozu-

mie mowę ludzką, i to lepiej od psa, i spełnia powiedziane mu rozkazy. Jest bardzo wrażliwy na wszelkie pochwały i pieszczoty a również i na naganę. Okazuje nadzwyczaj wielkie przywiązanie do dzieci. Postępuje sobie z niemi, jak długo go nie drażnią, bardzo uprzejmie, z małemi zaś i niedołężnemi z prawdziwie rozczulającą delikatnością, chociaż dla innych zwierząt szympansy są nieprzyjazne.

Wzruszająco zachowuje się chory, ciężko cierpiący szympans. Żałośnie prosząc, prawdziwie po ludzku patrzy w oczy pielęgnującemu go, podaje mu ręce i wystawia język, gdy tego potrzeba, przyjmuje chętnie lekarstwo, pozwala dokonywać na sobie nawet najboleśniejsze operacye, wogóle zachowując się tak, jak chory cierpliwy człowiek.

O ptakach i innych zwierzętach możnaby przytoczyć niezmiernie wiele i bardzo ciekawych przykładów ich zmyślności i pojętności, ale na razie niema na to miejsca, bo trzebaby tem całą książkę zapełnić. Wspomnę tylko nieco o mrówkach, które, jak pszczoły są najroztropniejsze ze wszystkich owadów.

Jak każdy wie, mrówki mieszkają gromadnie w tak zwanych mrowiskach.

Mrówki dzielą się na trzy stopnie: samce, samice i robocze, których to ostatnich jest najwięcej i które wypełniają w mrowiskach wszystkie roboty. Spostrzeżono, że mrówki trzymają sobie w mrowiskach małe owady, zwane mszycami, o barwie zielonej, ale nie wiedziano, w jakim celu to czynią. Wreszcie wyszła rzecz na jaw. Otóż mszyce mają z tyłu ciała dwie cieniutkie rureczki, z których wydzielają sok słodki.

Mrówki przepadają za słodyczami, więc chwytają mszyce, uprowadzają je do mrowiska i tu je trzymają dla własnej korzyści.

Gdy mrówka chce skosztować trochę soku, to łaskoce mszycę za te rureczki, a mszyca wydziela zaraz sok, który mrówki wypijają. Jak więc ludzie chowają sobie krowy, tak mrówki chowają u siebie mszyce.

Ale nie dosyć na tem. Zauważono, że koło mrowisk niektórych mrówek, mianowicie amerykańskich, rośnie

wiele roślin, szczególnie grzybów. Badając bliżej, przekonano się, że mrówki same pielęgnują te grzybki, bo one im służą za pokarm.

Mrówki więc mają swoje własne ogrody!

Czyż mrówki nie są więc dla nas wzorem pracowitości i przezorności?

Cóż więc wynika z tych wszystkich przykładów, które przytoczyliśmy?

Otóż zwierzęta nie są tak głupie, jak się niejednemu zdaje. Zwierzę ma pewne, że tak powiemy, zdolności umysłowe, ono potrafi myśleć i rozumieć, a te wszystkie przymioty możemy zwiększyć przez stósowne obchodzenie się i uczenie. Uzyskać to możemy za pomocą mowy, zachęty, ale nie katowaniem. Prędzej pojmie zwierzę człowieka, gdy się z niem dobrze obchodzi, niż gdy je ciągle biczem okłada. Nam chodzi o to, by zwierzę czyniło to, czego chcemy, i by spełniało nasze życzenia, a uzyskać to możemy jedynie dobrem obchodzeniem się i łagodnością. Jak bowiem człowieka nikt jeszcze niczego nie nauczył samym tylko postrachem i kijem, tak też zwierzęcia nikt katowaniem i dręczeniem zjednać sobie i czegoś nauczyć nie potrafi.

Żona Rabina Moeir.

(Legenda hebrajska).

Dzień był sabbatu i rabbi Moeir uczył lud w bożnicy Pańskiej, mówił do niego słowami pokoju i wiary, a tymczasem śmierć weszła do jego domu i umarło mu dwóch synów, dwóch młodzieńców pięknych i w zakonie narodu swojego uczonych. Kiedy młodzieńcy padli już trupem, matka wzięła w objęcia dwa ciała martwe i wyniosła je na przedsień domu, ułożyła razem na łożu na jednem, jak nieraz czyniła, gdy jej synaczkowie maleńcy spali cicho i przykryła jakby sennych zasłoną całunu białego.

Kiedy wieczorem rabbi powrócił, oczy jego szukały ich i rzekł żonie:

— Gdzie są synowie moi? Niech przyjdą, abym im dał błogosławieństwo święta skończonego.

Żona rabbi Moeir stała przed nim, kiedy to mówił; a matka synów pomarłych rzekła z cicha:

— Dziś rano poszli młodzieńcy do szkoły...

— Czyż nie wrócili dotąd — zapytał rabbi. — Byłem w szkole i nie widziałem ich, wołałem, ale nie odpowiedzieli. W domu Bożym nie było ich także, kiedym nauczał.

— O! byli już wtedy w domu Bożym, w przybytku spokojnym i łaskawym dla tych, którzy wchodzą cicho — odrzekła kobieta.

— Znać nie dojrzałem ich — rzekł mąż.

Żona podeszła ku niemu i podała mu czarę z napojem dobrym, który krzepi, a on uczyniwszy Panu dzięki sabatu dokonanago, napił się i rzekł znowu:

— Gdzież są synowie moi? Niech przyjdą powiadam, aby pili też ze mną wino błogosławieństwa.

— Synowie nasi blizko są — odparła kobieta i podała mężowi wieczerzę, aby jadł.

Więc jadł i pożywał spokojnie, a gdy już nasycił się i uczynił Bogu dzięki, żona rabbi Moeir odezwała się:

— Panie mój, pozwól, abym ci uczyniła zagadnienie jedno w rzeczy wątpliwej, która trapi me serce.

— Mów ukochana — rzekł do niej mąż słodko, bo była mu bardzo miłą.

Kobieta trzymając oczy spuszczone, jak ktoś zalękniony, rzekła:

— Jest osoba potężna i bogata bardzo skarbami wielkiemi, która użyczyła mi z nich do czasu dwóch klejnotów drogocennych, abym też miała dobro jakieś do rozweselenia serca. Dziś przyszła i zażądała zwrotu: czyż słuszną jest rzeczą oddać bogactwo pożyczone jej bez sporu?

Rabbi spojrzał surowo na mówiącą i odparł:

— Zaliż to umiłowana moja pyta się o to? Któż wątpił kiedy, że właściciel jest panem rzeczy swojej i ma prawo dawać ją, albo odbierać, kiedy mu się podoba?

Wtedy żona wzięła męża za rękę i przywiódłszy go w przedsionek domu, uniosła zasłony łoża, która kryła martwych i rzekła:

— Patrz jak synowie twoi śpią snem twardym i dlatego też nie mogłem przyzwać ich do ciebie, kiedy żądałeś.

Ojciec młodzieńców, pomarłych śmiercią nagłą, wyciągnął ręce ku ich trupom zimnym i wołając: «O dzieci moje! dzieci moje!» padł twarzą o ziemię.

Matka odwróciła się płacząc, ale wnet potem pochyliła się ku leżącemu i dotykając lekko ramienia jego, rzekła łagodnie:

— Panie mój, czyliż nie nauczałeś dopiero, że oddaje się bezspornie dobro pożyczane? Bóg dziś odebrał sobie to, co nam było niegdyś dane przez Niego i niech imię Jego będzie pochwalone.

— Niech imię Jego będzie pochwalone — powtórzył rabbi za małżonką swoją, która była mocna i wspomagała go.

Pielęgnowanie chorych.

O lekarzach powiedział pewien profesor, że «tylko dobry człowiek może być dobrym lekarzem».

W całej pełni tak samo powiedzieć trzeba o osobach, które zajmują się pielęgnowaniem chorych. Tylko osoba szczerze oddana, która spełnia ten obowiązek z miłości bliźniego, zdolną będzie otoczyć chorego należytą opieką.

Na cóż uważać najbardziej przy pielęgnowaniu chorego?

Przedewszystkiem, by koło niego była czystość i by miał dostatek świeżego powietrza. To są dwa najważniejsze lekarstwa!

Co za bolesny widok, jaki nieraz oglądać można w domu, gdzie chory leży. Barłog wstrętny, brudny, cuchnący, a na nim chory. — Łazarz w brudnych łachach, po których nieraz łazi plugastwo! To nie przesada, ale prawda oczywista. I co gorsza, że nie tyle, a przynajmniej nie zawsze bieda, nędza tego przyczyną, lecz niechlujstwo, nieporadność i lenistwo domowników.

Pierwszą więc rzeczą, możliwie jak największy utrzymać koło chorego porządek. Łóżko prześcielać, bieliznę da-

wać czystą, choćby co drugi dzień. Niema jej na tyle, ale przecież wody dosyć, więc przeprać bodaj jaka jest, jak najczęściej. By zaś pościel nie gniła pod chorym, gdy ją zanieczyszcza podłożyć mu kawał ceraty. Przecież to nie kosztuje tak wiele. Częsta znowu zmiana bielizny ogromnie przyczynia się do pomyślnego przebiegu choroby.

Nie zapominać o tem, by choremu codziennie obmyć twarz i ręce letnią wodą, choćby się nawet wzbraniał przed tą operacyą. Usta zaś wytrzeć mu przegotowaną wodą z dodatkiem szczypty soli. To odświeża chorego.

Gdy chory leży dłuższy czas na wznak, trzeba go odwracać codziennie i nawet zmuszać do leżenia na boku, jeśli to nie sprawia mu duszności. Części ciała, narażone na odleżenie, a więc krzyże i pośladki zmywać zawczasu octem, wódką lub spirytusem kamforowym. Jeżeli zaś chory zanieczyszcza się odchodami, użyć do zmywania trzyprocentowej wody karbolowej lub borowej. Baczyć też pilnie, by posłanie nie miało fałdów, guzów, by chory nie leżał zanieczyszczony, gdyż to wszystko powoduje rychłe odleżenie.

Skoro pokaże się już odleżyzna, co poznać po zarumienieniu się powyższych części ciała, ułożyć chorego na poduszce z otworem tak, by części odleżone wchodziły w otwór poduszki. Poduszkę taką można kupić lub zrobić w domu, wypychają dosyć długi, ale cienki worek płócienny włosiem, watą lub sianem. Wypchany worek złączyć końcami ze sobą. Powstanie więc poduszka w kształcie kiszki lud obwarzanka.

Historya masła.

Niewiadomo wprawdzie, kiedy rozpoczęto wyrabiać masło, stało się to jednak w każdym razie bardzo dawno. Pierwszą historyczną wzmiankę o maśle znajdujemy w Biblii, mianowicie w 18-tym rozdziale księgi Genesis czytamy, że Abraham podejmował między innymi masłem i mlekiem trzech Aniołów, którzy mu zwiastowali urodzenie syna. Później prorok Izajasz mówi (w rozdziale 7), że syn Dawida

będzie spożywał masło i miód, a w drugiem miejscu przepowiada mu, że będzie miał tyle krów do dojenia, że będzie spożywał samo masło. Także święte księgi Indów, które powstały w 1.500 lat przed narodzeniem Chrystusa, wspominają już o używaniu masła przy pewnych ceremoniach religijnych. Zdaje się więc, że już starzy Aryjczycy, praojcowie przeważnej części ludów Europy i Indów, znali najważniejsze przetwory mleka.

Natomiast ludy, mieszkające dokoła Morza Śródziemnego, w pierwszej linii Grecy i Rzymianie, nie znali masła w pierwszych przynajmniej wiekach swej historyi. Ani Homer, ani Euripides, ani Teokryt nie wspominają nigdy o maśle, jakkolwiek mówią nieraz o mleku i serze. Także Arystoteles, który w «Historyi zwierząt» omawia różne rzeczy pozostające w związku z mlekiem i serem, ani słowem nie wspomina jednak o maśle. Rzymianie poznali masło stosunkowo późno, bo nauczyli się wyrobu jego od Germanów. Pliniusz wspomina o niem, że jest jednym z najlepszych przysmaków, używanych przez barbarzyńców. Długi czas używali jednak masła Rzymianie i Hiszpanie tylko jako środka leczniczego do gojenia ran. Natomiast Germanie, Słowianie i Celtowie przyjęli po Aryjczykach obyczaj jadania masła. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa używano masła w miejsce oliwy w lampach przed ołtarzami. Zwyczaj ten utrzymywał się w Abisynii bardzo długo.

* * *

Gruntowną rozprawę o maśle napisał Holenderczyk, uczony Marcin Schookins w roku 1641. Wstępne rozdziały swej pracy poświęcił znaczeniu słowa «masło» w językach greckim, łacińskim i niemieckim. Wspomina o Scytach i znanym sposobie, w jaki masło wyrabiali. Następnie opisuje różne sposoby wyrobu masła, środki używane do zabarwiania masła i t. p. Stwierdza, że w Hiszpanii używają jeszcze masła w pierwszej linii do gojenia ran i wrzodów i zaleca masło jako środek do czyszczenia zębów. Kończy swą pracę na naiwnem nieco twierdzeniu, że bez przemysłu holenderskiego nie byłoby masła na świecie, nawet w Indyach. Tyle niewątpliwie jest prawdy w tych sło-

wach, że w połowie XVII. wieku stosunkowo najwyżej pod względem wyrobu masła stały Niderlandy. Później przyszedł także długi okres przewagi Francyi na tem polu. W ostatnim zaś czasie masło innych krajów, przedewszystkiem Danii, wypiera coraz bardziej masło francuskie na międzynarodowym targu.

Czy słońce może wzniecić pożar?

Wiadomo, że w krajach podzwrotnikowych piasek bywa tak rozpalony, że można w nim ugotować jajko. Wypadki pożaru wskutek działania promieni słonecznych zdarzają się nietylko tam, ale i w strefie umiarkowanej, a wobec dość licznych dowodów niepodobna wątpić o możliwości tego faktu. W Brookfeld, stanie Massachusetts [1]), cieśla zawiesił na stosie drzewa wełnianą kurtkę, w której znajdowały się zapałki; było to w południe, w dzień upalny; kurtka wisiała kilka godzin na słońcu, zapałki się zatliły i wskutek tego wynikł pożar. Wiadomo jak silnie podczas lata rozgrzewają się dachy blaszane, szyfrowe lub z papy; niektórzy radzą nawet przykrywać je w południe mokremi szmatami, ażeby uniknąć wypadku.

Uczeni oddawna już znali sposób skupienia promieni słonecznych za pomocą wklęsłych zwierciadeł i szkieł palących; Archimedes [2]) miał się posługiwać niemi w celu spalenia floty rzymskiej. Znane jest doświadczenie z prochem, który wybucha pod wpływem promieni słonecznych skupionych we wklęsłem szkle: takiego szła użyć można do rozniecania ognia lub zagotowania wody.

Nawet zwyczajne szyby szklane mogą rozniecić pożar i dlatego we wszystkich fabrykach prochu szyby u drzwi i okien, są pociągnięte białą farbą. W jednym domu zdarzyło się, że na oknie powieszono okulary; był to pokój wystawiony na południe i przeznaczy na skład sienników i pościel. Okulary odegrały tu rolę szkła palącego i wznieciły pożar, który z trudnością przysło ugasić.

[1]) W Ameryce północnej.
[2]) Sławny w starożytności matematyk.

W Plymouth [1]) zapaliło się raz płótno gumowe od rezerwoaru lampy naftowej, na którą przez kilka godzin padały promienie słoneczne. W Dreźnie zdarzył się taki wypadek: na stole pokrytym serwetą leżał przycisk do papierosów, wsparty na czterech szklanych kulach. Słońce od kilku godzin na nie padało. Nagle właściciel spostrzega dym wydobywający się z pod przycisku i przekonywa się, że serweta zapaliła się od rozgrzanych kul szklanych.

W pewnym kościele podczas lata codzień w południe zapalała się ławka drewniana; w końcu proboszcz doszedł, że przyczynę było słońce, którego promienie skupiały się w ozdobnej szybie umieszczonej ponad ławką. Nawet na okrętach wynikają nieraz pożary z tego samego powodu.

W Plymouth, w roku 1876 zapaliła się na parowcu kajuta, pokazało się, że przyczyną ognia była okrągła szyba, szklana, na którą słońce działało od kilku godzin. Wiele wypadków pożaru, których powód dotąd był nieznany, teraz w ten sposób można będzie wytłómaczyć.

Rozmaitości.

Odpoczynek świąteczny w Australii.

Anglicy — jak wiadomo — zachowują spoczynek niedzielny z całą surowością. Lecz niedziela angielska jest niczem w porównaniu do niedzieli i pół dnia środy w Australii.

I tak, skoro wejdzie kto do restauracyi we środę w chwili, gdy zegary miejskie wydzwaniają dwunastą, ujrzy zdumiony, jak wszystkie kelnerki odwracają się od gości i zrzuciwszy fartuchy, spieszą, jak na komendę, ku wyjściu. Jeżeli zaś gość wszedł do restauracyi na kilka minut przed dwunastą i zdążył już zamówić zupę, to może mu się zdarzyć, że kelnerka, niosąca talerz, usłyszawszy bicie zegara, postawi talerz na najbliższym stole, nie dbając czy gość zgłosi się po niego, a sama najspokojniej odejdzie.

---

[1]) W Anglii.

Do jednego z teatrów, w którym odbywało się we środę przedstawienie popołudniowe, wszedł jakiś jegomość z brodą do połowy ogoloną, tłómacząc się tem, że fryzyer odmówił mu stanowczo golenia drugiej połowy, ponieważ wybiło południe.

Zdaje się to nieprawdopodobnem, a jednak jest prawdziwem, że w Sydney, mieście liczącem pół miliona mieszkańców, obcy przybysz nie dostanie w niedzielę nic do zjedzenia. Co prawda, niektóre restauracye wydają potajemnie potrawy, po pierwsze jednak trzeba wiedzieć, gdzie są takie restauracye, powtóre zaś można narazić się bardzo łatwo na aresztowanie za przekroczenie rozporządzenia o odpoczynku świątecznym.

Prawdziwy strach ogarnia Sydnejczyków, gdy zdarzają się dwa dni świąt z rzędu, w ciągu bowiem dni tych miasto staje się martwem i nawet zwłoki ludzi, zmarłych w przeddzień świąt, muszą leżeć niepochowane, choćby nawet zagrażały ludności zarazą, gdyż żaden z grabarzy nie zgodzi się na pogwałcenie wygodnego mu prawa.

W obronie Nerona.

Powszechne jest zdanie, od dawna za pewne przez historyków uznane, że cesarz Neron kazał podpalić Rzym dla swej przyjemności, aż gdy lud zaczął się potem burzyć, zwalił całą winę pożaru na chrześcijan i zaczął srodze ich prześladować.

Jakiś uczony nazwiskiem Huelsen udowadnia teraz, że w nocy z 18-go na 19-go lipca w 64-tym roku po narodzeniu Chrystusa, w której zaczął się Rzym palić, była pełnia, a takiej jasnej, jak dzień nocy nie wybranoby do spełnienia zbrodni. Raczej tedy przypuścić należy, że ów pożar był dziełem wypadku, a wiatr południowy przerzucił go na dalsze dzielnice. Profesor włoski Profumo opierając się na powyższem twierdzeniu Huelsena, napisał obszerną o tej sprawie książkę.

Raj na ziemi.

Edison, amerykański wynalazca różnych elektrycznych maszyn wykazywał niedawno w pewnej gazecie ame-

rykańskiej, że już w 2.100 roku oglądać będzie ludzkość dziwy, przechodzące granice najbujniejszej fantazyi.

Człowiek już niebawem będzie czerpał środki do swego życia z ziemi i wody, ale i z powietrza, wskutek czego życie stanie się bardzo taniem, a biedny robotnik będzie mógł sobie pozwalać na takie pańskie życie, jak milioner. Znajdą się też w owym czasie takie środki lecznicze, że wyzwolą ludzkość z wszelkich chorób.

Za lat 200 — ta pisze Edison — najbiedniejsi ludzie będą się mogli ubierać modnie, nosić sztuczne jedwabie, piękniejsze od prawdziwych, a najważniejsze to, że wojny znikną zupełnie z powierzchni ziemi. — Szkoda, że my już wtedy żyć nie będziemy.

Miasto długowieczności.

Stwierdzono że w mieście Chicago (w Ameryce), mieszka przeszło 30 osób, które przekroczyły setny rok życia. Rzecz ciekawa, iż najstarszą osobą w mieście jest Polka niejaka Katarzyna Dąbrowska licząca 109 lat życia.

Listy cywilne panujących.

Cesarz niemiecki i król pruski zażądał niedawno od parlamentu, by ten uchwalił mu podwyższenie listy cywilnej czyli pensyi na utrzymanie dworu do **19 milionów marek**, (to jest przeszło 22 miliony koron). Cesarz austryacki pobiera tak samo: 22 miliony koron; car rosyjski również przeszło 22 milion koron, król angielski pobiera niespełna 15 milionów koron, król hiszpański przeszło 8 milionów koron, król belgijski około 3 miliony koron, król włoski przeszło 14 milionów koron, król bawarski około 6 milionów koron, król saski przeszło 4 miliony koron; natomiast prezydent Francyi pobiera tylko przeszło milion, koron a prezydent Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki nie całe 250 tysięcy koron.

Chińskie przysmaki.

Pewien bogaty i wysoki urzędnik chiński (mandaryn) w Pekinie zaprosił raz posła fracuskiego p. M. de

Montiuje na obiad. Gościnny mandaryn postarał się o najwybredniejsze przysmaki chińskie, by gościa należycie uczcić.

Poseł francuski przyniósł ze sobą dobry apetyt, gdy jednakże zobaczył spis potraw, stracił całkiem chęć do jedzenia.

W spisie potraw zapowiedziane były między innemi: smaczne nerki końskie, nietoperze, przypiekane pająki i pieczone białe myszy. Poseł naturalnie nie poruszył żadnej z tych potraw. Mandaryn widząc to, rzekł wśród uprzejmego uśmiechu:

— Ekscelencyo, następne dania zapewne przypadną do gustu.

Poseł odzyskał nadzieję, lecz tylko na krótki czas, albowiem podano półmisek, na którym leżał pieczony pies, ustrojny rakami. Gość nie mógł już ukryć swego oburzenia.

Widząc to uprzejmy mandaryan, rzekł:

— Jeżeli ekscelencya i tą potrawą gardzi, ubliżasz mi, gdyż jestem mocno przekonany, że ekscelencya skosztujesz pieczeni psiej.

Gość: — Ja, ja miałbym...

— Naturalnie pies przecież jest przyjacielem ludzkości.

Gość przyczynił się do życzenia mandaryna i wziął sobie — raka.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Figle i żarty.

Złe pocieszenie. Matka, pocieszając córkę po utracie starającego się.

— Maniu! nie rozpaczaj, bądź mężną.

— Jabym wolała być zamężną, odpowiada córka.

Ładna pociecha. Lekarz: Cóż, jakże się pan czuje po tem ostatniem lekarstwie?

Chory: — Jeszcze mi coś brakuje, panie doktorze — wydaje mi się teraz głupio...

Lekarz: — No, to dobra oznaka — widocznie przychodzi pan już do siebie.

Słuszna odpowiedź. Janie! Znowu spiłeś się jak bydlę!

— Wielmożny pan jest dla mnie niesprawiedliwy; ja piłem co innego, niż bydlę!

Nasi żebracy. Proszę wielmożnego pana o wsparcie... chociaż grosz dla chorej żony!

— A cóż jest żonie waszej?

— O, nieszczęśliwa kobieta! już więcej, jak dwa lata leży chora na cholerę.

To dziwne. Cóż ty robisz, Janie — woła pan na sługę — przyniosłeś mi parę butów, wcale nie należących do pary. Jeden z cholewą, a drugi bez cholewy — czy oczu nie masz?

Na to sługa:

— Dyć właśnie i mnie już to dziwiło, ale, co najdziwniejsza, to to, że w szafie jest akurat taka druga para.

Zaczęła od drugiej. Maryśka robi na drutach pończochy; nadchodzi matka i pyta:

— Dużo zrobiłaś od wczoraj?

Maryśka powiada:

— O, mamusiu, ja już drugą pończochę kończę.

— Doprawdy? — rzecze matka. — Pokażże pierwszą.

— Kiedy ja od drugiej zaczęłam — odpowiada Maryśka.

ŚWIATŁO

pismo powieściowe i popularno-naukowe

wychodzi **raz** w miesiącu — około dnia **1-go.**

Wydawca i redaktor: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

Rocznik II. (Półrocze II.) — **Numer 3.**
(Za wrzesień 1910 r.).

Adres: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie
ulica Powiśle L. 12.

KRAKÓW.
Nakładem Ks. M. Dziurzyńskiego.
Czcionkami Drukarni Związkowej pod zarządem A. Szyjewskiego.
1910.

Treść numeru 3-go.

Rozszerzajcie „Światło“

i jednajcie nam nowych prenumeratorów jak najwięcej, bo gdy się w tym roku zbierze większa liczba Czytelników, to w takim razie podawać będziemy w każdym numerze „ŚWIATŁA“ piękne ryciny (obrazki).

Zdania Papieży i Biskupów o popieraniu prasy!

Papież **Pius IX.** powiedział: **„Żądamy, aby katolicy życzliwie popierali tych, którzy wydają pisma przejęte duchem katolickim“.**

Pius X., który niegdyś jako Patryarcha Wenecyi gotów był zastawić swój pastorał biskupi, aby podtrzymać pewne pismo weneckie, wyraził się już nieraz jako Papież, że **„popieranie dobrej prasy katolickiej** (czyli pism) **jest o wiele lepszem dziełem, niż budowanie kościołów i klasztorów“.**

W podobny sposób mówił w roku 1908 o prasie na wiecu katolickim w Saragossie (w Hiszpanii) Arcybiskup Aguirre z Bourgos. Wyrzekł on te słowa: **„W dzisiejszych czasach jest rzeczą większej wagi dać światu jedno pismo prawdziwie katolickie, niż zbudować kościół“.**

Kardynał Parochi mawiał: W czasach, gdy Kościołem rządził Leon X., udzielano hojnie odpustów tym, którzy składali ofiarę na budowę kościoła świętego Piotra. Ja zaś na klęczkach prosiłbym Ojca świętego, aby udzielał odpustów wszystkim, którzy przez popieranie prasy katolickiej współuczestniczą w budowaniu żywego Kościoła Bożego“.

Rocznik II. Kraków 1-go września 1910. (Półrocze II-gie) Nr. 3.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok: 3** korony — na **pół roku: 1** koronę **50** hal. — Do Niemiec na rok: **4** korony — półrocznie **2** korony. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya **„ŚWIATŁA“** w Krakowie ul. Powiśle 12.

Tortury w wiekach średnich.

Ciężkim był dla Polski rok 1654. Karol Gustaw, król szwedzki, zerwawszy układy o wieczyste przymierze z królem polskim i pragnąc posiąść tron polski, przy pomocy dwóch zdrajców polskich: Hieronima Radziejowskiego i Janusza Radziwiłła, w ciągu trzech miesięcy zajął prawie cały kraj bez walki, a król Jan Kazimierz musiał szukać schronienia na Śląsku, w Głogowie.

Zdrajca Radziejowski szukał w Polsce pomocników dla swej niecnej roboty, i znalazł ich tak pośród szlachty jako i pośród mieszczan. Do nich należało także kilku mieszczan i rajców warszawskich. Radziejowski, chcąc się z nimi bliżej porozumieć, wysłał do Warszawy zaufanego sobie szlachcica, którego jednak pochwycili żołnierze królewscy i na rozkaz króla oddali do badania rajcom miejskim Balcerowi i Morze.

Ci, aby spełnić rozkaz królewski, wzięli go na tortury, ale dość lekkie, bojąc się, aby więzień nie wyśpiewał co wie o ich porozumieniu ze zdrajcą Radziejowskim. Po torturach zaś ułatwili więźniowi ucieczkę.

Przypatrzmy się teraz, jak wyglądały owe barbarzyńskie, a niby lekkie tortury. W powieści W. Przyborowskiego:

«Skarby pradziadowskie» taki znajdujemy opis tortur w Warszawie i wogóle w Polsce.

Kat, inaczej zwany mistrzem, w średniowiecznem życiu miejskiem ważną bardzo odgrywał rolę.

Katostwo od dawien dawna było w rodzie Dalekich, którzy zapewnie kiedyś tam przywędrowali z Niemiec. Jakób Daleki, był już trzecim z rzędu katem w rodzie Dalekich, był mężem olbrzymiego prawie wzrostu, olbrzymich bark i rąk.

Nosił się nieco garbato. Włosy miał białe, miękkie jak len, niedbale spadające mu na duże, szeroko rozwarte i jasno-błękitne oczy.

Przez dziwną sprzeczność z rzemiosłem, któremu się oddawał, oczy te miały wyraz nadzwyczaj łagodny — przez łzawą ich powłokę patrzała taka jakaś tkliwa, cicha, rzewna, prawie niewieścia dusza, taka jakaś miękkość, że każdy, kto nie znał Dalekiego, myślał, że to jakiś cichy mieszczuch, któryby i muchy nie zabił.

W oczach tych prócz tego przebijał się jakiś głęboki smutek, jakiś żal za czemś... W całej zresztą twarzy malowała się ta łagodność i ten smutek. Białe czoło zorane było zmarszczkami... usta ściśnięte gwałtownie, jakby wstrzymywały skargę, która z duszy wyrwać się chciała.

Był to człowiek młody, bo nie liczył więcej nad 30 lat, a przecież koło skroni włosy mu posiwiały, choć był blondyn, a włosy takie nie prędko siwieją. W ruchach jego i postaci znać było zniechęcenie, bezwładność — był to automat, nie człowiek. Gorączkowe wypieki na trupio-bladej twarzy mówiły o tajemnej trosce, toczącej tę duszę.

Ubrany był w obcisły czerwony kaftan i wielki skórzany fartuch. Wszedł, spojrzał smętnie na stojącego wciąż pod ścianą więźnia — i nie rzekłszy ani słowa, siadł na ławce i podparł głowę na ręce.

Dwaj jego pachołcy byli to łotry widocznie z pod szubienicy.

Jeden z nich kusy, o grubym karku, o łbie ryżym i zezowatych, krwawych jak u pantery ślepiach, okryty brudnemi łachmanami, trzymał w ręku mieszek skórzany. Sterczał w kącie, w cieniu, i widocznie jadł coś twardego, bo chrupanie było słychać.

Drugi — cienki, chudy, zawiędły, miał minę lisa. Wszedł, kłaniając się pokornie, i ręce o długich palcach, jak szpony, założył na piersiach jak mniszka — stanął tuż przy mistrzu, a oczy miał spuszczone, jak panienka, podnosząc je niekiedy ukradkiem, z wyrazem niesłychanej nienawiści, na milczącą ofiarę pod ścianą.

Takim był kat i jego pomocnicy. Więzień stał wciąż pod ścianą, nie zmieniając postawy i obrzucając wzrokiem wszystkich wokoło. Na jego męskiej, marsowatej twarzy nie można było poznać najmniejszego wzruszenia. Ze spokojem ruszył na rozkaz Balcera do lochu, w którym badanie miało się odbyć — a za nim wszyscy.

Na wychodnem Mora zawołał jednego z żołnierzy i rzekł mu:

— Ruszaj do imci pana Bartka Landikiera i powiedz mu, żeby stawił się na ratuszu, bo będzie dziś w nocy czuwał nad więźniami i nad bezpieczeństwem miasta... taka jest wola jegomości pana burmistrza.

Wydawszy ten rozkaz, Mora zatarł ręce, uśmiechnął się do siebie swym okrutnym śmiechem i poszedł do lochu za innymi.

Loch, straszne miejsce w średniowiecznych ratuszach, była to wielka piwnica sklepowa, mieszcząca się aż na drugiem piętrze, licząc w głąb. Ratusz bowiem warszawski miał dwa piętra piwnic.

Była to więc wielka piwnica, ze sklepieniem wspartem na jednym kamiennym słupie, w stylu gotyckim, od którego żebrowate łuki rozbiegały się wokoło. Na słupie tym zawieszone były cztery latarnie, z czterech stron, oświecające dość dobrze mroczne sienie tego ponurego miejsca. Wprost wązkich drzwi, któremi wchodziło się do lochu, na kamiennem wzniesieniu stał długi stół, pokryty czerwonym suknem, w wielu miejscach podartem i poplamionem. Około stołu rzędem umieszczono wysokie krzesła, także czerwoną pokryte materyą; dwie woskowe świece rzucały blask i na czerwone, krwawe sukno, i na czarny krucyfiks z rozpiętym Chrystusem, i na dużą księgę, w psią skórę oprawną, z ortylami magdeburskiemi. Przy jednej z bocznych ścian wznosił się nizki pękaty piec, na którym leżały narzucone w nieładzie żelazne szczypce do

szarpania ciała, potworne kleszcze, sztaby do przypiekania, nakoniec najszkaradniejsza z tortur, tak zwany trzewik hiszpański...

Było to narzędzie żelazne, mające w istocie kształt trzewika, którego dwie ściany umieszczone na zawiasach roztwierały się na oścież. Wnętrze tego trzewika zaopatrzone było w mnóstwo drobnych kolców, tak, że gdy włożono go na nogę i mocno śruby przykręcono, kolce te wbijały się w ciało, druzgotały stopę...

Oprócz tego na piecu leżały naczynia metalowe, z których lano wodę wrzącą lub zimną w usta ofiary, — a obok pieca wznosił się wielki miech, podobny do kowalskiego, dla rozżarzania węgli. Lecz nie na tem koniec: — od sklepienia szły rozliczne sznury, na których zawieszano delikwenta, dla wyłamywania mu stawów, — a nawprost pieca, przy przeciwnej ścianie, stało duże łoże, pokryte suknem, ze skórzanymi pasami, którymi ofiarę przymocowywano do owego łoża.

Takie były sprzęty tego strasznego lochu. W całości wyglądał on ponuro i ciasno. Ściany jego pokryte były wielkiemi plamami krwawej barwy i zielonawą pleśnią. Powietrze tu było wilgotne, zatęchłe... Ze ścian woda ściekała wielkiemi kroplami. Kamienna posadzka była ślizga od wilgoci, — a gdy Mora, Baryczka i inni weszli ze światłem, gromada szczurów z piskiem i łoskotem pokryła się w swe dziury. Czarne robactwo, pokrywające tłumnie wilgotne ściany, zmykało gwałtownie...

Balcer wszedł pierwszy, za nim schylony Baryczka, a potem Mora. Zapalono świece.

Żółte ich światło oblało ponure ściany piwnicy, tworząc dziwne refleksy, ale mogło przeniknąć do wszystkich jej kątów, gdzie włóczyły się wielkie, posępne cienie. Z cieni tych patrzało, jak otchłań czarne łoże, piec ze swymi przyrządami, duży miech, który przybierał w ciemnościach dziwne, potworne kształty. Sznury, zwieszające się z bloków u sufitu, trącone przez przechodzących, chwiały się, uderzając miarowo o siebie i słup. Zapalono cztery latarnie u słupa, przez brudne, zakopcone szkło których przebijało się krwawe, przytłumione światło kagańców. Od nich chwiał się czerwony blask na sklepieniu, drżały

żebra i wyszczerzały zęby cegły, z których tynk opadał. W ciurkiem cieknących kroplach wody na ścianie łamały się promienie świec kagańców w tęczowe barwy, a wstrętna pleśń stroiła się szmaragdem...

Więźnia, z którego zdjęto kajdany, postawiono pod słupem, wprost stołu, na którym zasiadł na środku Balcer, a po obu jego bokach Baryczka i Mora.

Czarny Chrystus, napół oświecony, napół cieniem pokryty, zda się wyciągał ze stołu ramiona, jakby chciał cały świat przytulić do wielkiego swego serca...

Kat usiadł na ławie obok pieca, i wsparł głowę na rękach, widocznie w głębokich pogrążony dumaniach. Pomocnicy jego rozdzielili się: chudy stanął obok więźnia i spuścił oczy wstydliwie, ryży zaś rozpalał ogień na kominie, dmuchając na węgle, a potężne piersi jego działały, jak miech.

Więzień, uwolniony z kajdan, wstrząsł rękami, wyprostował się, odetchnął całą piersią, i zrzucając kaptur z głowy, rzekł głosem śmiałym, donośnym, acz nieco suchym:

— Cóż to, mości panowie, chcecie mnie sądzić? Jakiemże to prawem? Jam jest szlachcic i nie jest rzeczą mieszczan sądzić szlachcica. Owo, protestuję przeciw temu uroczyście, jako gwałtowi...

Na to Balcer, patrząc na więźnia zpodełba ozwie się:

— Nikt tu nie chce waści sądzić... jeno z nakazu króla Jegomości badać cię będziemy, do których to mieszczan warszawskich masz polecenia od imci pana Radziejowskiego i co to są za polecenia?..

Na to pytanie Mora podniósł się nieco i rzuciwszy wzrokiem wokoło, zatrzymał go na więźniu i położył palec na ustach.

Więzień uśmiechnął się boleśnie i rzekł:

— A gdybym wcale nie odpowiedział na to pytanie?

— Mistrz cię zmusi do tego! — mruknął ponuro Balcer.

— Mój ro... robacz... ku! — jęknie płaczliwie Baryczka — zmi... zmiłuj się nad so... sobą — sa... samym... na... na co ci... ci... to?

Balcer przybrał poważną postawę i spytał gromkim głosem:

— Kasprze Jasiński, pytam się ciebie, jakie miałeś polecenia i do których mieszczan warszawskich od imci pana Radziejowskiego?

Więzień szarpnął się gwałtownie, odrzucił w tył opończę, postępując kilka kroków naprzód rzekł:

— I to ty, ty, Balcerze, pytasz o to? Ha! infamisie!..

Błyskawice mignęły w ponurych oczach Balcera — jednakże, nie zmieniając postawy, zwrócił się do kata i spytał:

— Jakóbie Daleki masz-li wszystko gotowe?

Kat podniósł się szybko, spojrzał błędnym wzrokiem dokoła, potem na czerwone ognisko w piecu i szepnął:

— Za pół pacierza!

— Pytam się jeszcze raz ciebie Kasprze Jasiński, do których mieszczan masz polecenie? — powtórzył Balcer.

— Ano... kiedy tak, to dobrze! — zawołał więzień — oto do ciebie Balcerze! do ciebie Baryczko! i do ciebie Moro! mam polecenia!

Na te słowa Baryczka skulił się i szepnął:

— Chry... Chryste Pa... pa... nie ra... ra... tuj nas!

Mora zwinął się jak żmija, a blada twarz jego stała się trupio-żółtą. Wielkie swe czarne oczy wlepił w więźnia i patrzał tak, jak gdyby chciał rzucić się na niego.

Usta mu drżały, jak w febrze, a zęby konwulsyjnie gryzły do krwi wargę. Balcer zaś porwał się na równe nogi, i uderzając pięścią w stół, krzyknął strasznym głosem:

— Owo łżesz, jak pies ostatni!

— Co ty, pogański synu! — huknie na to więzień — będziesz mi gadał, że ja łżę! Owo jak pragnę zbawienia mej duszy, tak prawdę mówię. Do was mam polecenia i do burmistrza także .. jaśnie wielmożny pan podkanclerzy Radziejowski nakazał mi, bym szedł do was i mówił, że gdy szwedkie wojska wejdą, byście Warszawy nie bronili... owo co jest...

Balcer wysłuchał tego, usiadł, chwilkę milczał, potem rzekł:

— Więc nie chcesz prawdy wyznać?

— Powiedziałem ją już... a i to mi dziwno, że nie widzę tu pisarza, coby spisał moje słowa. Cóż to za badanie na gęby jeno?

— Nie twoja to rzecz sądzić, co i jak robimy — mruknie na to Balcer, — i jeszcze raz pytam się ciebie Kasprze Jasiński, czy chcesz wyznać prawdę?

— Przecież ją wyznałem... czegóż wy chcecie więcej?

Teraz Balcer powstał, i wyciągając rękę ku katowi, który stał posępny i wpatrzony w więźnia, rzekł surowym głosem:

— Jakóbie Daleki, czyń twoją powinność!

Na ten rozkaz dwaj pomocnicy kata, jak hieny rzucili się na więźnia, zdarli zeń opończę, kubrak, obnażyli go zupełnie i powlekli do owego posępnego łoża, co stało wprost pieca. Biedak bronił się jak mógł, rzucał, szarpał, gryzł zębami — niestety, wszystko napróżno. W ćwierć pacierza leżał rozciągnięty na łożu, z rozkrzyżowanemi rękami, mocno przywiązany skórzanemi pasami.

— Niechże was Bóg ciężko skarze! — jęczał nieszczęśliwy, chwytając powietrze piersiami — jesteście podli zbrodniarze! Rozumiem ja was psie syny... chcecie mnie zamęczyć; bo o wasze szyje idzie... ale Pan Bóg jest w niebie. On mię pomści!

Balcer milczał, ale straszny jego wzrok, dziko wlepiony w ofiarę i sine wargi znamionowały wielki gniew, — to też gdy kat zbliżył się do niego i spytał, od czego ma zacząć, rzekł ponuro:

— Buty hiszpańskie!

Na to powstał Mora, pochylił do ucha Balcera i coś mu szeptać począł, — a gdy kat z automatycznym ruchem wziął owe okropne buty rzekł:

— Czekaj!

I znów szeptał do ucha Balcera. Ten zamyślił się i wskazał z razu ręką katowi na sznury, wiszące u sklepienia, co znaczyło: wyłam więźniowi stawy — ale teraz Mora widocznie sprzeciwił się temu, bo, po zamianie kilku słów, wzrokiem wskazał mistrzowi żelazną sztabę rozpaloną w ogniu. Więzień przez ten czas leżał nieruchomy i przymknął oczy. Twarz miał spokojną, acz groźną. Na wyły-

siałe jego czoło, opalone słońcem i wichrami, włożyć jeno hełm, a będzie rycerz. Leżał nieruchomy, jak posąg — lekkie tylko poruszenie wargami znamionowało, że się modli w głębi duszy przed chwilą strasznej próby.

Z ogniska, rozdmuchiwanego miechem, kat wyjął długą żelazną sztabę, rozpaloną do białości prawie. Podniósł ją w górę i miarowym krokiem zbliżył się do więźnia. Ten otworzył oczy, spojrzał na kata, westchnął ciężko, z głębi piersi, zacisnął usta i zamknął znów oczy.

W tej chwili ostatniej Balcer zapytał jeszcze raz grobowym głosem...

— Kasprze Jasiński, czy trwasz ciągle w swoim uporze? Zaklinam cię na rany Chrystusowe, wyznaj prawdę!

Więzień milczał jak grób. Wówczas Balcer podniósł się i rzekł:

— Bóg mi świadkiem, żem nie winien twej męki.

I wyciągnąwszy rękę ku stojącemu nad więźniem Dalekiemu zawołał:

— Pal go kacie!

Na rozkaz ten zerwał się Mora ze stołka i szybko a cicho jak kot przysunął się do więźnia. Na twarzy jego znać było okrutny wyraz zadowolenia — czarne oczy jego śmiały się — a ręce wciąż zacierał.

Kat westchnął, pochylił się nad więźniem i przytknął żelazo do jego prawego boku. Skóra gwałtownie przypieczona zasyczała, wzbił się dym, potem skwarzenie straszne rozległo się po lochu i smrodliwy odór rozszedł się wokoło. Kat powoli wlókł żelazo po ciele, zostawiając krwawy, okropny ślad...

Więzień z początku drgnął gwałtownie, ale milczał. Twarz jego pokryła się trupią bladością i wielkie krople potu ciekły mu po czole. Widocznie cierpiał niesłychanie, bo wszystkie żyły na rękach i czole nabrzękły mu, jak postronki, a usta drgały konwulsyjnie — jednakże nie jęknął, najmniejszego głosu nie wydał.

Żelazna dusza męża tego, tłumiła krzyk boleści.

W lochu zatem panowało głębokie milczenie — słychać tylko syk palącego się ciała. A krwawo oświecony Chrystus na stole wyciągał wciąż ku światu ramiona i zdawał się mówić:

«Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią».

Baryczka pochylił głowę i szeptał modlitwy — Balcer zaś nieruchomy wpatrywał się w straszne to widowisko. Jeden tylko Mora ze szczególnem zajęciem śledził przemykanie się żelaza po ciele — a na twarzy jego błąkał się śmiech nieomal radości. Co chwila zacierał ręce.

Kat w niemem milczeniu suwał wciąż żelazo — z boku przeszedł na piersi i wypalił na nich obrzydłą krwawą brózdę.

Teraz powstał Balcer i rzekł:

— Jakóbie Daleki, przestań!

Ten podniósł żelazo, w milczeniu zwrócił się i rzuciwszy je w ogień, siadł na ławie, obcierając rękawem pot z czoła. Blada jego twarz pokryta była krwawym rumieńcem. Oddychał ciężko, jakby się zmęczył, chwytając gwałtownie powietrze.

— Kasprze Jasiński — mówił dalej Balcer. — oto przez miłosierdzie nasze zwalniamy cię na dzisiaj. Namyśl się do jutra, byś zasie o tej samej godzinie wyznał prawdę... Niech cię Bóg ma w swej opiece!

Rzekłszy to, skinął na pachołków, by odwiązali więźnia, i poważnie wyszedł z lochu, a za nim modlący się wciąż Baryczko. Został się Mora, zacierający wciąż ręce i uśmiechający się do siebie.

Gdy pachołcy odwiązali więźnia, ten powstał o własnych siłach, ale chwiał się biedak na nogach. Mora zbliżył się do niego i szepnął:

— No, no, mój dobrodzieju... nic ci nie zrobili... krzynkę wina.

I podał mu flaszkę. Więzień chwycił i duszkiem wypił pół butelki, Mora znów wyjął jakąś blaszaną puszkę z kieszeni i podając mu ją szeptał:

— Naści tu waść... posmaruj sobie rany... zagoją się prędko... a jak północ wybije na półzegarzu, gotuj się... Mój dobrodzieju, nie sierdź się na nas... nie można było inaczej, jak mi Bóg miły...

A gdy pachołkowie kajdany chcieli włożyć na ręce i nogi więźnia — Mora rzekł:

— Nie trzeba... nie trzeba... a to na co? ledwie stoi... odprowadźcie go do lochu pod wieżą...

Potem obracając się do ryżego, huknął.

— Ruszaj mi psi synu i wezwij tu pana Bartka Lapdikiera!

Więzień ubrał się, przypadając co chwila, tak go męczarnia osłabiła. Mora pomagał mu, jak mógł.

Niedługo zjawił się Bartek.

— Mości panie — rzeknie Mora donośnym głosem— oto więzień, zalecony nam przez Króla Jegomości. Oddaję go na dziś pod waści opiekę. Pilnujże go jak oka w głowie, bo szyją odpowiesz.

Rzekłszy to, zabrał się i wyszedł z lochu. Dostawszy się na ulicę, chwilę myślał i ruszył do kamienicy imci pana Fukiera.

Dalsze okolice Jerozolimy.

(Dokończenie artykułu: Jerozolima i jej ,okolice).

I. BETLEJEM.

1. Miasteczko Betlejem, zwane także «miastem Dawidowem» leży półtorej mili (10 kilometrów) w południowym kierunku od Jerozolimy. Wybraliśmy się wczesnym porankiem powozami, jak na Wschód, wcale porządnymi, jechaliśmy po wygodnym gościńcu i to tą samą drogą, którą niegdyś przed XIX-ma wiekami, przebywali święci Trzej Królowie ze swą świtą, by odszukać nowonarodzonego króla żydowskiego i pokłonić się jemu. Po obydwóch stronach drogi znajduje się wiele pamiątek i historycznych wspomnień.

Przejeżdżamy przez dolinę Gehenny i obok góry Złej Rady, przybywamy na równinę Refaim, czyli na pole olbrzymów, gdzie król Dawid dwukrotnie pobił swych nieprzyjaciół, Filistynów. Wkrótce potem spostrzegamy po lewej stronie drogi, cysternę świętych Trzech Królów.

Na tem miejscu zatrzymali się Mędrcy ze Wschodu, poili swe wielbłądy i tu ponownie ukazała im się cudowna gwiazda, która ich doprowadziła do boskiej Dzieciny. Zatrzymaliśmy się także przy tej studni, aby się jej dokładniej przypatrzeć, wody skosztować lub ręce w niej umyć. W połowie drogi, ze wzgórza widać Betlejem i Jerozolimę, miejsce urodzenia i śmierci Zbawiciela. Na owem wzgórzu wznosi się klasztor grecki i cerkiew św. Eliasza, jednego z biskupów greckich betleemskich, zmarłego 1345 roku; w cerkwi znajduje się jego grobowiec. Naprzeciw drogi, po drugiej stronie pokazują zagłębienie w skale, które zostało po proroku Eliaszu, gdyż tu miał spoczywać, gdy uciekał przed mściwą królową Jezabelą i tu go Anioł pokrzepił chlebem i wodą. W pobliżu pokazują pole Habakuka, skąd Anioł Pański porwał owego proroka i przeniósł do Babilonu, aby nakarmił Daniela, uwięzionego w lwiej jamie.

Po obydwóch stronach drogi napotykamy winnice, drzewa oliwne i wogóle więcej zieleni, niż koło Jerozolimy. Piękny widok roztacza się przed nami na okolice Betlejemu, od którego nas coraz mniejsza dzieli przestrzeń. W pobliżu miasteczka, po prawej stronie gościńca, pokazują grób Racheli, ukochanej żony Jakóba. Doznaje ona dotychczas wielkiej czci i szacunku nietylko od żydów i chrześcijan, lecz także od schizmatyckich Greków, Turków i Arabów. Tuż niemal przed miastem wśród ogrodów, znajduje się cysterna Dawida, z której on często gasił swe pragnienie, gdy ojcowskie pasał owce.

2. Wjeżdżamy w wąskie ulice miasta i udajemy się wprost do Groty Narodzenia, do stajenki betlejemskiej. Lecz nie należy sobie przedstawiać, jakoby owa «stajenka» była podobna do naszych stajen lub szopek; wcale nie. Jest to poprostu pieczara czyli grota, znajdująca się w skale; schodzimy do niej po schodach z uczuciem jakiejś dziwnej, błogiej radości.

Tuż przy wejściu we wschodniej stronie znajduje się półkolista framuga, nad którą wznosi się mensa ołtarza; pod framugą, na jaspisowej posadce umieszczono srebrną gwiazdę z łacińskim napisem: *Hic de Virgine Maria Jesus Christus natus est.* (Tu z Dziewicy Maryi Jezus Chrystus się narodził). Nad gwiazdą przy ścianach framugi,

a pod mensą ołtarza płonie dniem i nocą 15 lamp, z których 4 należą do OO. Franciszkanów. Ołtarz i wogóle to miejsce mają w posiadaniu schizmatyccy Grecy i Armeńczycy, którzy tu swe nabożeństwa odprawiają. Z niewypowiedzianem uczuciem radości całowaliśmy tę gwiazdę i modliliśmy się gorąco do Dzieciątka Jezus na miejscu Jego urodzenia.

Na kilka kroków ku południowi (na prawo) jest kapliczka żłóbka, na tem bowiem miejscu stać miał żłóbek, w którym Najświętsza Panna złożyła Boską Dziecinę. Kapliczka ta należy do katolików, jest wyłożona białym marmurem; pali się w niej nieustannie 5 lamp. Żłóbek ów drewniany znajduje się obecnie w Rzymie w bazylice Świętej Maryi Większej.

Naprzeciw kaplicy żłóbka jest mały ołtarz poświęcony świętym Trzem Królom, którzy — według podania — na tym miejscu oddali pokłon Panu Jezusowi i złożyli swe dary: złoto, kadzidło i mirę. Ołtarzyk należy do OO. Franciszkanów, którzy tu codziennie Mszę św. odprawiają. I ja miałem to szczęście przy tym ołtarzu Mszę św. odprawić i pomodlić się do Boskiej Dzieciny.

W zachodnim kącie groty pokazują miejsce, gdzie według legendy wytrysło źródło na usługi świętej Rodziny w czasie jej pobytu w stajence.

Grota narodzenia ma 12 metrów długości, 3, miejscami 4 metry szerokości a 3 wysokości. Jej ściany i sklepienia są wyłożone marmurem i ozdobione czerwonymi makatami. Ze sklepienia zwieszają się liczne, kosztowne lampy, dar wiernych dla Boskiego Dzieciątka. Posadzkę wyłożono również płytami marmurowymi.

W zachodniej ścianie groty są drzwi, które prowadzą przez dłuższy korytarz (20 metrów) podziemny do sąsiednich pieczar. Są w nich kapliczki i ołtarze poświęcone św. Józefowi, św. Niewiniątkom, św. Euzebiuszowi, św. Hierominowi i t. d.

Nad grotą Narodzenia wznosi się wielka, lecz obecnie zaniedbana bazylika Narodzenia, zbudowana przez św. Helenę, cesarzową 326 roku. Jest to więc jeden z pierwszych i najstarszych kościołów katolickich, które przechowały się do naszych czasów; miałby niespełna 1600 lat! Od

1757 roku należy on do schizmatyckich Greków, którzy go wydarli OO. Franciszkanom. Pobożni zakonnicy nie opuścili przecież stajenki betlejemskiej, lecz zbudowali wzdłuż bazyliki Narodzenia, na miejscu dawnej kaplicy św. Mikołaja, kościół św. Katarzyny.

Swe wykończenie i fundacye zawdzięcza on hojnym ofiarom i darom naszego sędziwego monarchy Franciszka Józefa I. Przy tym kościele mają OO. Franciszkanie dom gościnny dla pielgrzymów, szkołę parafialną i nowicyat zakonny, w którym zastaliśmy dwóch kleryków, Polaków, pochodzących z Królestwa. Oni nas oprowadzali i objaśniali nam święte pamiątki.

3. Po zwiedzeniu grot i kościołów udaliśmy się z naszymi polskimi przewodnikami na terasę klasztoru, skąd piękny i rozległy widok roztaczał się przed nami na miasteczko i jego okolice. Zdala podziwialiśmy góry Moabickie, a tuż obok Betlejemu pola pasterzy, gdzie im się owej pamiętnej nocy objawił Anioł, oznajmując, że się narodził Zbawiciel w «mieście Dawidowem».

Zwiedziliśmy także grotę mleczną, która znajduje się w pobliżu, na kilka minut drogi, stajenki betlejemskiej. W niej miała się św. Rodzina schronić i jakiś czas mieszkać przed ucieczką do Egiptu. Najświętsza Panna karmiąc Boskie Dzieciątko upuściła kilka kropel dziewiczego mleka na ziemię i odtąd skała zbielała, jak kreda. Niewiasty cierpiące na brak pokarmu używają proszku tej skały w wodzie rozpuszczonego w nadziei, że za przyczyną Bogarodzicy uzyskają potrzebną ilość mleka dla swych niemowląt. Żydówki i turczynki szukają tu także pomocy i uzdrowienia w swych cierpieniach.

Na wschód od groty mlecznej miał się znajdować dom św. Józefa, Opiekuna Pana Jezusa. Miejsce to nabyli OO. Franciszkanie i zbudowali 1889 roku kapliczkę, którą otoczyli murem.

Koło Betlejem znajdują się Salomonowe «źródła zapieczętowane» i «ogród zamkniony» do których Kościół św. przyrównuje Najświętszą Pannę Maryę, niedostępną dla grzechu pierworodnego i uczynkowego, jak o tem w «Godzinkach» śpiewamy.

Po kilku kilometrach drogi w południowym kierunku przybywa się do najstarszego na świecie miasteczka Hebron, gdzie mieszkali patryarchowie Abraham, Izaak i Jakób; tu także zostali wraz z swemi żonami pogrzebani. Grobowce ich dotąd pokazują. Dla braku czasu nie mogliśmy się do Hebronu udać.

II. ŚW. JAN W GÓRACH.

W południowo-zachodniej stronie Jerozolimy w ślicznem, górskiem ustroniu, wśród krzewów, drzew, zieleni i licznych winnic leży miasteczko, zwane «św. Jan w górach» (*in montanis*). To miejsce urodzenia Poprzednika Chrystusowego, św. Jana Chrzciciela. Arabowie nazwali go źródłem winnic (Din Karin), bo jest ich tu bardzo wiele, a chrześcijanie nadali mu nazwę od syna Zacharyaszowego, św. Jana.

Na miejscu urodzenia Poprzednika Chrystusowego znajduje się obecnie wspaniały kościół OO. Franciszkanów wraz z zabudowaniem klasztornem. Kościół o trzech nawach z wspaniałą kopułą należy podobno do najpiękniejszych kościołów, jakie powstały w ostatnim wieku w Ziemi świętej. Wielki ołtarz jest poświęcony św. Zacharyaszowi.

Z bocznej kaplicy, po lewej stronie (ewangelii) ołtarza wielkiego prowadzą schody, złożone z siedmiu marmurowych stopni, do podziemnej groty Narodzenia św. Jana. Piękne płaskorzeźby z białego marmuru wpuszczane w czarne ściany przedstawiają różne zdarzenia z życia Chrystusowego Poprzednika. Ołtarz, znajdujący się w tej kaplicy poświęcony jest św. Janowi; pod nim wyryty łaciński napis: *Hic praecursor Domini natus est.* (Tu narodził się Poprzednik Pański). Modliliśmy się gorąco na tem świętem miejscu, przenosząc się myślą w te czasy i przywodząc sobie na pamięć te dziwne zdarzenia, jakie przy Narodzeniu św. Jana zaszły.

W pobliżu, w kierunku zachodnim, na 10 minut drogi, znajduje się kaplica Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny, należąca również do OO. Franciszkanów. Podanie mówi, że Zacharyasz miał na tem miejscu drugi dom (letni), i że tu właśnie powitała św. Elżbieta odwie-

dzającą ją Matkę Bożą; pierwsza ze śmiertelników pozdrowiła ją wtedy temi słowy: «Błogosławionaś ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota twego». (Łk. I., 42). Wtedy Najświętsza Panna wypowiedziała ów śliczny hymn *Magnificat*, — «Wielbij duszo moja Pana», który śpiewamy w czasie każdych nieszporów.

Niedaleko tej kaplicy jest źródło Maryi, z którego miała, według podania, Najświętsza Panna czerpać wodę w czasie swego trzechmiesięcznego pobytu u św. Elżbiety. Nad tem źródłem zbudowano skromny meczecik turecki. Naprzeciw kaplicy Narodzenia, poza wąwozem, w odległości ćwierć mili (2 kilometry) znajduje się klasztor Córek Syonu z pięknym kościołem, szkołą żeńską i ochroną dla sierót. Widzieliśmy także ze znacznej odległości krętą ścieżkę prowadzącą do miasteczka Emaus, gdzie Pan Jezus po Zmartwychwstaniu dał się uczniom poznać po łamaniu chleba. Z drugiej, zachodniej strony znajduje się dolina Terebintu, na której Dawid pokonał kamieniem, wyrzuconym z procy, olbrzyma Goliata. W tymże kierunku zachodnim, o godzinę drogi rozciąga się puszcza św. Jana, na której przepędził on swą młodość. Jest w niej i grota, co służyła mu za mieszkanie i źródło, z którego czerpał wodę i gasił swe pragnienie.

Mieszkańcy miasteczka św. Jana i Betlejemu zajmują się przeważnie wyrobem różnych dewocyonaliów, jak krzyżyków, koronek... i z tego się utrzymują.

(Dokończenie nastąpi).

ZIMOKWIT.

Szła Najświętsza Matka z Nazaretu do Jerozolimy, chcąc odwiedzić miejsca, na których Syn jej dokonał dzieła odkupienia, przelał Krew swą Najświętszą za zbawienie ludzkości. Towarzyszył Jej Jan św., najmilszy uczeń Zbawiciela, który pomny słów Mistrza ukochanego, był od chwili ukrzyżowania wiernym i nieodstępnym synem Matki Jezusowej.

Uciążliwą była droga. Nadzwyczaj skwarne i suche lato sprowadziło nędzę i w ślad za nią mnóstwo chorób między ludzi. To też, gdzie tylko Najświętsza Panna w swej pielgrzymce zawitała, wylegali wierni na Jej spotkanie, z płaczem wzywając ratunku i wstawiennictwa u Boskiego Syna.

A Ona, jako matka czuła na niedolę dzieci, szła chętnie wszędzie, gdzie Jej pomocy wzywano, niosąc pociechę i ukojenie. Wszak i dziś jeszcze nikt Jej pomocy daremnie nie wzywa.

Samo dotknięcie tej świętej dłoni, która wypiastowała Zbawiciela świata, wracało chorym zdrowie. A komu sądzonem było świat ten porzucić, ten z radością żegnał życie — bo obecność Matki Jezusowej przy śmierci dawała mu pewność dostąpienia niebieskiej szczęśliwości.

Z Nazaretu do Jerozolimy daleka droga, więc wstępując tak do wsi i miasteczek, dobrze już było ku jesieni, gdy Matka Najświętsza z Janem zbliżyli się do celu swojej podróży.

Smętnym wzrokiem wodziła Boża Rodzicielka po spalonych letnią spiekotą polach, po uschniętych ziołach słyszała niemą skargę zwiędłych kwiatów, że karę Bożą za złość ludzką i one niewinnie cierpieć muszą. O, bo Przeczysta Bogarodzica rozumiała głosy wszelkiego stworzenia!

Żal było Matce Bożej biednych ziół i kwiatów, chciałaby uwić z nich wianuszek, by go złożyć na grobie, w którym ongi złożono Jej ukrzyżowanego Syna, — ale kwiaty pod żarem słońca dawno zmarniały, trawy zeschły i pożółkły.

Kieruje kroki swe Matka Najświętsza na Górę Oliwną, ku Ogrojcowi. Po kamienistej drodze wspiera i prowadzi Ją troskliwie Jan św. Od miejsca, na którem się zaczęła gorzka męka Jej ukochanego Syna, chce i Ona zacząć zwiedzanie tak dla Niej wówczas bolesnych, a dopełnieniem odkupienia chwalebnych pamiątek.

W Ogrójcu cudny się przedstawił widok oczom Bożej Matki. Jakby krwawy pot Zbawiciela na wieki użyźnił w nim ziemię i zabezpieczył ją od wyschnięcia, jaśniały świeżą zielonością zioła i trawy, a u stóp góry tam, gdzie strumień Cedronu przepływał, rozciągała się łąka,

pełna ślicznych różowoliliowych kwiatów zimokwitu. Nad wodą zwieszały się gałęzie kaliny i bzu dzikiego.

— Ot, będzie z czego uwić wianuszek — myśli Najświętsza Panna, i śpieszy ku łące zerwać śliczne kwiaty.

A zimokwit był wówczas o wiele wspanialszym kwiatem, niż dzisiaj. Tak, jak siostrzyce jego lilie, nosił swój piękny kielich na wysokiej łodydze, i tak jak lilie, roztaczał dokoła cudną woń. Nie był również jeszcze trującą, jak teraz, rośliną.

Schyla się Przeczysta, by zerwać piękne kwiaty. Ale hardy zimokwit opiera się temu całą siłą swej wisnej łodygi.

— To na wianek ku czci Syna mego — rzecze Najświętsza Matka, starając się z wysiłkiem ułamać kwiat. Ale słaba wiekiem i znużeniem podróżnem ręka zdołała tylko nadłamać opierającą się łodygę, a rozłoszczony kwiat prysnął swym sokiem białawym, jak jadem, na świętą dłoń, robiąc na niej brzydkie brunatne plamy.

Z żalem odwraca się Boża Rodzicielka od niewdzięcznych kwiatów, wiodąc okiem wokoło za innem zielem. Padł Jej wzrok na krzaki bzu i kaliny, zdobne w czarne jagody i krasne korale.

Ledwie spojrzała, a tu kalina i bez ścielą Jej swe gałązki do stóp, liśćmi szeleszcząc prosząco: «Urwij, Najświętsza Pani, z naszych jagód wianuszek dla Syna!» A wonna mięta, rosnąca nad strumieniem, prosi: «Weź liście moje, Matko Boża! Skromne one są, i kwiat mój niepozorny, ale czarne jagody bzu i czerwone korale kaliny stroić je będą».

— Zerwij nas, Matko Pana! — wołały bez, mięta i kalina — pozwól nam służyć ku czci Twego Syna!

I Przeczysta przychyla się do ich prośby, wije z woniejących liści wianek, zdobiąc je jagodami liści i kaliny.

Idzie potem Matka Jezusowa z Janem kamienistą drogą na Golgotę, wspominając gorzkie chwile Syna swego i swoje, na tej drodze przebyte, a wianek uwity z bzu, mięty i kaliny towarzyszy Bożej Matce na tej drodze — i potem z Golgoty do Grobu Chrystusowego.

Na kamieniu, z pod którego zajaśniał tryumf Ukrzyżowanego, zwycięstwo życia nad śmiercią, składa Naj-

świętsza Panna przyniesiony wianuszek, prosząc Syna, by On nagrodził dobrym ziołom gotowość służenia ku Jego chwale.

Spełnił Jezus życzenie swej Świętej Matki, bo oto od tego czasu mają jagody bzu i kaliny, tak jak i liście mięty. moc cudowną w sobie, uśmierzającą dolegliwości w chorobach ludzi.

Zimokwit za swą hardość dla Bożej Matki srogiej doznał kary. Stracił woń, okazały wygląd, a choć kwiaty jego stroją i teraz jesienią łąki, to omija je każde stworzenie, gdyż cała roślina, od korzenia do nasienia, zawiera jad trujący.

A lud nie zwie go inaczej, jak bąchorem.

F. O.

Niektóre zwyczaje u Słowian południowych.

Słusznie przysłowie powiada, że »co kraj to obyczaj», bo każdy naród ma odmienne zwyczaje, obrzędy i zabawy. A zwyczaje te nieraz bywają bardzo ciekawe i warto się o nich dowiedzieć, to też choć pokrótce o niektórych przynajmniej wspomnimy.

Dziwne są niekiedy obyczaje Bułgarów. Dziecię nowonarodzone gdy wykąpią, posypują solą i obwijają w pieluchy. Biedna dziecina drze się w niebogłosy, ale solenie ma jakoby zapobiegać wstrętnemu odorowi, któryby inaczej ciałko jego wydawało. Nie dość na tem. Usmażoną w oliwie jajecznicą, mocno opieprzoną, okładają główkę dziecku, co ma znowu stanowić znakomity sposób zahartowania czaszki na działanie promieni słonecznych. Naturalnie, wszystko to są babskie praktyki, nie mające sensu.

Panuje też dziwny w Bułgaryi obyczaj wykradania dziewczyny, a zwyczaj ten jest tak starodawnym i zakorzenionym, że często wykradają pannę, choć nie zachodzą żadne przeszkody, aby się młodzi pobrali. Kiedy dla jakichbądź powodów rodzice nie zgadzają się na zamęźcie córki, pragnący ją poślubić junak (młodzieniec) w nocy napada z towarzyszami swymi na dom ukochanej, porywa

ją i unosi. Po paru tygodniach młodzi wracają do rodziców, a ci przebaczają im i błogosławią. Zdarza się znowu, że junak porywa pannę, a gdy ta nie ma ochoty wyjść za niego, wtenczas jeżeli do domu ucieknie, choćby po paru tygodniach, małżeństwo uważa się za zerwane.

W wigilię ślubu urządzają zabawę na pożegnanie młodych z towarzyszami. Do ślubu stroją się państwo młodzi w najpiękniejsze odzienie i kwiaty, co również czynią drużbowie i druchny, te ostatnie mają wieńce nietylko na głowie, ale i wokoło pasa. Pannę młodą wsadzają na konia i w otoczeniu weselników, także na koniach, wiozą do domu pana młodego. Tam już stoi beczka wina, a na niej pieróg weselny, tam też przybywa pop prawosławny w ubraniu cerkiewnem, bo ślub w wielu okolicach zwykle się w domu odbywa, co zaprowadzono zapewne w czasie niewoli tureckiej.

W obrzędach pogrzebowych Bułgarzy zachowali wiele zwyczajów pogańskich. Pamięć o zmarłych nie objawia się w modlitwie, ale w dostarczaniu na mogiłę jadła i napoju. Gdy się n. p. kobiecie przyśni mąż zmarły, albo ktoś z krewnych, to zaraz spieszy na cmentarz z jedzeniem. W trzy lata po pogrzebie wykopują kości zmarłych z ziemi, płuczą je w wodzie, zbierają do nowego worka płóciennego i przyniósłszy do cerkwi, składają przed ołtarzem. Duchowny błogosławi je i odmawia odpowiednie modlitwy, a wtedy zabierają je i chowają powtórnie, poczem krewni idą na cmentarz w piątek wieczór i w sobotę rano.

Duchowieństwo w Bułgaryi jest strasznie zacofane i mało oświecone, dlatego na takie praktyki pozwala, a nawet je popiera. W każdym klasztorze stoją w piwnicach kościelnych skrzynki z czaszkami zakonników. W pewne dni żałobne zbierają się tam bułgarki i przylepiwszy woskową świeczkę do czaszki swego krewniaka, modlą się za umarłych.

W Serbii swatają młode pary często nieznane sobie, pomimo ich woli. Narzeczony musi tam ojcu zapłacić za córkę umówioną sumę pieniędzy, musi kupić jednemu krewniakowi kurtkę, drugiemu czapkę, trzeciemu opanki (rodzaj obuwia) wreszcie dorzucić kilka dukatów dla sa-

mej panny. Dziewczyna bądź ze zwyczaju, bądź z braku przekonania zwykle wzdraga się wziąć pieniądze, na pierwsze jednak słowo ojca zbiera je pokornie w fartuch i usuwa się na bok. Jest to z jej strony dowodem przyzwolenia na małżeństwo.

Do ślubu drużyna zawsze idzie pieszo i do tego wybiera drogę najdłuższą, uważają, że wstyd byłoby jechać. Weselnicy na prawem ramieniu przypinają sobie chustki kolorowe. Wstępują po drodze do pana młodego i idą do cerkwi, wychodząc zaś stamtąd strzelają na wiwat z pistoletów. Po uczcie weselnej panna młoda całuje wszystkich gości w twarz za co od nich dostaje pieniądze. Na drugi dzień po ślubie, mając już na głowie strój mężatki, idzie po wodę w towarzystwie dziewcząt rówieśnic, bo tego zwyczaj wymaga.

Co do pogrzebów, to mają podobne zwyczaje co i Bułgarzy. Za spokój duszy nieboszczyka schodzą się po pogrzebie na stypę, gdzie sporo wypijają rakii, a część potraw, jak: ryż z półmiskiem, placek, wino i wódkę stawiają na mogile, a potem rozdają ubogim. Są również jak Bułgarzy zabobonni; wierzą n. p. że po 40-tu dniach zły duch wstępuje w pogrzebane ciało i w postaci upiora wkrada się do mieszkań ludzkich dusi śpiących i krew wysysa. Uczciwy człowiek nie zamienia się w upiora, chybaby nad trupem niepochowanym kruk przeleciał, czego też najpilniej strzegą.

C z a r n o g ó r c y znów mają odmienne zwyczaje pogrzebowe. Trumny nie robią wcale, lecz obmywszy trupa, kładą go na przyniesione z kaplicy mary i pozostawiają do drugiego dnia. Krewni i przyjaciele czuwają przy nim noc całą. Nazajutrz niosą do kościoła, a po odprawieniu modłów niosą na cmentarz i ucałowawszy, spuszczają do grobu. Wtedy dopiero zaczyna się lament i żal po zmarłym i pożegnanie najczulszemi słowami.

Na dowód żalu drapią sobie twarz i piersi, tłuką się pięściami po głowie, obcinają sobie włosy i rzucają sploty do grobu. Po pogrzebie wystawiają przed chatą stół, na nim składają ubranie zmarłego, czapkę, strzelbę, fajkę i tytoń, i tak stoi przez dni dziesięć, w czasie których przybywają krewni i znajomi, którzy dalej mieszkając na po-

grzeb przybyć nie mogli — i opłakują nieboszczyka. Kobiety w ucztach pogrzebowych nie biorą udziału. Za to po Wielkanocy okładają groby darniną i modlą się za umarłych.

Wszystkie te zabobony pokazują, że u południowych Słowian wielka jeszcze panuje ciemnota.

POKUTA RYB.

Pobożny zakonnik, wymowny, gorliwy,
Nad morza zjawił się brzegiem,
I począł nauczać, w tem naraz o dziwy!
Ryb mnóstwo stanęło szeregiem.

Karp paszczę otworzył od ucha do ucha,
Okonek wychylił z wód lice
I szczupak żarłoczny nadpłynął i słucha,
I pstrągi i małe sołwice.

Sum nadbiegł pospiesznie i rusza wąsami
I sztokfisz wytrzeszczył swe oczy,
Śledź także nadpłynął porówno z flądrami,
I rekin poważnie się toczy.

Lin z leszczem przybyli i łosoś się zjawił,
Przypłynął też węgorz otyły;
I rak ociężały pośpiesznie się stawił,
A nawet i żaby przybyły.

I wszystko uważa w milczeniu głębokiem;
A mówca tak serca im kruszy,
Że każde z zwilżonem słuchało go okiem
I czuło poprawę w swej duszy.

Już karp z rozczuleniem rozpływa się w wodzie,
Popłakał się węgorz z sandaczem,
Sumowi łzy liczne spłynęły po brodzie,
I sztokfisz wybuchnął w głos płaczem.

Sam rekin rozbójnik poprzysiągł w swej duszy,
Że żywot wieść będzie już dobry,
I szczupak się zaklął, że rybek nie ruszy
A żaby płakały, jak bobry.

Rak też miał rzetelną poprawę na względzie,
Bo dawał zgorszenie swym chodem,
Więc przysiągł, że więcej wstecz chodzić nie będzie.
Lecz tylko posuwać się przodem.

Skończyła się wreszcie żarliwa przemowa,
A w wodzie ruch powstał niemały,
Gdy mowy ostatnie przebrzmiały już słowa,
Wnet ryby do domu wracały.

Najpierwszy się szczupak skruszony obrócił,
I połknął sąsiada karpika;
W tem rekin się z boku na szczupaka rzucił,
Wzajemnie i jego połyka.

A piskorz, co dotąd się w mule lubował
Jak dawniej zanurzał się w błocie;
I sztokfisz, co tak się serdecznie zbudował,
Trwał dalej w bezdennej głupocie.

I żaby, co chciały, jak słowik zanucić,
Rechtały, skrzeczały bez sromu;
A rak już nie raczył się wcale obrócić,
Lecz tyłem się cofał do domu.

Tak robi niejeden: poprawę przyrzeka,
W tej chwili, gdy mówcy słów słucha,
Lecz skoro te przebrzmią — tak samo człowieka
Jest rzeczą, jak ryb owych skrucha

Pustelnik i skarb znaleziony.

Szedł pustelnik drogą przez puszczę i znalazł trzos skórzany pełen złota, a zamiast go podnieść, jął kijem okładać. Wtem nadeszło trzech podróżnych, którzy to zobaczywszy, pytają pustelnika z podziwem, dla czego chłoszcze pieniądz?

— Bo w tym trzosie jest śmierć ukryta — odpowie starzec — więc ją okładam, aby się do mnie nie przyczepiła.

— Jaki on głupi — rzekli podróżni. Naśmiali się z dziada, trzos ze złotem zabrali i poszli w dalszą drogę, a pustelnik udał się z powrotem na puszczę.

Uradowani niespodzianem szczęściem, gdy słońce już zaszło, wstąpili do samotnej wśród lasu gospody, aby podzielić się złotem i przenocować. Przy wieczerzy, z wielkiej radości podchmielili sobie niezgorzej, a że jak to bywa, ten mocniejszy po kieliszku w nogach inny w głowie — więc i tu, gdy jeden zasnął, jak drewno, dwaj pozostali zmówili się. żeby śpiącego zabić i pieniądzmi, które wziął w podziale. rozdzielić się. Jakoż spełniwszy zbrodnię, trupa w krzakach ukryli, pieniądze zabrali i nie zapomniawszy flaszy z resztą gorzałki, szybko w lasy uciekli.

Długo szli przez gęstwiny, aż pomęczeni zatrzymali się na odpoczynek. Wtedy ten, który do zbrodni namówił, żeby dodać sobie odwagi i zagłuszyć głos sumienia, duszkiem wychylił pozostałą gorzałkę, poczem zasnął snem twardym.

Towarzysz, słysząc chrapanie, myśli sobie! Ty mnie do zbrodni namówiłeś, więceś sam na taką śmierć zasłużył; jeżeli ja ciebie zabiję to cię spotka słuszna kara, a zbrodnia nasza już nigdy się nie wyda. Tak dumając, zabił zbrodniarz zbrodniarza, zabrał wszystko złoto, ukrył trupa w lisiej norze i powędrował do miasta z ciężkim trzosem złota i z jeszcze cięższem sumieniem.

Sumienie nie dawało mu spokoju w dnie i w nocy, aby więc je zagłuszyć, pił na zabój, grał w kości z kosterami, szulerował i hulał jak opętany, aż nareszcie cały skarb swój przemarnował i przetrwonił.

Nędza poczęła trapić ciało, a jednolity robak sumienia toczył mu duszę. Gdzie spojrzał widział w każdej kropli błota krew ludzką, w każdym głosie słyszał jęk konającego pod nożem. W dzień każdy kto spojrzał na niego, zdawał się wiedzieć o jego zbrodniach; w nocy, pomordowani stawali nad głową, spędzając mu sen z oczu.

Nie mogąc znieść widoku ludzi, uciekł znowu na puszczę. Ale gdy w pustkowiu głód i sumienie jeszcze srożej dręczyć go zaczęły, postanowił zakończyć swą męczarnię samobójstwem. Jakoż upatrzywszy sobie gałąź, już założył pętlicę na szyję, gdy nagle ukazał się z gęstwiny ten sam pustelnik i kościstą ręką wstrzymał spełnienie trzeciej zbrodni. Samobójca skruszony widokiem świętobliwego starca upadł przed nim na kolana i płacząc, skruszony szukał ulgi w szczerej i długiej spowiedzi.

— Grzeszniku — rzekł wzruszonym głosem starzec — wielkie są winy twoje, ale jeszcze większe miłosierdzie Boże! Oto cudowne zrządzenie przeszkodziło samobójstwu, a ocalić może życie niewinnego karczmarza z owej leśnej gospody, który zasądzony o dwa zabójstwa i na śmierć skazany, jutro ma być ścięty przez kata. Ja jeden byłem przeświadczony o niewinności tego człowieka, ale dowodów na to nie miałem. Modliłem się gorąco i Bóg wysłuchał modłów moich. Jeszcze nie jest zapóźno. Idź grzeniku do miasta wyznaj przed starostą zbrodnie twoje, proś o surową dla siebie sprawiedliwość, zgiń śmiercią zasłużoną, a ocalisz życie niewinnemu karczmarzowi i własną duszę wybawisz od potępienia wiecznegn.

Nazajutrz na rynku, rano, gdy karczmarza ścinać miano, przedarł się przez tłum zebrany człowiek nikomu nie znany, krzycząc głosem rozpaczliwym: «Jam jest mordercą prawdziwym, za największą łaskę świata, dajcie mi pójść pod miecz kata; karczmarz niewinnie sądzony, niech wróci do dzieci, żony».

Miłość macierzyńska u gadów.

Słyszeliście zapewne o wielkich strasznych potworach, zwanych krokodylami. Zamieszkują one rzeki w krajach gorących.

W porze najgorętszej zagrzebują się w iłowatą ziemię i zapadają w uśpienie letnie.

W wodzie są szybkie, jak strzała ruchliwe i niebezpieczne; na lądach zaś chodzą powoli, trudno im wyginać ciało na bok, z tego powodu są tchórzliwe.

Zdobycz napadają podstępnie i są tak żarłoczne, że nawet kawałki drzewa i kamieni połykają. Główny ich pokarm stanowią wprawdzie ryby, jednak pożywają także większe ssawce, przychodzące pić do rzeki, nawet ludzi, a zwłaszcza dzieci, bawiące się w bliskości rzeki.

Nie gardzą także padliną.

Z ujętą zdobyczą zaraz nurka dają, aby się zalała, poczem pożerają ją nad wodą lub na brzegu. W gromady zbierają się krokodyle tylko tam, gdzie obfite znajdują pożywienie.

Głos wydają donośny, szczękami i ogonem sprawiają straszny chałas. Jaja okryte twardą skorupą i tak wielkie, jak gęsie, samica znosi w liczbie kilkudziesięciu, składa je na brzegu w piasku lub też w krzakach, pokrywa liśćmi, i pozostawia wylęg ciepłu słonecznemu.

Ciekawym wzorem troskliwości macierzyńskiej jest zwłaszcza krokodyl amerykański, aligator, żyjący w rzece Mississippi. Samica buduje dla swego potomstwa prawdziwe gniazdo... W tym celu wyszukuje między krzakami lub w trzcinie miejsce nieprzystępne i znosi tu w paszczy gałęzie, układa je na ziemi i wyściela liśćmi. W tak przygotowanym gnieździe składa jaja i przykrywa je starannie szczątkami roślin. Nie na tem jednak kończy się jej obowiązek macierzyński, nie opuszcza bowiem gniazda, lecz kryje się na straży w jego pobliżu i niespokojnym wzrokiem wciąż spogląda w stronę ukrytego skarbu, gotowa w mgnieniu oka zmiażdżyć każde stworzenie, zbliżające się do jaj.

Pod dobroczynnym wpływem ciepła słonecznego z jaj wylęgają się małe aligatorki; wówczas matka prowadzi je do rzeki i tam w dalszym ciągu roztacza nad niemi opiekę.

Ciekawym jest również sposób zakładania gniazd u żółwi morskich. Żółwie te są to zwierzęta zimnokrwiste podobnie jak krokodyle. Ciało mają krótkie a szerokie, spłaszczone i okryte twardym pancerzem, z którego wysuwa się głowa i cztery łapy.

Żółwie morskie pływają zwykle bardzo daleko od lądu, gdyż są płochliwe. Ale gdy nadchodzi czas składania jaj, wówczas samice wielkiemi gromadami wylądowują na jakiej bezludnej wyspie i zabierają się do roboty. Każda z samic przy pomocy tylnych łap i ogona wykopuje w ziemi dołek, składa do niego jaja i natychmiast znowu zasypuje go ziemią. Aby zaś zatrzeć ślad, gdzie jaja ukryła, samica ubija i wyrównywa ziemię swym pancerzem.

Ta praca tak pochłania uwagę matek, iż w tym czasie tracą one swą zwykłą tchórzliwość i pozwalają zbliżyć się ku sobie ludziom. To też wiele z nich pada wtedy ofiarą, zaczajeni bowiem łowcy, upatrzywszy sposobną chwilę, wyskakują nagle z zasadzki, rzucają się na żółwie i szybko przewracają je na grzbiet, aby nie zdołały umknąć do morza. W tem położeniu żółwie pozostają nieruchome, gdyż są tak ciężkie i niezgrabne, że nie mogą o swej mocy przewrócić się na brzuch.

Łowcy przewożą żółwie statkami do rozmaitych krajów, gdzie z mięsa ich przyrządzają smaczną zupę, a pancerz pod nazwą szyldkretu idzie na wyrób szpilek do włosów, grzebieni i innych ozdobnych drobiazgów.

Rozmaitości.

Dawne dobre czasy.

Z powodu panującej obecnie ogólnej drożyzny przypomina jeden z wiedeńskich dzienników, że w roku 1780 kosztował suty obiad z winem w porządnej restauracyi śródmieścia wiedeńskiego 24 centy, czyli 48 halerzy. Tańsze restauracye wydawały obiady po 13 do 15 cen-

tów. Taki obiad — jak czytać można w kronikach — składał się z „zupy, jarzyny, kotletów, kiełbasy, lub smażonej wątróbki, mięsa wołowego i litra wina“. — W roku 1800 obiad z czterech dań kosztował 30 centów.

Jak długo żyją drzewa?

Drzewa, rosnące dziko, żyją dłużej od hodowanych: drzewa wydające owoc kwaśny i cierpki dłużej od takich, które mają owoc słodki. Dłużej również żyją drzewa, których liście więdną i opadają pomału, niż te, które szybko tracą liście. Najpóźniejszego wieku dożywają dzewa twarde i rozłożyste. Jodła może żyć 500 lat, dąb i lipa 1000 do 1500, jawor, palma i cedr do 1000 lat, a drzewo zwane chlebowem żyje najdłużej, bo dosięga wieku 5 do 6 tysięcy lat.

Psy na posterunkach.

Obecnie mówią wiele o psach policyjnych. We Włoszech używają psów już od dawna jako posterunków wojskowych. W Bolonii n. p. strzeżenie rowów fortecznych powierzono psom. Właściwym posterunkiem jest jednak żołnierz. Gdzie używają psów jako posternuków, wystarcza na warcie trzech ludzi, podczas gdy dawniej potrzeba było sześciu do dziewięciu.

Osobne patrole kontrolują od czasu pełniące służbę psy. Niekiedy się zdarza, iż patrol zastaje na warcie śpiącego żołnierza, ale dotychczas nie zdarzyło się nigdy, aby psi posterunek zawiódł. Niekiedy pies budzi także śpiącego żołnierza.

Taki wypadek zauważył major Guidy podczas nocnego patrolu. Gdy pies zauważył jego zbliżenie się, starał się zbudzić śpiącego żołnierza, jakby przeczuwał grożące niebezpieczeństwo. Żołnierz przyznał otwarcie, iż gdyby nie pies, można go było zaskoczyć we śnie.

Święta krowa Hindusów.

Krowa u nas stała się nieraz dobrodziejką dla całych rodzin, nie posiadających często innego mienia, prócz

niej. U Hindusów w Indyach podniesiona została krowa do godności bóstwa. Jest ona dla nich świętością, a szacunek, którym ją otaczają, jest tak wielki, iż nieraz wybuchają rozruchy z powodu obrazy, uczynionej krowie.

Widziano tam raz krowę, która w południe położyła się najspokojniej na ulicy w Kalkucie, aby sobie wypocząć. Jeden z jej wielbicieli ugościł ją smakołykami, a ona, przeżuwając je, używała iście krowiej rozkoszy. Ruch na ulicy ustaje, wszyscy omijają ją na prawo i na lewo, nikt się nie odważy przeszkodzić jej, a Hindusi składają jej swoją czołobitność. Gdy nareszcie krowa powstała, odprowadzono ją uroczyście do jej rezydencyi, do obory.

Epilepsya — czyli choroba św. Walentego

jest często skutkiem pijaństwa osoby na tę chorobę trapionej, albo pijaństwa jej rodziców. Lekarz Dr. Wartmann badając powyższą chorobę, stwierdził, że najczęstszą jej przyczyną jest pijaństwo. To samo potwierdził Dr. Kraepelin. Według zaś badań Dra Legraina na 100 dzieci pijaków, dwanaście z nich cierpi na chorobę św. Walentego. Rodzice tedy oddający się pijaństwu — choćby nie nałogowemu — wyrządzają wielką krzywdę swym dzieciom, bo sprowadzają na nich ciężką chorobę.

Emerytura dla koni.

W Kopenhadze (stolicy Danii) zawiązało się stowarzyszenie, mające na celu zabezpieczenie starym, wysłużonym koniom „starości lekkiej i bez troski“. Stowarzyszenie zbiera składki od swych członków, i zamyśla kupować za nie sterane konie i żywić je w osobnym na to specyalnie przeznaczonym zakładzie.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Figle i żarty.

Wyjaśnienie. — Tatuś, czemu ryby są nieme?

— Głupiś! A ty umiałbyś gadać pod wodą?

Wymówił się. Sędzia: Jesteście przecie murarzem, czemu więc nie poszukaliście sobie jakiego zajęcia na budowie?

Wagabunda: Chciałem, panie sędzio, ale wszędzie była umieszczona tablica: obcym wstęp wzbroniony.

Pomylona Kasia. — Jak pani jest ze swojej służącej zadowoloną?

— Na ogół nie źle, tylko co do rachuby czasu ma zupełnie pomylone w głowie.

— A to jak?

— Widzi pani, jeśli pierze przez godzinę, to mówi, że prała cztery godziny. A wyjdzie z domu na miasto, i nie wróci aż za cztery godziny, to mówi znowu, że tylko godzinę była na mieście.

Wymowny niemowa. Na probostwo przychodzi Maciek i kłania się do kolan jegomości.

Proboszcz: Słyszałem, chłopcze, że ty chciałbyś się żenić?

Maciek oblizuje się.

Proboszcz: Kiedy tak, to powiedz, czy umiesz pacierz?

Maciek skrobie się w głowę... *Fr. M.*

Pocieszenie. Pani Maciejowa z Kleparza spotkała zapłakaną swą kumoskę, rzecz więc prosta, że zapytała ją z współczuciem o powód łez...

— Ach, kochana pani, mąż mój, ten tyran obrzydliwy, wrócił dziś nad ranem ze szynku, gdzie grywa na skrzypcach i zbił mnie smyczkiem.

— To dziękuj pani Bogu, że nie grywa na basach, boby panią bardziej bolało, gdyż smyk od basów jest grubszy!

ŚWIATŁO

pismo powieściowe i popularno-naukowe

wychodzi **raz** w miesiącu — około dnia **1-go.**

Wydawca i redaktor: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

Rocznik II. (Półrocze II.) — **Numer 4.**
(Za październik 1910 r.).

Adres: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie
ulica Powiśle L. 12.

KRAKÓW.
Nakładem Ks. M. Dziurzyńskiego.
Czcionkami Drukarni Związkowej pod zarządem A. Szyjewskiego.
1910.

Treść numeru 4-go.

Rozszerzajcie „Światło“

i jednajcie nam nowych prenumeratorów jak najwięcej, bo gdy się w tym roku zbierze większa liczba Czytelników, to w takim razie podawać będziemy w każdym numerze „ŚWIATŁA“ piękne ryciny (obrazki).

Zdania Papieży i Biskupów o popieraniu prasy!

Papież **Pius IX.** powiedział: „**Żądamy, aby katolicy życzliwie popierali tych, którzy wydają pisma przejęte duchem katolickim**“.

Pius X., który niegdyś jako Patryarcha Wenecyi gotów był zastawić swój pastorał biskupi, aby podtrzymać pewne pismo weneckie, wyraził się już nieraz jako Papież, że „**popieranie dobrej prasy katolickiej** (czyli pism) **jest o wiele lepszem dziełem, niż budowanie kościołów i klasztorów**“.

W podobny sposób mówił w roku 1908 o prasie na wiecu katolickim w Saragossie (w Hiszpanii) Arcybiskup Aguirre z Bourgos. Wyrzekł on te słowa: „**W dzisiejszych czasach jest rzeczą większej wagi dać światu jedno pismo prawdziwie katolickie, niż zbudować kościół**“.

Kardynał Parochi mawiał: W czasach, gdy Kościołem rządził Leon X., udzielano hojnie odpustów tym, którzy składali ofiarę na budowę kościoła świętego Piotra. Ja zaś na klęczkach prosiłbym Ojca świętego, aby udzielał odpustów wszystkim, którzy przez popieranie prasy katolickiej współuczestniczą w budowaniu żywego Kościoła Bożego“.

Rocznik II. Kraków 1-go października 1910. (Półrocze II-gie) Nr. 4.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok: 3** korony — na **pół roku: 1** koronę **50** hal. — Do Niemiec na rok: **4** korony — półrocznie **2** korony. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie ul. Powiśle 12.

POLACY W BUFFALO.

Dr. Franciszek Fronczak, lekarz miejski w Buffalo, gdy bawił w kraju naszym w czasie tegorocznych uroczystości grunwaldzkich, w rozmowie z jednym ze współpracowników *Dziennika polskiego* podał następujące szczegóły o kolonii polskiej w owem mieście amerykańskiem.

Buffalo, liczy obecnie przeszło 500 tysięcy mieszkańców, w czem Polaków jest do 100 tysięcy. Jest to miasto, gdzie Polacy — w całej Ameryce — są najgęściej obok siebie skupieni i zamieszkali.

Jest tam rynek polski z ratuszem podobnym do Sukienic krakowskich — i pełen polskich przekupek.

Parafij polskich jest w Buffalo 12 i 12 przy nich szkół, z których największa przy kościele św. Stanisława dla 200 dzieci.

Gazet codziennych mają Polacy w Baffalo dwie, to jest *Polaka w Ameryce*, który ma 14 tysięcy czytelników i *Dziennik dla wszystkich* z nakładem 12 tysięcy egzemplarzy.

Jest dalej do 800 sklepów polskich, i ogromny browar p. Schreibera. W ogóle tworzą Polacy w Buffalo jedną ósmą część wyborców, wobec czego mają poważny głos we wszystkiem.

Towarzystw polskich w Buffalo ogółem jest 150 wszyscy Polacy jednak, mimo różnic politycznych żyją w przykładnej zgodzie. Dowodem tego był w dniu 17-go lipca obchód Grunwaldzki w Buffalo, który złączył wszystkie organizacye i stronnictwa, a zgromadził kilkanaście tysięcy ludzi przy obchodzie i w pochodzie. W dniu tym uchwalono założenie w Buffalo wyższej szkoły polskiej; profesorowie przybędą częściowo z Europy, częściowo będą miejscowi. Gmachu osobnego na razie budować nie zamierzają tylko przy jednej z istniejących szkół będą stopniowo stwarzać kurs po kursie. Szkoły takiej potrzeba w Buffalo; koło Buffalo jest kilkanaście osad polskich, miast i miasteczek, gdzie mieszka do 150 tysięcy ludności polskiej.

W Buffalo znać Polaków; na miejscach publicznych, na rogach ulic można często spotykać różne cykularze i obwieszczenia w języku polskim. Również na domach widzi się napisy polskie: «Tu panuje ospa». «Tu panuje płonica». «Kąpiele i łazienki miejskie».

Polaków jest mnóstwo po biurach, sądach i tak dalej. W Niagara-Falls istnieje już od 10 lat bardzo piękna osada polska.

Niedaleko Buffalo jest wielki dom sierót dla 800 dzieci polskich pod pieczą SS. Felicyanek; jest on przeznaczony tylko dla wschodnich prowincyi Stanów. Dla zachodnich istnieją podobne przytułki w Detroit (stan Michigan), w Elmhurst (stan Pensylwania), w Chicago (stan Illinois) w Milwauke i w Polonia (stan Wisconsin). Wszystko to powstało przy pomocy ofiar, składanych przez Polaków amerykańskich.

FIGLE STAŃCZYKA.

Za dawnych czasów nietylko królowie, ale i wielcy panowie chowali sobie ludzi wesołych i dowcipnych, którzy ich w smutku różnemi żartami rozweselali, nawet prawdę pod pokrywką żartu mówili. Ztąd też mieli oni dużą swobodę słowa i wolno im było nieraz i cierpkie przycink

wypowiedzieć, na któreby się nie ważyli inni, poważni ludzie.

Zwano takich żartobnisiów nadwornych błaznami, a grzeczniej mówiąc, wesołkami lub trefnisiami.

Najgłośniejszym u nas był taki jeden wesołek — Stańczyk, nadworny trefniś króla Aleksandra Jagiellończyka, a następnie Zygmunta I. i Zygmunta Augusta. Dożył lat sędziwych; urodził się w Proszowicach, w województwie Krakowskiem, które dziś są osadą miejską, w gubernii Kieleckiej położoną.

Z natury posiadający umysł bystry i pogląd zdrowy na rzeczy, przytem dowcipny i wesoły, jako podupadły szlachetka, dostał się na dwór, naprzód jak się rzekło, króla Aleksandra, syna Kazimierza Jagiellończyka, a potem brata jego Zygmunta I., zwanego Starym.

Tutaj się też Stańczyk najwięcej odznaczył. — Król Zygmunt Stary z początku był ulubieńcem całego narodu, który jak to mówią, na rękach go nosił; bo raz, że był to pan pięknej budowy i takiej siły, że szyny żelazne łamał, najgrubsze powrozy zrywał jak nici, potem, że miał duszę szlachetną, kochał Polskę, jak źrenicę oka, a sprawiedliwość nad wszystko. Był monarchą najpotężniejszym w ówczesnym świecie, władał polską od morza Bałtyckiego aż do Czarnego, miał pod swoim berłem właściwą Polskę czyli Koronę wraz z Prusami, a też i Litwę i Ruś całą.

Ale ten sam król Zygmunt popełnił grube błędy, iż ulegał zbytecznie swej żonie Bonie, przewrotnej ładnej Włoszce, która frymarczyła wysokiemi urzędami i starostwami, i którą naród włoską dyablicą nazywał, — i że przytem wypuścił z rąk siostrzeńca swego Albrechta Księcia pruskiego, swego hołdownika, który się potem czarną niewdzięcznością wraz ze swymi następcami Hohenzollernami odznaczył, co nam się i dziś jeszcze daje we znaki. To też pod koniec swego panowania zaprawił dni swoje goryczą i dawną miłość narodu utracił.

Otóż opowiemy tu jedną przygodę, w której król dostał naukę od swego wesołka Stańczyka. Raz wyjechał cały dwór królewski do Niepołomic, niedaleko Krakowa, gdzie były wielkie bory i zwierza w nich huk!

Tam to miano dla zabawy króla Zygmunta i królowej Bony polować na wielkiego niedźwiedzia przywiezionego z Litwy. Wypuszczono go z klatki i poszczwano psami; ale niedzwiedź psy poszarpał i stanąwszy na tylnych łapach, rzucił się na chłopów, co byli na obławie z oszczepami, potem na panów dworskich. Niejednego przedniemi łapami przewrócił i podrapał, a nawet skoczył tam, gdzie Bona konno stała, co ona widząc, rusza w nogi! Ale koń pod nią padł i królowa się potłukła. Rozżarte niedźwiedzisko rzuciło się także na trefnisia królewskiego — Stańczyka, ale go chłopi uratowali.

Kiedy potem po polowaniu król śmiał się z niego, że uciekł przed niedźwiedziem nie jak rycerz, ale jak błazen, Stańczyk odrzekł:

Większy ten błazen, co mając niedźwiedzia w skrzyni, puszcza go na swoją i cudzą szkodę.

I słusznie przyciął królowi, mając też zapewne na myśli i owego zdradliwego księcia pruskiego Albrechta, którego przyjął król za lennika swego.

O Stańczyku jeszcze jest jedna dowcipna powiastka.

Raz szedł po Krakowie ubrany po błazeńsku w różne pstre płatki, co widząc chłopcy uliczni, zaczęli go gonić, aż suknie zeń zdarli. Skarżył się Stańczyk przed królem, a kiedy ten go zaczął żałować, odpowiedział:

— Nie żałuj mnie królu, ciebie bardziej obdzierają, niż mnie; wszak Moskwa wydarła ci Smoleńsk, a przecie nie skarżysz się na to wcale.

Kto inny byłby nie śmiał tak powiedzieć królowi, chociaż to była święta prawda, ale panu i kpu wszystko wolno, tak powiada stare przysłowie.

Raz była między panami na zamku Wawelskim o tem mowa, jakich też ludzi najwięcej jest w mieście.

Gdy różni różnie zgadywali, przytomny tej rozmowie Stańczyk rzekł:

— Najwięcej jest doktorów.

Gdy mu panowie zaprzeczyli, założył się z nimi o kilkanaście czerwonych złotych czyli dukatów.

I gdy tamci z góry byli pewni wygranej, wyszedł Stańczyk nazajutrz na Rynek w Krakowie, podwiązawszy sobie chustką zęby.

Jaki taki z panów, spotkawszy znajomego sobie Stańczyka, zaczyna mu radzić najlepsze lekarstwo na ból zębów. Natenczas Stańczyk, dobywszy tabliczki, wrzekomo dla zapisania owego lekarswa, zapisywał nazwisko każdego takiego nieproszonego lekarza; a ponieważ znany był w całym Krakowie, to też w kilku godzinach zebrał łokciowy spis owych doktorów, i wygrał zakład.

Tu jeszcze dodamy, że nietylko wierny dworzanin trefniś króla Zygmunta Starego opłakał szczerze zgon króla, ale i cały naród, a choć na niego przy końcu sarkał, jednak gdy umarł, poznał, co w nim stracił.

Bardzo go też żałował, bo przez rok cały wszystko, co żyło, bogaci i ubodzy, nie pokazywali się inaczej tylko w czarnej sukni. Dziewczęta nawet nie śmiały ubierać się w kwiatki, a po karczmach nikt nie słyszał muzyki, ani tańca przez rok cały. Był to, słowem, prawdziwy smutek i nienakazana żałoba.

Dalsze okolice Jerozolimy.

(Dokończenie artykułu: Jerozolima i jej okolice).

III. JERYCHO.

Wycieczka do Jerycho, Jordanu i Morza Martwego nie była objęta ogólnym programem pielgrzymki, przecież prawie połowa pielgrzymów zgłosiła się jeszcze na okręcie do wzięcia w niej udziału. W niedzielę 8-go września po wysłuchaniu Mszy św. udaliśmy się w podróż wczesnym porankiem w 56-ciu powozach, zaprzężonych dla przykrej drogi w trzy silne konie arabskie. Droga jest nierówna górzysta, daleka. wynosi prawie cztery mile (27 kilometrów), a prowadzi z Jerozolimy do Jerycha w kierunku północno-wschodnim.

W pół godziny za Jerozolimą spotkaliśmy przy gościńcu studnię Apostołów. Przy niej miał Pan Jezus, zmęczony podróżą często z Apostołami spoczywać i gasić swe pragnienie, dlatego nadano jej taką nazwę.

W połowie drogi do Jerycho znajduje się czerwona gospoda, w której można wypocząć, nieco się posilić

i nabyć niektóre, nader skromne pamiątki z Ziemi świętej. Gospoda nazywa się «czerwoną» zapewne dla czerwonej ziemi, która się tu znachodzi, może też dla licznych mordów i przelewu krwi ludzkiej, którą dawniej i często obecnie ziemia jest zbryzganą. Tu miał Pan Jezus Apostołom opowiedzieć ową piękną a rzewną przypowieść o człowieku, który wpadł między zbójców i o miłosiernym samarytaninie (Łk. X., 25).

Po kilkogodzinnej jeździe, odbywającej się wśród tumanów kurzu i coraz większych skwarów słonecznych spuszczamy się wreszcie ze spadzistej góry na dolinę jerychońską. Stało tu niegdyś sławne miasto, biblijne Jerycho, którego mury w cudowny sposób — bo na głos trąb żydowskich runęły, jak o tem Pismo św. wspomina.

Dziś jest na tem samem miejscu nędzna, brudna wioska arabska Richa, składająca się z około 40 chat beduińskich. Liczba wszystkich mieszkańców dochodzi do 300-tu, którzy i obecnie trudnią się przeważnie «rozbojem» i z niego się utrzymują.

Pan Jezus często zwiedzał Jerycho, opowiadał tu słowo Boże i czynił cuda. Czytamy w Piśmie św. o nawróceniu Zacheusza, celnika (Łk. 19, 5) i uzdrowieniu ślepego żebraka, który pełen ufności błagał Zbawiciela o litość: «Jezusie Synu Dawidów, zmiłuj się nademną». (Łk., 18, 58).

Często wspomina się «o różach jerychońskich», o których jest wzmianka i w Pismie św., lecz dziś ich tu dostać nie można i za pieniądze. Znajdują się dotychczas nad Morzem Śródziemnem, w północnej Afryce i Egipcie.

W pobliżu, w północno-zachodniej stronie Jerycha jest źródło Elizeusza, proroka, który, niezdatną jego wodę do picia uczynił dobrą i zdrową (IV. król. 8, 19). Obok ciągnie się łańcuch gór, w jakich Pan Jezus modlił się i pościł 40 dni i nocy. Tu pokazują górę, na której szatan kusił Zbawiciela, by mu się pokłonił, a odda mu bogactwa, jakie z niej widzi. Obecnie są na tej górze ruiny dawnego kościoła, jaki tu niegdyś stał. Krzyżowcy nazwali górę 40-dniowego postu «Kwarantanną». Przystęp do niej jest bardzo niebezpieczny i przykry, prawie niemożliwy. dla tego też nie udaliśmy się na nią.

IV. JORDAN.

Po obiedzie i małym wypoczynku wyjechaliśmy nad rzekę Jordan i Morze Martwe. Między Jerycho a Jordanem rozciąga się pusta, piaszczysta równina, na której często krwawe staczano bitwy. Przebywamy ją w jednej i pół godziny drogi konnej wśód wielkich tumanów kurzu. Stanęliśmy na prawym brzegu Jordanu, w tem miejscu, gdzie wedle tradycyi, Jan Chrzciciel ochrzcił w rzece Pana Jezusa i wtedy: niebo się otworzyło i zstąpił nań Duch święty w osobie cielesnej jako gołębica i stał się głos z nieba: «Tyś jest Syn mój miły, w tobiem upodobał sobie» (Łk. 3, 21).

Rzeka Jordan wypływa z góry Hermon, składa się z trzech źródeł, płynie wśród licznych zakrętów w kierunku południowym. Niedaleko po złączeniu się trzech strumieni w jedną rzekę przepływa bagniste i trzciną porosłe jezioro Merosu; w dalszym ciągu jezioro Genezaret, zwane także morzem galilejskiem, wpada do morza Martwego. Szerokość jego jest bardzo rozmaitą, przeciętnie liczyć ją można w średnim i dolnym biegu na 30 metrów; długości ma w linii prostej 30 mil (225 kilometrów), głębokość wynosi w porze deszczowej 4 i więcej metrów, w lecie zaś miejscami zaledwie jeden metr. W jesieni można go w różnych miejscach w bród przejść, choć to często połączone z wielkiem niebezpieczeństwem. Jordan ma bowiem rwiący bystry bieg, skutkiem tego takie przejścia zostaną nieraz w krótkim czasie zupełnie usunięte, a na ich miejscach powstawają «wiry», które wiele pochłaniają ofiar. Brzegi rzeki są porosłe rozmaitemi drzewami i krzewami: jak akacyami, dziką leszczyną, trzciną i zaroślami, w których ptaki, a często i dzikie zwierzęta znajdują swe schronienie. Sprowadza to niekiedy nowe niebezpieczeństwo dla bezbronnych ludzi.

Woda Jordanu jest z powodu mułu mętna; ma kolor szarawy, a raczej biało-popielaty. Skoro się jednakże ustoi, staje się zupełnie czystą; używać jej można bez żadnej obawy do picia. Korzystali też z tego nasi pielgrzymi. Niektórzy ją pili, inni napełniali nią flaszki i zabierali z sobą, jako miłą pamiątkę do domów ojczystych. Wielu na pa-

miątkę chrztu Zbawiciela, myło swe ręce lub twarz, odważniejsi kąpali się mimo stromych brzegów i wielkiego mułu.

V. MORZE MARTWE.

Godzinę może zabawiliśmy przy rzece Jordanie, by następnie w dalszą udać się drogę. Trzeba jednę i pół godziny jechać powozem, żeby stanąć przy morzu Martwem. Jechaliśmy początkowo niedaleko rzeki, następnie po piaszczystej równinie, pokrytej warstwą spiekłej soli, niby cienką skorupą, którą koła wozów przełamywały. Utrudniało to nieco naszą jazdę. Już zdala spostrzegamy wody morza Martwego; okrzyk podziwu złączony z uczuciem trwogi wydobywa się mimowoli z piersi naszych! Wkrótce jesteśmy u celu. Przypatrujemy się ciekawie wodzie, morzu, wybrzeżom, okolicy. O tem wszystkiem wiele słyszeliśmy już w szkole od nauczyciela, niejeden więcej jeszcze czytał, każdy chce się obecnie przekonać, czy i ile w tem prawdy.

Nie możemy okiem objąć długości morza, gubi się ono w krętej linii brzegów. Jest wcale znaczne; ma bowiem 1.260 kilometrów kwadratowych powierzchni. Z obydwóch stron, od wschodu i zachodu jest otoczone nagiemi skałami, tylko od północy, gdzie Jordan wpada, równina dochodzi do samego morza. Woda morza Martwego jest bezbarwną, dosyć czystą, smak ma obrzydliwy, wstrętny! Niemal wszyscy pielgrzymi, biorący udział w wycieczce, kąpali się w niem. Dostało się niejednemu, mimowoli, jak w podobnych wypadkach, nieco wody do ust, można się więc było o jej smaku przekonać. Zawiera ona do 28 prc. różnych składników, zwłaszcza soli, siarki, asfaltu, potasu, magnezyi, dla tej więc przyczyny ma tak słony a zarazem przykry, wstrętny smak. Wszelkie przedmioty, które się do morza wrzuca, a po chwili wyjmuje są okolone powłoką soli. Stąd też żadnego niema w niem życia, ryby, które z Jordanu do morza się dostaną, giną niebawem. Z powodu wielkiej ilości soli woda unosi łatwo; niemal każdy, nieumiejący pływać mógł się bez trudności na jej powierzchni utrzymać.

Okolice morza Martwego są niezdrowe dla roślin, których tu w pobliżu prawie nie napotkaliśmy, i dla zwierząt,

jakie powodowane instynktem zachowawczym, stronią od tych miejsc; szkodzą i organizmowi ludzkiemu. Ludność pobliskich osad arabskich ma nędzny i schorzały wygląd. Zdaje się nam, że jeszcze dotąd odczuć można tu karzącą prawicę Bożą!...

Znużeni i osłabieni wróciliśmy nazajutrz bez najmniejszego wypadku do Jerozolimy, gdzie następnie pół dnia wypoczywaliśmy po niewygodach przykrej podróży.

*
* *

Zwiedziliśmy już wszystkie ważniejsze pamiątki Jerozolimy i jej okolic, które starałem się wam pokrótce przedstawić. Termin odjazdu 14-go września nadszedł. Wczas rano zebraliśmy się po raz ostatni na miejscu dla nas najdroższem i najświętszem, w kościele Grobu Pańskiego, by święte pamiątki jeszcze uściskać, ucałować, pożegnać. Niektórzy pielgrzymi pozwolili się w tej świątyni zamknąć i przepędzili całą poprzednią noc na modlitwie. Ustawieni według podziału na grupy z chorągwią i statuą Niepokalanej Dziewicy, ruszyliśmy w procesyonalnym pochodzie z pieśnią na ustach na dworzec kolejowy. Już o godzinie 10-tej byliśmy w Jaffie, gdzie nas oczekiwał okręt ozdobiony na nasze przyjęcie w liczne barwne chorągiewki. Konsul austryacki, dyrektor hospicyum austryackiego i kilku OO. Franciszkanów odprowadziło nas z Jerozolimy, towarzyszyli nam nawet na pokład okrętu. Lecz tu i z nimi trzeba się było pożegnać, rozstać. Po godzinie 12-tej w południe okręt podniósł kotwice, ruszyliśmy z powrotem do domów ojczystych. W czasie powrotnej podróży na okręcie odprawiali kapłani Msze św., nabożeństwa z kazaniami jak poprzednio, gdyśmy do Ziemi św. zdążali. W Tryjeście stanęliśmy szczęśliwie 19 go września o godzinie 8-mej zrana.

Kilku pielgrzymów udało się z Tryjestu do Włoch, kilku innych osobno wracało, zwiedzając po drodze niektóre pamiątkowe miejscowości. Wspomnieć należy, że jeszcze w Jerozolimie opuściło nas 32 uczestników pielgrzymki i wyjechało 13 go września celem zwiedzenia pamiątek Egiptu. Niektórzy pielgrzymi z Poznańskiego i ze Śląska opuścili nas w Oświęcimiu, by krótszą drogą wrócić do

domu. Około 400 pielgrzymów stanęło 20-go września o godzinie 5-tej po południu w Krakowie, na dworcu, gdzie na ich przyjęcie zgromadziły się tłumy ludu. W procesyi zdążali przez ulice miasta do kościoła OO. Reformatów, aby Panu Bogu podziękować za szczęśliwą podróż, za szczęście zwiedzenia pamiątek Ziemi św. i za liczne na tych miejscach odebrane łaski. *Ks. J. G.*

Polsce! Litwie! cześć!

Nad polami, nad chatami
Blask tęczowy lśni...
Jak muzyką, jak piosenką
Dzwon radości brzmi!...
Cały naród czci rocznicę...
Zewsząd płynie wieść
A my dzieci hołd składamy
Polsce! Litwie! cześć!

Czuje serce, iż to chwila
Wielkich w Polsce dni...
Na jej skrzydłach odblask chwały
Jako słońce lśni.
Dzielnie biło się rycerstwo,
By Krzyżaka zgnieść,
Za obronną walkę z wrogiem
Polsce! Litwie! cześć!

Od zwycięstwa pod Grunwaldem
Mija pięćset lat
Żyje Polska, choć poniosła
Wiele ciężkich strat.
Dzieci polskie na jej czoło
Wieniec pragnąc spleść...
Każdym czynem laur niech złożą
Polsce! Litwie! cześć!

O Ojczyzno nasza droga!
Głos się z piersi rwie...

Chociaż cierpisz, gdyś w niedoli
Nie zaginiesz, nie!
My cię bronić będziem dzielnie,
By te ciosy znieść!
Wróci radość — a dziś z serca
Polsce! Litwie! cześć!

Jak przyzwyczajać dzieci do posłuszeństwa.

(Słowo do matek).

Jakaż to rozkosz dla matki, mieć posłuszną dziecinę, która nietylko na każde skinienie matczyne pilnie zważa, ale nawet już z oczu odgaduje życzenia swej rodzicielki i takowe z własnego popędu ochoczo wypełnia!

Czy dziecię w posłuszeństwie się wychowa i wzrośnie, to od matki zależy, gdyż posłuszeństwo jest tak samo rzeczą przyzwyczajenia, jak upór.

1. Należy wcześnie zwalczać upór dziecka.

Nieraz wydarza się, że ojciec, gdy dziecko krzyczy i płacze, woła z niecierpliwością do żony: «A dajże już temu dzieciakowi na wolą, aby nie wrzeszczał, bo już tego wytrzymać nie mogę». Jest to nie dobrze, bo najprzód osłabia się tym sposobem powagę matki wobec dziecka, a powtóre ułatwia się dziecku osiągnięcie tego, czego osiągnąć nie powinno.

Matce płacz niemowlęcia zapewne jeszcze większą przykrość sprawia, niż ojcu, który jako mężczyzna więcej powinien posiadać hartu od niewiasty, a jednak koniecznie potrzebną jest rzeczą, aby matka lament dziecka przetrzymała i w niczem mu nie ustąpiła. Jeżeli dziecko chce krzykiem wymódz na matce, aby mu to lub owo dała, co mu nie jest potrzebne, to właśnie trzeba mu się oprzeć, gdyż skoro dziecko pomiarkuje, że matka jest chwiejna i skłonna do uległości, to tem bardziej i tem częściej będzie usiłowało dojść do celu swych pragnień za pomocą wrzasków. Uleganie zachciankom dziecka nauczy to ostatnie uporu, a z niego wyrodzi się nieposłuszeństwo i krną-

brność. Koniec tego wszystkiego będzie taki, że nie matka będzie rozkazywała, jeno synek lub córuchna, a matka będzie musiała słuchać.

Aby do tego smutnego wyniku nie przyszło, należy upór dziecka zwalczać już w kołysce. Gdy matka dziecko nakarmi, to często takowe, chociaż jest syte, mimo to dopomina się na nowo piersi. W takim razie zbyć trzeba płacz niemowlęcia milczeniem i cierpliwie czekać, aż się wypłacze. Gdy dziecko przekona się raz i drugi, że krzykiem nic nie wskóra, to samo zaprzestanie się naprzykrzać. Jeżeli zaś matka wszystkie zachcianki jego uwzględniać będzie, to dziecko wnet pozna, że matkę za nos wodzić może. Dać niemowlęciu na wolę, jakto zniecierpliwiony ojciec nieraz żąda, znaczy tyle, co dziecko psuć i do uporu przyzwyczajać. Prędzej nie powinna matka pieszczotliwie do dziecięcia przemawiać, dopóki takowe się nie uspokoi i woli matczynej nie podda. Ojca zaś obowiązkiem jest, tak się zachować, aby dziecko widziało, że i on kaprysom jego jest przeciwny i po stronie matki stoi.

2. Na kiełkującą krnąbrność należy używać rózgi.

Co się powyżej powiedziało, to odnosi się jedynie do dzieci maleńkich: do tych, które są w kołysce i do drobiazgu, który po odsadzeniu chodzić i szczebiotać zacznie.

Dla takiego delikatnego maleństwa jest milczenie wobec jego krzyków dość ostrym środkiem zaradczym; ostrzejszego nie potrzeba, a nawet troskliwie unikać należy surowych wystąpień.

Lecz gdy dziecko podrośnie, już chodzi i mówić się nauczy, natenczas na upór jego zaleca się rózgę, o której przodkowie nasi utworzyli przysłowie: «Rózgą Duch święty dzieci bić radzi — rózga przenigdy zdrowiu nie zawadzi». Gdy dziecko w złości na ziemię się rzuca, nogami tupie, jeść nie chce, pod łóżko ucieka lub w inny sposób krnąbrność okazuje, to koniecznie przetrzepać trzeba rózgą. Jeżeliby plagi nie skutkowały i dziecko w uporze trwało, chłostę należy powtórzyć (wprzód jednak próbować trzeba, czy się groźby hardoszek nie ulęknie), albo za karę postawić można zuchwalca w kącie izby, do innego pokoju wysłać, na post skazać i t. d. Środki te są potrzebne koniecznie. Dziecko musi

się ugiąć bądź co bądź i na ostatku ładnie ojca i matkę przeprosić. Tak było w dawnej Polsce i było z tem dobrze: z dzieci wyrastali posłuszni synowie i posłuszne córy.

Prawdą jest, że plagi sprawiają dziecku boleść. Prawdą też jest, że ojciec i matka, gdy biją, sami boleją na widok cierpiącej dzieciny — i bywa nawet często, że wewnętrzna boleść, której doznają rodzice, większą jest od cielesnego bólu, który dziecku sprawia chłosta, — zwykle bowiem rodzice bardziej kochają swe dzieci, niż dzieci rodziców. Ale z tem wszystkiem rodzice powinni się przezwyciężyć i spełnić to, czego wymaga rozsądek i poczucie obowiązku. Lepiej bowiem jest wychłostać czasem dziecko za młodu nieszkodliwą rózgą, aniżeli później powrozem lub kijem wyrostka okładać, albo co gorsza, dochować się z niego wyrodka, który ojca i matkę zgoła lekceważyć będzie. Pamiętajmy o tem, że drzewko da się nagiąć na każdą stronę, dopóki jest młode; ale gdy wyrośnie na duże drzewo, to pod naciskiem złamie się chyba, ale nie ugnie.

3. Starajcie się o posłuszeństwo z miłości.

Niejedna matka zapewne nieraz z bólu, że znowu krnąbrne swe dziecko wybić musiała, ręce załamując, wołała: «Ach Boże, żebym to już tych dzieciaków więcej bić nie potrzebowała!» A jednak jest i na to środek, po którego użyciu chyba rzadko, albo wcale już dzieci chłostać nie będzie potrzeba. Otóż starajcie się o to, rodzice, żeby was dzieci rzeczywiście szanowały i kochały! Ale to wam wiedzieć trzeba, że do posłuszeństwa zmusić dzieci możecie, do miłości nie.

O miłość ich trzeba się starać. Wprawdzie wlewa dobrotliwy Pan Bóg i Stwórca wiele miłości ku rodzicom w serce niemowlęcia, ale to bezrozumne dziecię wiele z tego daru traci, skoro pozna, że mało się rodzice o miłość troszczą. Nie należy znowu zrozumieć, jakoby przez ściskanie, całowanie i folgowanie dziecku miłość jego sobie zaskarbić trzeba, bo choć powinna matka okazywać miłość dziecku i tulić je do piersi, żeby to dziecko

widziało, że nikt go tak nie kocha, jak rodzice — to nie należy nigdy w czułościach przesadzać.

Również nie trzeba dziecka zmuszać, ażeby was ściskało i całowało, kiedy widać, że ono o czem innem właśnie myśli, tylko wtedy przyjmować od niego oznaki miłości, kiedy ono je samo daje, bo tylko wtedy są one szczere i chętne Wtedy nie trzeba dziecka odpychać od siebie, bo sobie to spamięta, bo go to zaboli. A gdyby się tak częściej zrobiło, toby się już dziecko nigdy nie odważyło, matkę lub ojca uściskać, boby się bało nowego odepchnięcia. Najwięcej i najłatwiej zjedna sobie matka miłość swego dziecka przez sumienne wykonanie swego obowiązku, przez rzetelne staranie się o to, żeby dziecku na duszy i ciele dobrze było, jeżeli mu zawsze pomaga, kiedy pomocy tej zapotrzebuje. Bo chociaż to dziecko niby nie bardzo mądre, to samo przez się łatwo odróżni miłość ślepą od miłości okazującej się w dobrych czynach i dobrodziejstwach.

Z miłości ślepej łatwo naprzykład matka popada w ten błąd, że dziecku każe mówić na zapytanie: «A czyjeś ty?» — Mamy! — co prawda, to i ojcowie tak samo nieraz czynią. — Otóż to błąd! Bo to dziecko mimowoli odstręcza się od jednego z rodziców, a ono powinno wiedzieć, że ojciec i matka to jedna całość, jedna dusza. Matka, która więcej ma do czynienia z dzieckiem, niż ojciec będący więcej zatrudniony i częściej także poza domem, winna przeciwnie wpajać miłość ku ojcu, opowiadając mu wiele dobrego o nim, pouczając je, żeby ojcu, wracającemu do domu, wyszło naprzeciw, i żeby grzecznością i posłuszeństwem ojca cieszyło.

A jak ojciec smutny lub chory, to niech matka dziecko tem więcej przytrzyma do grzeczności i posłuszeństwa wobec ojca; dziecko wnet zrozumie o co chodzi. Taki sam obowiązek spoczywa także na ojcu, a tak postępując oboje, wnet zobaczą, że rózga w domu będzie rzadkim gościem.

4. Jak należy postępować, ażeby dzieci rodziców szanować nie przestały.

Jeżeli jest wogóle rzeczą trudną, postarać się o poszanowanie od swych dzieci, to daleko trudniej jest, utrzy

mać je przy tem, żeby nigdy ich szanować nie przestały, szczególniej, kiedy dzieci dorastać zaczynają i kiedy rozumu nabierają. Często, o bardzo często tracą wtedy dzieci szacunek dla rodziców, kiedy im się oczy otworzą na wady rodziców zbyt wyraźne. Bo złe przymioty nie dadzą się długo ukryć przed dziećmi. Jeżeli ojciec pijak lub leniwiec lub jedno i drugie razem, — bo to u Polaków jedno z drugiem najczęściej w parze chodzi, — jeżeli matka niedobra, kłótliwa lub inne ma przywary brzydkie, to nietylko, że to dziecko wnet zatraci dla nich szacunek, ale co gorsza, samo staje się podobnem ojcu lub matce, bo nic tak łatwo nie przejmuje, jak błędy i wady. A złe dziecko nie szanuje swych rodziców.

Również przestaje dziecko kochać i szanować rodziców, kiedy widzi, że rodzice którzy to dziecko karzą za to, że kłamie, sami jedno przed drugim kłamią — kiedy widzi, że ten ojciec i ta matka, którzy niby uważają na to, żeby dziecko nie kradło i ich nie oszukiwało, sami czy to krewnego, czy sąsiada, czy obcego okradają i oszukują. Czy takie dziecko może nauczyć się sumienności? A czy nie jest także sumiennością, szanować rodziców? Więc gdzie niema sumienności, niema poszanowania!

Spory i kłótnie rodziców również niedobrze na dziecko oddziałują. Jakże bowiem ma to nierozwinięte dziecko mieć uszanowanie dla rodziców, jeżeli widzi, że ani ojciec matki, ani matka ojca nie szanuje, a co więcej, że nawet wprost brzydkiemi wyzwiskami nawzajem się obdarzają.

Także niesłuszne i zbytnie karanie odstręcza i odstręczać musi dzieci od rodziców. Toć każdy oburza się, kiedy go kara niesłuszna spotka, a dziecko nie miałożby tego uczynić, które jeszcze mniej umie wytłómaczyć przypadkowo niesprawiedliwe postępowanie, niż każdy inny człowiek z rozumem! Nie można się zawsze z dzieckiem ciaćkać, to prawda, ale jeszcze mniej za często go karać. Przecież każdy wie, że dzieci są dziećmi, że łatwo im zbłądzić, — a więc nie trzeba karać bez upamiętania, z uszkodzeniem dziecka na ciele, tylko spokojnie i w miarę.

O SŁOŃCU.

Najwspanialszem i najdobroczynniejszem dla nas ciałem niebieskiem jest słońce. Słońce jest prawdziwem cudem świata; przezeń obdarza nas Pan Bóg najrozmaitszemi łaskami, uwesela i uszczęśliwia.

Od słońca wszystko zawisło na ziemi; wschód jego sprawia dzień, powołuje wszystkie stworzenia do życia i pracy; zachód sprowadza noc, która wszystko pogrąża w cieniu i spoczynku. Od słońca, to jest wskutek tego, czy jego promienie padają prostopadle, czy też mniej, lub więcej ukośnie, mamy pory roku kolejno po sobie idące. Jest ono niewyczerpanem źródłem światła i ciepła, bez którego nie moglibyśmy istnieć na ziemi; jemu też zawdzięczamy wszystkie przemiany, jakie się na jej powierzchni odbywają.

Ciepło słoneczne wchodząc w morza, jeziora i rzeki, ogrzewa ich powierzchnię i wywołuje parowanie, które jak wiemy jest przyczyną dobroczynnych deszczów i rosy. Wskutek nagrzania się od słońca powierzchni oceanów, powstają w wodzie prądy, wywierające na zmianę klimatu wpływ dobroczynny. Prądy ciepłe, idące z krain gorących, ogrzewają i łagodzą ostry klimat zimniejszych okolic, a natomiast chłodne prądy dochodzące do krajów gorących, są również bardzo tam pożądane. W powietrzu słońce także wywołuje prądy, zwane wiatrami, a te wilgoć z nad oceanów roznosząc daleko na lądy, zasilają takowe ożywczą wodą z deszczów i śniegów. Ciepło słoneczne, padając na górskie lodowce, topi je i zamienia w strumienie i rzeki,. które zarówno jak i woda deszczowa niezbędne są do utrzymania roślinności i wszelkiego życia na ziemi.

Te piękne lasy, te bujne zboża i łąki zielone, te przeróżne rośliny, co żywią ludzi i zwierzęta, nie mogłyby istnieć bez słońca. I to nietylko ciepło, ale i światło słoneczne ogromnie i niezmiernie ważny wpływ na nie wywiera. Rośliny pod wpływem światła słonecznego, wydzielając tlen tak niezbędny do naszego oddychania, wzbogacają nim powietrze, a dla siebie zatrzymują węgiel, jako materyał niezbędny do rozwijania się pni, gałęzi liści i owoców. Bez

światła słonecznego zatem nawet w cieple rośliny nie mogłyby rosnąć. Łatwo się o tem przekonać można, posadziwszy roślinę w miejscu, gdzie światło słoneczne nigdy nie dochodzi.

A więc słońce porusza powietrze i wody, obdarza światłem i ciepłem, jest źródłem życia i szczęścia na ziemi, daje nam radość i rozweselenie. Dawniej też ludzie widząc cudowne działanie słońca, a nie rozumiejąc jego przyrody, przypisywali mu siłę nadprzyrodzoną i patrzyli na nie, jak na jakie bóstwo. Modlono się do niego, składano ofiary, a to nietylko dawniej istniały narody, oddające cześć słońcu, ale i do dziś się znajdują. Słońce niegdyś czcili Egipcyanie, a przy odkryciu Ameryki przekonano się, że cześć mu oddają Peruwianie i Meksykanie. Nasi pogańscy przodkowie także czcili słońce; w dniu, w którym słońce wiosenne dosięga najwyższej potęgi, najjaśniej i najdłużej świeci, obchodzili radosne święta Kupały i Sobótki.

My, chrześcijanie, wiemy dobrze, że słońce, zarówno jak i wszechświat cały, jest dziełem wszechmocy Boga. Gdy więc czujemy jego skutki dobroczynne, gdy ono nas radością i szczęściem napełnia, nie jemu cześć oddajemy, ale Najwyższemu Stwórcy, co dla naszego dobra, nad naszemi głowami zapalił to niepojęcie olbrzymie ognisko, by nas ogrzewało i nam świeciło. Bogu się za to wdzięczność jedynie należy, którego wielkość i potęgę poznajemy w ogromie dzieł Jego.

Ale cóż to jest słońce?

Badanie słońca, tej promiennej pochodni, darzącej nas światłem i ciepłem, od niepamiętnych czasów zajmowało umysły ludzi. Do dziś dnia uczeni pracują nad poznaniem naszej «gwiazdy dziennej» i zjawisk na niej zachodzących. Dużo już bardzo pod tym względem zdziałano przy pomocy odpowiednich, z wielkim nakładem pracy wymyślonych przyrządów; wiele ciekawych niezmiernie uczyniono spostrzeżeń; a jednak nie wszystko dotąd wiemy o słońcu. Owszem, to czego uczeni dotąd doszli, zapewne jest jakby kroplą zaledwie, wobec wielkiego morza; wszystkie jednak nagromadzone przez długie lata spostrzeżenia, z czasem mogą doprowadzić do gruntownego poznania

natury słońca. Tymczasem i to, co wiemy, jest nadzwyczaj ciekawe.

Słońce jest to olbrzymia kula gazowa, niezmiernie wielka, rozżarzona. Jest to morze tak strasznego gorąca, że w niem wszystko musi się zamienić w parę. Dawniej sądzono, że słońce składa się z rozpalonej masy, podobnej do tej, jaka wypełnia wnętrze naszej ziemi i że masa ta otoczona jest powłoką płonących gazów. Nowsze badania dowiodły, że całe słońce z gazów się składa. Ale ponieważ słońce jest olbrzymie, a więc nagromadzenie gazów niezmierne, przeto gazy, znajdujące się bliżej środka kuli, muszą ulegać bardzo wielkiemu ciśnieniu gazów ponad niemi leżących. Przecież i powietrze ziemię otaczające, zgęszcza się, pod ciśnieniem wyższych warstw jego. Uważając ogromną siłę ciśnienia w głębszych warstwach słońca, przypuszczać należy, że owe gazy, nie przestając być gazami z powodu niezmiernego gorąca, posiadają jednak gęstość większą od gęstości wody, a to skutkiem ciśnienia, jakiemu ulegają te gazy rozpalone.

Uczeni przy pomocy odpowiednich przyrządów potrafili dość dokładnie wymierzyć temperaturę słońca. Obliczono, że nie jest ona tak wysoką, jak dawniej utrzymywano, to jest 300 tysięcy stopni; jednak bardzo a bardzo wysoka i dostateczna, aby w niej wszystkie znane nam ciała w parę się zmieniły. Podług najnowszych dowodzeń wynosi ona około 7 tysięcy stopni.

Żeby zrozumieć wysokość tego gorąca, pomyślmy, że najwyższa temperatura, jaką człowiek jest w możności sztucznie otrzymać, wynosi zaledwie 4.500 stopni, a do tego potrzeba niezmiernie silnego prądu elektrycznego. I w tej temperaturze 4.500 stopni, topią się najoporniejsze na działanie ognia materyały, jak: porcelana, wapno, magnezya, a węgiel, który nie może się topić, zamienia się w parę. A więc na słońcu przy temperaturze o wiele wyższej, bo 7 tysięcy stopni gorąca, już żadne ciało utrzymać się nie może, ale się zamienia na parę — na gaz.

Wewnątrz tej rozpalonej kuli gorąco musi być jeszcze większe, bo przecież jej powierzchnia ochładza się, stykając z bardzo zimną przestrzenią międzyplanetarną. Wskutek to właśnie takiego ciągłego oziębiania się powierzchni

słońca, w łonie tej kuli płomiennej odbywają się ustawiczne, a nadzwyczaj gwałtowne ruchy i prądy. Te ciągłe prądy wpośród gazów rozpalonych są przyczyną burz, szalejących na słońcu.

Słońce obserwowane przez teleskop (czyli dalekowidz astronomiczny), przedstawia się jako świetlisty ocean ognia, miotany ciągłemi burzami i wstrząśnieniami. Nasze burze, choćby najstraszniejsze, niczem są w porównaniu z temi nawałnicami ognistemi, co szaleją na słońcu. O gwałtowności owych nawałnic dają nam niejakie pojęcie wyskoki słoneczne, które są olbrzymiemi wytryskami gorejącego wodoru, z głębi słońca wyrzucanemi w górę na olbrzymie wysokości. Te wybuchy gazów, strzelające różowemi snopami płomieni z ogromną siłą, mają rozmaitą wielkość i postać, a obserwowano pomiędzy nimi tak niezmierne, że pochłonąćby mogły naszą ziemię, wraz z obracającym się koło niej księżycem.

Rozmiary kuli słonecznej dosyć dokładnie obliczono, ku czemu astronomowie (gwiaździarze) posiadają odpowiednie sposoby. Prawdziwa średnica słońca wynosi 197 tysięcy mil, przewyższa zatem średnicę naszej ziemi 109 razy. Odpowiednio do tego, objętość kuli słonecznej jest 1 milion 280 tysięcy razy większa od objętości ziemi; to znaczy, że z kuli słonecznej mogłoby być 1 milion 280 tysięcy kul ziemskich. Podług swej wielkości ziemia narysowana obok słońca, wyglądałaby jak ziarno maku obok dużego jabłka. A przecież kula ziemska jest niezmiernie wielka; ludzie już ją wymierzyli i okazało się, że jej obwód wynosi 5.400 mil,— a jednak drobną jest ona i maleńką w porównaniu ze słońcem.

Dlaczegóż nam jednak słońce wydaje się tak małem? Oto dlatego, że znajduje się ono od nas niezmiernie daleko. Odległość słońca w milach geograficznych obliczona jest na 20 z górą milionów. Jest to odległość tak wielka, że przechodzi nasze pojęcie. Wyobraźmy ją sobie przez porównanie. Oto gdyby pomiędzy słońcem a naszą ziemią istniała droga żelazna, to pociąg biegnąc po 5 mil na godzinę, a pędząc bez ustanku dniem i nocą, mógłby przebyć tę przestrzeń zaledwie w 300 lat! Gdyby tak ktoś chciał między ziemią a słońcem zbudować most, a użył do

tego kul tak wielkich, jak nasza ziemia, to musiałby ich mieć na to 11.630 sztuk. Na most zaś, łączący ziemię z księżycem, wystarczyłoby 30 takich kul.

(Dokończenie nastąpi).

Arcybiskup i krowa.

Sławny Arcybiskup francuski Fenelon lubiał odbywać małe wycieczki pieszo w okolicę. Raz zaszedł tak do pewnej wioski i zatrzymał się przed chatą, z której dolatywał .do jego uszu krzyk rozpaczy i lament. Wszedł więc do wnętrza i tu dowiedział się od biednych ludzi, że ich jedyna krowa, z której prawie wyłącznie żyli, zaginęła gdzieś od dwóch dni: krowa ta była czarnej maści a jedną nogę miała białą.

Arcybiskup, niepoznany przez biednych wieśniaków, pocieszył ich i obdarował. Wracając z przechadzki do miasta spostrzegł przypadkowo w pobliżu małego krzaka czarną krowę z białą nogą i powrozem na szyi. Uradowany podszedł spiesznie do krowy, ujął za powróz i zaprowadził do chaty owych nieszczęśliwych ludzi. Trudno tu opisać ich uciechę, gdy znowu zobaczyli swój najdroższy skarb u siebie.

Arcybiskupa jednak poznano we wsi, wszyscy mieszkańcy wybiegli z chat, a dowiedziawszy się o tak szlachetnym uczynku X. Arcybiskupa, nie pozwolili mu pieszo wrócić do miasta, lecz ponieśli go w tryumfie na rękach do domu. Wkrótce potem ukazały się obrazy, w których malarze przedstawiali wzniosły postępek Arcypasterza.

Śmierć przez nagłe ochłodzenie ciała.

W pewnej wsi zmarł nagłą śmiercią młody parobczak, Stach, przed chwilą jeszcze zdrów i silny. Krewnym i znajomym śmierć jego wydawała się dziwną i niewytłumaczoną. Mój Boże — mówiły kobiety żałośliwie, kiwając

głowami — toć on wczoraj był taki wesoły, tańcował prawie noc całą, a oto już dzisiaj nieboszczyk! I dalej lamentując, robiono różne przypuszczenia:

A może mu która z bab coś zadała?... a może — złe miejsce przestąpił — mówili zabobonnie jedni — inni znów czynili domniemania, że ktoś go w nocy zadusił — uchodził bowiem za zamożnego.

Ale wszystkie te przypuszczenia były poprostu — głupstwem.

Parobczaka znaleziono w poniedziałek rano nieżywego w chlewie, na słomie. Dano znać do sądu. Przyjechał sędzia i doktór powiatowy. Po oględzinach ciała zmarłego, okazało się, że przyczyną śmierci było nagłe zaziębienie.

I wistocie! Stach gdy usłyszał muzykę, był zawsze pierwszym w karczmie i ostatni wychodził; lubił sobie też podochocić, a gdy sobie podochocił, tańcował do upadłego. Tak było i w ostatnią niedzielę. Zgrzany, do koszuli spocony, a przytem i nietrzeźwy wyszedł o północy z karczmy (a może mróz tej nocy był niemały) i przyszedłszy do domu, rzucił się w sieczkarni na słomę, nagle ostygł i z tej przyczyny umarł.

Tak to przez nierozważne postępowanie niejeden człowiek sam sobie życie skraca, ten dar Stwórcy, który strzedz i szanować należy. A tymczasem dzieje się całkiem przeciwnie. Najczęściej postępujemy w ten sposób; zgrzeje się kto podczas upałów w lecie — odrazu do wody! — zapoci się w tańcu — odrazu na dwór! pomimo mroźnego powietrza. Ochłodzi się wprawdzie chwilowo, ale to nagłe ochłodzenie — niezdrowe i jeżeli nagła śmierć nie nastąpi, to później lub rychlej nabawi się ciężkiej choroby.

Unikajmyż tego!

Złote myśli i zdania.

Gdy największa trwoga, tuż jest pomoc Boga.

Gdzie Chrystusowa dziedzina — murem nawet pajęczyna. *(Skarga).*

Jeżeli chcesz być bogatym, to nie dosyć ci jest wiedzieć, jak zarobić, ale zarazem wiedzieć ci trzeba, jak i zaoszczędzić.

Obiecujesz poprawę — czyń co się przyrzekło,
Bo dobremi chęciami zbudowane piekło.

Dusza leniwa podobna jest do gruntu, odłogiem porzuconego; rodzi ona tylko zielsko i chwasty bez użytku.

Ząbobony a cholera w Rosyi.

Ciemny lud rosyjski uważa za głównych winowajców w rozpowszechnianiu się cholery oddziały lekarskie i sanitarne, a równocześnie wierzy głęboko w skuteczność swoich środków zabobonnych.

Przypomniał sobie teraz lud rosyjski wobec klęski zarazy o rozmaitych zamawianiach, a kobiety i dziewczęta wiejskie chodzą w pługach i oborywują okolicę, zagrzebują w ziemi żywcem psy, «rąbią» i «wymiatają» cholerę i t. p.

Na folwarkach, przylegających do wsi Aleksandrowskoje (w tak zwanym kraju Kozaków Czarnomorskich), gdzie cholera usłała sobie trwałe gniazdo, ktoś poradził, w celu uwolnienia się od niej, zaprządz, za przykładem dawnych lat, do pługów wdowy i zaorać niemi dokoła folwarków miedzę. Zaprzągnięto trzy wdowy. Było to jednak ponad ich siły, wobec czego «leczenie» odroczono do wyszukania nowych wdów.

Podobne wypadki miały miejsce w powiecie warnawińskim gubernii kostromskiej, gdzie zaorywania dokonano już w kilku wsiach. Zaorywanie kostromskie różni się nieco od opisanego wyżej i odbywa się w sposób następujący: gdy zawleczenie cholery do wsi uznano za nieuniknione, wybranych zostaje dwanaście dziewcząt, które w jak najgłębszej tajemnicy, w nocy lub na długo przed świtem, rozpuściwszy włosy, w koszulach tylko, boso, robią pługiem

dokoła śpiącej wsi bruzdę; pług ciągną i kierują nim dziewczęta same, bez niczyjej pomocy.

Nikt z postronnych nie powinien nawet wiedzieć, kiedy się to odbywa. Jeżeli oborywanie nie wywiera skutku i ludzie nie przestają chorować, stosowany bywa inny środek: cholerę rąbią i wymiatają. Sposób ten walki z cholerą polega na tem, że gdy zwłoki niosą na cmentarz, na przodzie postępuje dziewczyna i rąbie siekierą po ziemi, zamyka zaś pochód wdowa, która miotłą zmiata ślady, pozostawione przez siekierę.

Rozumie się, że to wszystko nic nie pomaga, a świadczy o nader wielkiej jeszcze ciemnocie ludu rosyjskiego.

Rozmaitości.

Ustawa przeciwko kawalerom.

Jeden z członków senatu francuskiego opracował projekt ustawy przeciwko kawalerom, by ich zmusić do zawierania małżeństwa.

Wskutek bowiem wielkiej ilości starych kawalerów we Francyi, zmniejsza się liczba małżeństw i Francyi grozi wielki ubytek ludności.

Według projektu owego senatora, każdy pragnący wstąpić w służbę państwową, ma zobowiązać się przed 25-tym rokiem życia wstąpić w związek małżeński. W ten sposób powstałoby co najmniej 200 lub 300 tysięcy nowych ognisk rodzinnych.

Projektodawca chce nadto urzędnikom, którzy mają co najmniej troje dzieci podwyższyć pensye i specyalne udzielać dodatki.

Nie chcący się zaś żenić mają odbywać ćwiczenia wojskowe dwa razy dłużej niż żonaci, i aż do starości pozostaną w rezerwie.

Podobno projekt powyższy doznał w senacie życzliwego przyjęcia.

Sposób na gadulstwo.

Inżynier japoński Jamiakowa wynalazł przyrząd, zapomocą którego można odebrać głos mowcy, gdy ten za długo mówi. Chodzi tu o mowców w parlamentach. Od oparcia każdego krzesła poselskiego idzie rurka na dół pod podłogę, gdzie zbiegają się wszystkie rurki od krzeseł. Przed posiedzeniem otrzymuje każdy poseł po kilka jednakowych kulek ołowianych jednakowej miary. Gdy się posłom wydaje, że ich kolega za długo mówi, wrzucają owe kulki do rurki. Jeżeli uczyni to większość posłów, wtedy nagromadzone kulki przechylają trybunę i mowca znika pod podłogą, z której po chwili wychodzi zdrów i nieuszkodzony.

Największy tłuścioch.

Tego roku zmarł we Francyi, w mieście Auvergne sędzia pokoju Rolland, najotylszy prawdopodobnie i najcięższy człowiek na świecie. Ważył on 258 kilogramów, obwód zaś jego klatki piersiowej wynosił 1 metr 83 centymetrów, a brzuch nie pozwolił mu ani na chodzenie, ani nawet na jazdę wózkiem. Koleją też nie mógł jeździć, gdyż nie mógł się zmieścić do drzwi przedziału.

Z pomieszkania do biura wożono go wózkiem osobnej konstrukcyi. Wózek stawiano na tylnych kołach pionowo, wpychano tłuściocha do niego, a następnie przywracano wózkowi położenie poziome i zaprzęgano konie. Przed biurem odprzęgano konie i w powyższy sposób wydobywano pana sędziego.

Do trumny włożono zwłoki przy pomocy dźwigni. Zwłoki z trumnami cynkową i drewnianą ważyły przeszło 24 cetnarów, a musiano wybić otwór w ścianie, gdyż drzwi domu były dla nich za wąskie. Na cmentarz odwieziono zwłoki na wozie drabiniastym, gdyż karawan był za słaby.

Sprzedaż własnego kośćca (szkieletu).

W Sztokholmie (w Szwecyi) rozsądzały niedawno sądy nadzwyczaj ciekawą sprawę. Przed kilkunastu laty

biedak 20-letni J. Nistrem, dowiedział się, że królewski zakład naukowy (anatomiczny) kupuje za dobrą cenę szkielety.

Człowiek, zgadzający się na to, by jego szkielet stał się po śmierci własnością zakładu, zawiera umowę prawną i otrzymuje znaczną sumę pieniędzy. Podpisał ugodę i dostał znaczniejszą kwotę. Szczęście go spotkało. Otrzymane pieniądze włożył w przedsiębiorstwa, dorobił się miliona, ożenił się i został ojcem. I teraz on wraz z rodziną uważają za nieodpowiadające godności milionera, by jego szkielet znajdował się w owym zakładzie. Nistrem chciał więc wejść w układy, lecz zarząd zakładu je odrzucił. Rozpoczął więc proces o unieważnienie ugody, ale go przegrał. Nadto jeszcze został zasądzony na karę za wyrwanie sobie dwóch zębów bez pozwolenia właściciel jego szkieletu.

Domy ze szkła.

Pewien budowniczy w Stanach Zjednoczonych twierdzi, że domy w przyszłości w Ameryce przynajmniej, będą stawiane całe ze szkła. Roger Pease oświadcza, że za dziesięć lat będą tam budować tylko ze szkła. Wszystkie części składowe począwszy od podwalin a skończywszy na dachu będą ze szkła.

Wielką korzyścią przy tych budowlach będzie to, że nie będą potrzebowały żadnego malowania, żadnych tapetów. Szkło będą wyrabiać w żądanej barwie. Oczywiście szkło takie nie będzie przeźroczyste, lecz ciemnawe, jak łupek. Domy tak budowane będą wolne od wilgoci i grzyba.

Jeśli te przewidywania się sprawdzą, to spełnią się owe marzenia o domach i pałacach szklanych stawianych na szlanych górach.

Za ile lat ziemia nie zdoła wyżywić wszystkich mieszkańców?

Jeżeli ludność mnożyć się będzie w tym stosunku, co obecnie, to w roku 2250 liczba mieszkańców dojdzie

do 52 miliardów, więc na każdej mili kwadratowej musi się pomieścić ludności dwa razy więcej niż w Belgii. Otóż najżyźniejsza ziemia nie zdoła wydać plonów tak obfitych, żeby można było zaspokoić potrzeby tylu ludzi.

Szybki bieg myszy.

Obliczono, że mysz w jednej sekundzie 500 kroków odbywa, a zatem 30 tysięcy w jednej minucie. Gdyby koń tak był rączy w swym biegu, możnaby na nim w ciągu jednej godziny 200 mil ujechać.

Czy szybkie bieganie jest zdrowe?

Pewien uczony amerykański, Chas. E. Hammett, udowadnia na podstawie sprawozdań lekarskich i licznych spostrzeżeń czynionych na ludziach oddających się ćwiczeniom szybkiego biegania, że ani serce ani płuca nie ponoszą najmniejszej szkody przez szybkie bieganie, jeżeli ćwiczenie to jest umiarkowane.

Szkodliwe następstwa wywołuje szybkie bieganie wtedy, gdy się nie opiera na ciągłem ćwiczeniu, i gdy się rzadko biega a nieumiarkowanie.

Rząd duński przeciw alkoholowi.

W Danii, gdzie dawniej spożywano najwięcej z krajów europejskich wódki, bo 14 i pół litra na osobę rocznie, oddawna już istnieje silny ruch przeciw używaniu napojów alkoholicznych, a ruch ten popiera energicznie rząd duński.

Niebawem ma być tam uchwalone prawo, według którego istnienie szynku w jakiejś miejscowości zależne będzie od głosowania ogółu ludności dorosłej (ponad 25 lat) obu płci. Jeżeli większość głosujących nie życzy sobie szynku, to się go zamyka.

Rząd duński bardzo sobie życzy, aby to prawo parlament jak najrychlej uchwalił. O jakże u nas inaczej, inaczej!

Pokup na panny.

Są jeszcze kraje na świecie, w których kobiety nie przeważają — liczebnie. Taką obiecaną krainą jest zaludnione wychodźcami miasteczko Oukny, w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki. Na 600 do 700 mężczyzn przypada tam jedna kobieta. Nie dziw więc, że gdy przed kilku miesiącami przybył osiedleniec z sześcioma córkami, sprawiono mu owacyę, a panny znalazły mężów w godzinę i to drogą publicznego przetargu. Dostawały się temu, kto dawał więcej — ojcu. Jedna tylko nie chciała się zgodzić na licytanta, któremu miała przypaść w udziale i oddała swę rękę mniej dającemu.

Ponieważ formalności przedślubne nie istnieją w Oukny, zatem w ciągu godziny przybyło miastu sześć par nowożeńców, a ojciec panien stał się zamożnym obywatelem miasta. Owe sześć cór na wydaniu nie zaspokoiły jednak potrzeb miejscowych. Pozostali kawalerowie, za pomocą gazet błagają panny, by zechciały przybywać do Oukny i ofiarują im posagi do wysokości tysiąc dolarów.

Sąd kobiecy.

W miasteczku Hans Peak w Colorado (w Ameryce) wydarzyło się — o ile wiadomo, po raz pierwszy — że sąd przysięgłych składał się z samych kobiet. Niedawno ogień zniszczył ową miejscowość prawie doszczętnie. Sędzia, zmuszony złożyć sąd, mający wydać swe zdanie o stanie umysłowym pewnej kobiety, przekonał się, że niema w mieście dostatecznej ilości mężczyzn, by mógł z pośród nich wybrać wymaganych sześciu sędziów przysięgłych. Postanowił przeto złożyć sąd przysięgłych z sześciu kobiet, pomiędzy któremi dwie były zamężne. Sąd zebrał się w sposób przepisany i wydał wyrok.

Największy kapelusz na świecie.

Na wystawie powszechnej w Brukseli (w Belgii) można oglądać w oddziele włoskim kapelusz słomiany, w którego wnętrzu można pomieścić — jak się przekonano,

24 dziewcząt. Olbrzym ten ma przeszło 3 metry średnicy, jest wysoki na 80 centymetrów, a jego obwód wynosi 10 metrów. Robiono go pod gołem niebem, a do wyrobu użyto plecionki długości sześciu kilometrów. Przewóz tego kapelusza nie był wcale łatwy, gdyż trudno było wyszukać odpowiedni wóz.

Szkodliwość palenia tytoniu.

Nad szkodliwością palenia tytoniu przez małoletnich chłopców robił jeden z lekarzy angielskich dłuższe badania i przyszedł do tego wyniku, że na 58 chłopców, którzy się namiętności oddawali, u 27 wzrost był zatrzymany, a 31 okazało nieprawidłowe bicie serca, osłabienie trawienia i skłonność do kaszlu. Wobec tego wpływać powinni rodzice i opiekunowie na młodzież, by ją powstrzymać od szkodliwych następstw nikotyny.

Najnowszy wynalazek Edisona.

Z Nowego Jorku piszą do gazet, że sławny wynalazca Edison przedstawił niedawno swoim znajomym najnowszy wynalazek, któremu dał nazwę „Kinematofon“, a który jednoczy w sobie kinematograf (żywe fotografie) z gramofonem, to jest przyrządem oddającym głos.

Gdy się ten przyrząd puści w ruch, zjawia się na ścianie obraz żywy, na przykład jakiś pan, który rusza się, śpiewa, mówi, gniewa się i t. d. Widać więc w obrazie nietylko ruch osoby, ale słyszy się przytem jej mowę, śpiew i t. p. Za kilka miesięcy mają się kinematofony pojawić już w handlu.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Figle i żarty.

W wagonie kolejowym. Kobieta wiejska wsiadła do wagonu drugiej klasy z biletem do trzeciej.

Konduktor: Proszę wyjść do trzeciej klasy.

Kobieta: Mnie i tu dobrze.

Świadectwo służbowe. Z. Kamińska służyła u mnie do wszystkiego — lecz oddaliłam ją, ponieważ była do niczego.

Usprawiedliwił się. Żona. Mężu, na twoim surducie znalazłam dziś włos kobiecy.

Mąż. A, to pewno z wczorajszej zupy, przyrządzonej przez ciebie.

O dług. Wierzyciel: Zdaje mi się, że pan umyślnie mnie unika, bo jak mnie spotka na ulicy, to skręca szybko na drugą stronę.

Dłużnik: A mnie się zdaje, że pan mnie umyślnie nachodzi i stara się ze mną spotkać.

W przespaniu. Pewien gospodarz budzi się w nocy ze snu, bo mu się zdawało, że ktoś jest w izbie, może jakiś złodziej. Więc woła:

— Hej, jest tu kto?

Złodziej za łóżkiem ukryty odpowiada:

— Nie, niema nikogo.

— No, to mi się tylko zdawało, — rzekł rozespany; obrócił się na drugą stronę i spał dalej.

Przytomny kelner. — Prosiłem o wino i o wodę. Wino jest, a gdzie woda?

— Woda, proszę jaśnie pana, już jest w winie.

ŚWIATŁO

pismo powieściowe i popularno-naukowe

wychodzi **raz** w miesiącu — około dnia **1-go.**

Wydawca i redaktor: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

Rocznik II. (Półrocze II.) — **Numer 5.**
(Za listopad 1910 r.).

Adres: Redakcya „ŚWIATŁA" w Krakowie
ulica Powiśle L. 12.

KRAKÓW.
Nakładem Ks. M. Dziurzyńskiego,
Czcionkami Drukarni Związkowej pod zarządem A. Szyjewskiego.
1910.

Treść numeru 5-go.

Rozszerzajcie „Światło“

i jednajcie nam nowych prenumeratorów jak najwięcej, bo gdy się w tym roku zbierze większa liczba Czytelników, to w takim razie podawać będziemy w każdym numerze „ŚWIATŁA“ piękne ryciny (obrazki).

Zdania Papieży i Biskupów o popieraniu prasy!

Papież **Pius IX.** powiedział: **„Żądamy, aby katolicy życzliwie popierali tych, którzy wydają pisma przejęte duchem katolickim“.**

Pius X., który niegdyś jako Patryarcha Wenecyi gotów był zastawić swój pastorał biskupi, aby podtrzymać pewne pismo weneckie, wyraził się już nieraz jako Papież, że **„popieranie dobrej prasy katolickiej** (czyli pism) **jest o wiele lepszem dziełem, niż budowanie kościołów i klasztorów“.**

W podobny sposób mówił w roku 1908 o prasie na wiecu katolickim w Saragossie (w Hiszpanii) Arcybiskup Aguirre z Bourgos. Wyrzekł on te słowa: **„W dzisiejszych czasach jest rzeczą większej wagi dać światu jedno pismo prawdziwie katolickie, niż zbudować kościół“.**

Kardynał Parochi mawiał: W czasach, gdy Kościołem rządził Leon X., udzielano hojnie odpustów tym, którzy składali ofiarę na budowę kościoła świętego Piotra. Ja zaś na klęczkach prosiłbym Ojca świętego, aby udzielał odpustów wszystkim, którzy przez popieranie prasy katolickiej współuczestniczą w budowaniu żywego Kościoła Bożego“.

Rocznik II. Kraków 1-go listopada 1910. (Półrocze II-gie) Nr. 5.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok: 3** korony — na **pół roku: 1** kor, **50** hal. — Do Niemiec na rok: **4** kor. — półrocznie **2** kor. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya **„ŚWIATŁA“** w Krakowie ul. Powiśle 12.

DZIEŃ ZADUSZNY.

Wkoło tyle smutku, bólu i żałoby,
Jakby ziemię całą spowił mrok i cień,
Rozmodlone tłumy otaczają groby,
A wszędzie łzy płyną — to Zaduszny dzień!

Każdy przypomina rozstania godzinę,
Każdemu serdeczną pierś tęsknotą drży,
Każdy opłakujc krewniaków, rodzinę,
Ojca, męża, dziecko, co w mogile śpi.

Serca ich za życia miłość kojarzyła,
Razem podzielali z sobą ciężki los,
Dzisiaj ziemia-matka szczątki ich zakryła,
A śmierć ostateczny zadała im cios.

Lecz ci, co zostali, czyż zapomnieć mają,
Że winni im miłość, wdzięczność albo cześć?
Więc gdy w utrapieniu dusze ich zostają.
Modlitwą im pomoc swą powinni nieść.

Dusza nie umarła, bo umrzeć nie może,
Lecz na sprawiedliwy Boży poszła sąd,
Dziś w mękach czyścowych znosząc kary Boże,
Pokutą, cierpieniem zmywa grzechów trąd.

W więzieniu bolesnem wypłacając długi,
Głos prośby serdecznej śle ku nam na świat,
I któż z nas tym biednym odmówi usługi?
Tam matka, tam siostra, przyjaciel lub brat.

Wspomóżmy ich naszą modlitwą serdeczną,
By cierpień umniejszyć i spłacić ich dług,
My możem im radość przybliżyć odwieczną
I rychło w niebieski wprowadzić ich próg.

Więc dzisiaj i zawsze z modlitwy darami
Śpieszmy, litość niech w nas obudza ich stan;
Módlmy się za zmarłych, jeżeli też sami
Pragniemy, by dla nas miłościw był Pan.

ZEPSUTE PALCE.

(Zdarzenie prawdziwe z 1886 roku).

Przed kilkunastu laty pisały dzienniki o następującem prawdziwem zdarzeniu, jakie zaszło w Westfalii około 1886 roku.

W piękny dzień czerwcowy, opowiada pan J., wyszedłem za miasto na przechadzkę. Uszedłem już spory kawał drogi, gdy naraz usłyszałem turkot zbliżającego się powozu, w którym ujrzałem znanego mi doktora, pana A.

Na mój widok zacny lekarz kazał powstrzymać konia, a wyciągając do mnie rękę, zawołał wesoło:

— Dokądto panie Józefie? Jeśli na przechadzkę, to siadaj ze mną, bo tak dawno nie widzieliśmy się, miłe mi będzie bardzo twoje towarzystwo.

Uścisnąłem rękę doktora i chętnie zgodziłem się na jego propozycyę; wsiadłem do powozu i razem pojechaliśmy do oddalonej o jaką milę wioski, dokąd doktor śpieszył do chorego. Żywo potoczyła się rozmowa, której przedmiotem były różne choroby.

Nagle doktor zamilkł, jakby nową myślą uderzony, a po długiej chwili rzekł:

— Wszystko, co panu przytoczyłem, dowodzi, że niewiele jest dziś tajemnic dla medycyny. A jednak wyznać

muszę, że zdarzają się choroby, których przyczyn trudno dociec nauce. Znasz mię pan, że przesądnym ani zabobonnym nie jestem, że we wszystkich objawach życia upatruję naturalne tylko przyczyny i skutki; jednakże nie więcej, jak przed półrokiem miałem pacyenta, którego choroby nie mogłem sobie wytłumaczyć w sposób naturalny.

— I w jakiż sposób wytłumaczyłeś ją pan sobie? — zapytałem z uśmiechem, bo wiedziałem, że pan doktor, choć człowiek zacny, był bardzo wolnomyślnym, i sam się przyznawał do tego; ba, szczycił się może nawet trochę swoim liberalizmem.

— Dla mnie choroba została niewyjaśnioną zagadką, — odparł uczony lekarz, — ale sąsiedzi chorego przypisywali ją karze Bożej za krzywoprzysięstwo.

— Jakto? więc ten pański pacyent był krzywoprzysięzcą?

— Sądownie nie dowiedziono mu tego, ale głos ogółu uważał go za takiego.

— Lecz jakież były objawy tej niepojętej przez pana choroby? — pytałem ciekawie.

— Zadziwiające! Ale posłuchaj pan, jak rzecz się miała. Przed kilku miesiącami przyszedł do mnie wyrobnik z wioski, do której właśnie jedziemy i prosił, aby mu poradzić coś na palec, bolący go od dni kilku. Ujrzawszy palec, spostrzegłem odrazu, że się psuje,... gnije poprostu. Zbadałem chorego, był zupełnie zdrów i silny, a jak mi mówił, nigdy dotąd nie chorował. Na pytanie moje odpowiedział, że palca sobie niczem nie uszkodził, i że nagle boleć i psuć się począł.

— Zastosowałem odpowiednie środki, opatrzyłem palec i kazałem choremu za kilka dni przyjść do opatrunku. Stawił się biedak w oznaczonym czasie, ale ze zdumieniem spostrzegłem, że starania moje na nic się nie zdały; z dużego palca, który najpierw zaczął boleć, prawie już nic nie zostało, ugnił cały, a natomiast zaczął się psuć wkazujący. Użyłem wszystkich środków podawanych mi przez naukę, uczyniłem wszystko, co było w ludzkiej mocy, lecz, niestety napróżno usiłowałem zwalczyć chorobę Palce gniły jeden po drugim, dopóki nie zepsuły się i nie odpadły wszystkie u prawej ręki. Przyczyny tej dziwnej choroby

odnaleźć nie mogłem i mimo największych wysiłków i najtroskliwszych starań, nie uratowałem ani jednego palca; gdy ostatni odpadł, rany zagoiły się same bardzo prędko. Chory przychodził zwykle sam do mnie, nic więc nie wiedziałem o nim nad to, jak tylko, że był robotnikiem. Lecz raz, będąc w miejscu jego zamieszkania, u innego chorego, zapytałem, jak się miewa ten nieszczęśliwy kaleka, któremu nic pomódz nie zdołałem.

— A, panie konsyliarzu, — odpowiada mi poważny, chory gospodarz, do którego zwróciłem zapytanie, — biedny on jest, to prawda, ten robotnik bez palców u prawej ręki i ciężka jego dola, bo co teraz pocznie? Ale potrzebnaż mu było tak bardzo obrażać Pana Boga i taką karę srogą ściągnąć na siebie?

— Więc to karą Bożą, jest ta choroba? — spytałem zdumiony. — Cóż to on zrobił tak złego?

— Nie wie pan konsyliarz? Toć wszyscy o tem mówią, że przysiągł fałszywie, i Bóg go dotknął kalectwem: jemu na karę, a drugim na przestrogę.

Zapytałem kilka jeszcze osób o mojego pacyenta, a wszyscy bez ogródki utrzymywali, że to jego kalectwo, to kara Boża za krzywoprzysięstwo.

— To bardzo być może! — zawołałem. — Sam utrzymujesz, doktorze, że naturalnej przyczyny tego cierpienia nie było, — a że bez przyczyny niema skutku, więc przyczyną było tu coś nadzwyczajnego: mogła tedy nią być i kara Boża.

— Dobrze, ale gdyby Pan Bóg karał w ten sposób grzechy, to czemużby czynił to tak rzadko? — zagadnął lekarz. Ileż to zbrodni uchodzi bezkarnie! I dlaczegóż Pan Bóg ich nie karze? Gdyby po każdym grzechu następowała natychmiast kara, niktby chyba nie grzeszył, a ludzie byliby dobrzy, jak Aniołowie. Czemuż tedy, pytam się, tak się nie dzieje?

— Za wiele chcesz wiedzieć, doktorze, odparłem! — «Drogi Boże nie są naszemi drogami». Nie nam więc wiedzieć, czemu Bóg czyni tak, a nie inaczej. A zresztą, gdyby ludzie tylko z obawy kary unikali złego, czyżby ich można nazwać rzeczywiście cnotliwymi? Ja sądzę, że nie! Zamiast do Aniołów, byliby raczej podobni do gromady strwożo-

nych niewolników. Nie, kara nie może być jedyną pobudką do unikania złego!...

Uczony doktór nic nie odpowiedział, bo właśnie stanęliśmy przed domem, w którym chory wyczekiwał jego pomocy. A później nigdy już nie pytał, dla czego Pan Bóg nie karze zbrodni natychmiast.

Męczeństwo świętej Doroty.

Dramat jednoaktowy w dwóch odsłonach

Ułożył O. Floryan, Kapucyn.

Osoby.

1. Saprycyusz — starosta.
2. Teofil — sekretarz starosty.
3. Filon — żołnierz.
4. Dorota — Męczenniczka św.
5. Gertruda — służąca Doroty.
6. Chrysta } dwie rodzone siostry.
7. Kallista }
8. Ksantypa (*babsko do pomocy katowi*).
9. Kat.
10. Aniołek.
11. Djabełek.
12. Chór śpiewaczek i gawiedź ciekawych

Rzecz dzieje się w mieście Cezarei w Kapadocyi w roku 230 dnia 6-go lutego.

Scena I.

Sala sądowa nieco zielenią przybrana, stół nakryty zielono, parę krzesełek, karło, karafka z winem lub piwem, szklanka i t. d. Przy stoliku (w kostyumie jak na obrazach stacyjnych Piłat) starosta, a przy drzwiach na odwachu w sali stoi rzymski żołnierz z piką, w kołpaku.

Starosta. *(W karle siedząc lub wstając, otrzepuje z kurzu suknie, obciera chusteczką spocone czoło i mówi).*

Daleką przebyłem dziś drogę — zmęczyłem się, już nawet na nogach utrzymać się nie mogę. Od syszaku spieczone mam czoło (*patrzy do lusterka*). — No, ale tu w Cezarei będzie mi wesoło. Z chrześcijankami będę miał rozprawę, a piękne to dziewczęta, jak mówią, i żwawe. Niestety! korpo di Bakko! powaryowały (*śmieje się ironicznie*), bo śluby panieństwa pozaprzysięgały. Ukrzyżowanego Boga adorują, a na nasze bogi zniewagami plują (*wstaje*).

O jest tu jedna panienka imieniem Dorota — (*najżarliwsza ascetka)* z nią też dziś będzie najcięższa robota. Jest to szlachcianka — mówią polska słowianka — zakonnica — Ukrzyżowanego Chrystusa oblubienica. — Tej się boję. — Lecz a konto odwagi dobrze się opiję. Napiję się (*nalewa do szklanki*) wina.

Mnie musi się poddać przemądra dziewczyna (*patrzy na klepsydrę* [1]). Od mojego przyjazdu już dziesiąta upłynęła chwila. — Co to jest, że nie widać adjutanta (*sekretarza)* mego Teofila?... (*drzwi się otwierają).* O! jest — korpo di Bakko.

Teofil (*sekretarz)* wchodzi.

Najmocniej przepraszam pana Starostę — spóźniłem się, za co pan Starosta pewnie dziś jeszcze potężnie mnie wychłosta. Długo i długo szukałem i penetrowałem, jak kot z poza płota, nim się dowiedziałem, gdzie mieszka Dorota. Zobaczyłem ją nareszcie tam w górze, modlącą się przy figurze w figowym ogrodzie, a poznałem ją... po urodzie. Cudo piękności! jak duch z Olimpu pełna wdzięku, do zachwytu miłości!

Starosta (*zaniepokojony, kręcąc się tu i tam — gestykulując rękami mówi).* Droga jest każda chwila, niema czasu do stracenia, a więc proszę Teofila, byś wykonał moje zarządzenia. Idź czemprędzej chrześcijańską uwięzić hołotę, a przedewszystkiem przywiedź tu Dorotę.

Teofil (*wychodząc mówi)* O! i ja jestem tego zdania, by Dorotę tu stawić pierwszą do zbadania. Ona, mówią, rej wodzi jako przełożona — chrześcijańskiej gromadki, panieńskiego grona. (*Teofil wyszedł, został sam Starosta i żołnierz — przy drzwiach).*

Starosta (*chodząc po sali, zaciera ręce i mówi).* Rzecz dziwna, to jakieś chrześcijaństwo — zaniepokoiło całe rzymskie państwo. Im więcej chrześcijan na torturach ginie — tem Chrystusowe Imię coraz więcej słynie. Im gwałtowniejszy gniew nasz na niego się sroży — tem większa liczba wyznawców się mnoży (*z poza kulis daje się słyszeć głos):* Saprycyuszu! widoczny w tem cud i palec Boży!...

[1]) Rodzaj zegarka starożytnego,... można tu użyć zwykłego zegarka kieszonkowego.

Starosta *(przerażony chwyta się za głowę i mówi).* Corpo di Bakko! Co ja słyszę? Kto mi odpowiada? Co to jest zobaczę — może od sąsiada przyszedł mój towarzysz, wróg chrześcijan zacięty. — Źle mi się robi... *(trzyma się za brzuch)* od przestrachu cały jestem wzdęty *(ciężko sapi i mówi do żołnierza).* Zamknij drzwi Filonie — niech się uspokoi turkot w moim łonie *(sapi — czkawka go dusi).*

(Słychać stukanie do drzwi i ropotanie klamką).

Starosta: Corpo di Bakko — podeprzej drzwi korpusem, bo to może chrześcijanie przychodzą z Chrystusem — co jak mówią zmartwychwstając, powalił straż na ziemię, a ja tu sam! nie głupim upadnąć na ciemię *(ręką głaszcze się po głowie, z poza drzwi słychać piskliwe wołanie):* Jasny Panie! proszę się nie trwożyć, rzecz to ważna — nic się nie stanie, tylko drzwi otworzyć.

Starosta. Ach ja słaby, a te baby wciąż pod drzwiami stoją i mnie niepokoją. Filonie otwórz! niech zobaczę. Proszę.

(Wchodzą dwie damy Chrysta i Kallista, kłaniają się uniżenie i jedna z nich mówi): Przebacz panie Starosto, że nie w swojej porze zjawiamy się tutaj w cesarskim dworze. Przychodzimy ci oświadczyć, żeśmy ich zdradziły. Za chwileczkę Dorotę tu przed Tobą stawi *(kłania się).* Niech się Wasza Wysokość z nią na seryo rozprawi, a następnie ją odda do nas na naukę — czego sam nie dokażesz — my pokażem sztukę. My, byłe chrześcijanki, znamy tajemnicę *(na salę sióstr ręką pokazuje)* zbałamucić możemy nawet zakonnice.

Starosta. Wdzięczny wam będę za to — zapłacę sowicie. — Zdradzajcie dalej chrześcijan i mówcie co wiecie *(za drzwiami słychać rozmowę i kroki jak po schodach)*

Starosta *(nadsłuchuje).* A teraz... *(słychać brzęk zbroi),* co to jest? znów słychać stukanie. — Wy czemprędzej schowajcie się panie.

(Damy chowają się, otwierają się drzwi — Teofil z żołnierzem przyprowadza Dorotę rozpromienioną — za Dorotą wciska się zapłakana dziewczyna służąca).

Teofil *(do Starosty).* Oto jest Saprycyuszu, przemądra Dorota — a ta druga, jej służąca także piękna sierota.

Starosta *(przybrał minę wdzięczno łagodną, przybliżył się, lecz Dorota się cofnęła — Starosta do niej):*

Nie lękaj się gołąbko — uspokój się! Dlategom Cię tu zaprosił Doroto miła, byś uszczęśliwiona ze mną po królewsku żyła. Ale jest rozkaz cesarza rzymskiego, by wszyscy poddani czcili i wierzyli w bogi jego. Zatem i ty Doroto uczyń zadość jego woli, a na wszystko ci potem Cezar nasz pozwoli. —

Dorota. Ja cesarzem mam Boga, co wszędzie panuje. Znam Jego święte prawa i te zachowuję. Chrystus mnie nauczył, abym miłowała i wierzyła w Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi i w Jezusa Chrystusa Syna Jego, Pana naszego, który się począł z Ducha św. narodził się z Maryi Dziewicy i t. d. Tak panie starosto, wierzyć Ci potrzeba, jeśli po śmierci chcesz wnijść do nieba. Jeśli zaś tak zostaniecie, to z bóstwem razem w piekło poginiecie.

Starosta. Za bogów obrazę, męczyć cię rozkażę.

Dorota. Ja doczesnej męki żadnej się nie lękam, bo ja znoszę krzyże i przed krzyżem klękam, a na bałwany — większy mam przygotowany.

Starosta. Za pogardę bogów — Filonie drapcie ją grabiami *(hakami)*.

(Żołnierz Filon przystępuje i po plecach grabiami szarpie).

Służąca Doroty *(płacząco krzyczy)*. Nie rańcie mojej pani — jeno mnie!...

Dorota. Co mnie łechcesz żartobliwie. Szarp śmiertelnie, bym szczęśliwie skonała i Jezusa Oblubieńca czemprędzej widziała. Tortur się waszych nie boję, gdy widzę niebios podwoje już dla mnie otwarte. Wasze bogi z bałwanami tylko piekła warte.

Dorota czyni akty strzeliste:

O Jezu miłości moja! Miłosierdzia i nawrócenia! O Oblubieńcze mej duszy Panie Jezu Chryste, dla miłości Twojej cierpieć i umierać.

Teofil. Doroto! kogóż ty miłujesz? do kogo tak wzdychasz, a nasze bogi do piekieł odpychasz?

Dorota. Do Jezusa Chrystusa Syna Bożego — z Niepokalanej Dziewicy Maryi zrodzonego, pod pontskim Piłatem ukrzyżowanego.

Teofil. A gdzież ten Chrystus teraz przebywa?

Dorota. Siedzi na prawicy Boga Ojca Wszechmogącego — całym światem rządzi. Wszystkich dobrych wynagradza, a złych ostro sądzi.

Starosta. Lepiej byś te próżne myśli już raz porzuciła, a na ofiarę bogom kadzidła choć szczyptę rzuciła — za mąż byś się wydała, uczyniłbym cię boginią — niebo tu byś miała.

Dorota. Djabłom się nie pokłonię — jestem chrześcijanka, a męża nie pojmę — bom niebian wybranka.

Starosta *(śmieje się).* Dodaj — zwaryowana panna Dorocianka. Teofilu przywołaj tu damy Chrystę i Kallistę — byłe chrześcijanki — poganki siarczyste. One niegdyś Chrystusa także wyznawały, lecz w torturach się Jego miłości zaprzały. One jako doświadczone wpłyną na Dorotę, że porzuci Chrystusa i panieńską cnotę.

Teofil wyszedł z żołnierzem.

Starosta *(bierze szkatułkę z perłami i złotem — zbliża się i pokazuje Dorocie mówiąc).* Szlachetna i nadobna miła Doroto! Oto patrz! te brylanty, klejnoty i złoto, to wszystko dam ci w darze, jeśli ze mną pójdziesz przed bogów ołtarze, dasz mi rękę, ja zaniecham z Tobą mękę. Namyśl się! zastanów! ja tymczasem pójdę zjeść śniadanie.

(Wychodzi — w drzwiach spotyka się z Chrystą i Kallistą).

Starosta. A dobrze, że idziecie moje drogie panie, proszę! proszę do kompanii. Z Dorotą się bawcie, wyleczcie ją z głupiej manii, a dobrze się sprawcie!... *(wyszedł).*

Zbliżają się damy do Doroty.

Jak się masz Doroto — przyjaciółko dawna, tak z piękności i mądrości chrześcijanko sławna!

(Chcą się przywitać, podają ręce, lecz Dorota się usuwa).

Czy i ty za nami chcesz przyjść służyć bogom — tedy nasze protekcye — wiele ci pomogą. Przyzwól piękna Doroto cesarskim wymaganiom, a już dziś będziesz wolną i bogatą panią. My jako chrześcijanki byłyśmy ubogie, a teraz patrz! mamy brylanty, suknie — klejnoty drogie. Jeśli się nie wyrzekniesz Chrystusa czemprędzej — będziesz cierpieć w więzieniu w ostatecznej nędzy, albo dziś umrzesz

w okrutnych mękach — chociaż Chrystusa kochasz i trzymasz krzyż w rękach.

Dorota. Wy nędznice! zaprzanki — nie bluźnijcie krzyżowi, ani Chrystusowi. Precz z djabelską radą i babską pokusą. Dobrze wam dziś — lecz po śmierci co się stanie z duszą? Ona w piekle żyć będzie na wieki — bez końca — Nigdy nie zobaczycie Boga — jasności słońca. Zawsze w ogniu z djabłami w okropnej ciemności — nigdy wybawienia — ulgi i wolności. Tam na wieki wieków, a nigdy Amen nie usłyszycie *(wiecznie nieszczęśliwe życie)* czy wy w to wierzycie? Dla chwilowej rozkoszy niebo-ście sprzedały — porzuciłyście Boga — djabłom się oddały. Wy za zdradę same sobie w oczy naplujecie — kiedy w rozpaczy umierać będziecie. W piekle was djablice będą wyśmiewały, żeście głupie za olej *(bałwany)* niebo postradały. Usłuchajcie mojej rady — dziś jeszcze żałujcie — za odstępstwo od Chrystusa szczerze pokutujcie.

Damy. Jużeśmy raz zginęły i Chrystusa utraciły, jakże napowrót możemy zyskać przebaczenie. Jeźli Chrystus obrażony — Kto da rozgrzeszenie?

Dorota. Matka Boża Miłosierdzia i Niepokalana
Uprosi wam przebaczenie u Chrystusa Pana.
Na Jej prośby Jezus — przebaczył łotrowi —
I wam przebaczy, zachowa od rozpaczy i ła-
[skę odnowi.

Damy *(skruszone klękają, modląc się)*:
O Matko Boska ucieczko grzeszników
Ratuj nas, ratuj djablich niewolników.
Wstaw się za nami święta Doroto —
Przeklęte niech będą, bogi, rozkosze i złoto.

Dorota. Jezu, Tyś powiedział, że Bóg nie chce śmierci grzesznego, ale szczerego nawrócenia Jego, daj łaskę nawrócenia Chryście i Kalliście, by odpokutowały i z Tobą w niebie mieszkały wieczyście.

Służąca Doroty *(stojąc i patrząc w okno)*. Dobra panno Doroto, pan starosta idzie. Wy Chrysto i Kallisto czemprędzej wstawajcie. Otrzyjcie łzy i precz uciekajcie.

Damy. O nigdy, przenigdy! tego nie zrobimy. My z Dorotą wraz cierpieć i umierać chcemy.

Starosta *(wchodząc z Teofilem mówi):* No, cóż moje panie — dobrze się udało? Opowiadajcie śmiało — czy Dorocie serduszko zmiękczało?

Kallista. Tak starosto — myśmy głupie były, żeśmy wiary odstąpiły, żałujemy żeśmy pobłądziły, ale teraz wyznajemy, że wierzymy w Boga Wszechmogącego i t. d.

Starosta *(rozdziera szatę wołając):* Filonie — te dwie nowe chrześcijańskie wrony w tej chwili wrzućcie w kocioł rozpalony. Niech się ugotują i w siarkę rozleją, że z naszych bogów i ze mnie się śmieją. Po ich straceniu zaraz przyjdziecie. I głowę Dorocie mieczem zetrzecie.

Damy *(rzucają się w objęcia Doroty).* Żegnaj Doroto — módl się za nami odstępczyniami.

Dorota. W Imię Jezusa idźcie przedemną, a ja za wami
Do Króla niebios — tam, nad gwiazdami
W chwale niebieskiej na mnie czekajcie
I z Aniołami pieśni śpiewajcie.

(W tej chwili, gdy ich wyprowadzają — chór panienek ukryty śpiewa: »Serce Zbawiciela Bożej pełne chwały« albo inną piękną pieśń).

Zasłona spada — pauza.

Scena II.

Wykonanie wyroku śmierci.

Sala, nieco po ścianach kirem (bodaj czarnemi chustkami) — osłonięta — przy jednej ścianie słup z wieszadłem (kołek dłuższy), na środku sali kloc, czarno nakryty — na nim topór (kuchenny tasak) przy klocu kat w czerwonej sukni i czapce. Kiedy tak już wszystko żałobno przygotowane — kurtyna się podnosi — cisza i mrok. — Po małej chwilce wchodzą Starosta — Teofil i jaka bądź kobieta do pomocy katowi — potrzebna do odsłonienia szyi Dorocie. Może być też w czerwonej liberyi jako katka.

Gdy starosta przy stole usiadł — wprowadzają żołnierze (albo jakie niewiasty) Dorotę, za nią służąca i rozmaici ciekawi ludzie. W sali robi sie rojno — ciasno. Dorotę stawić niedaleko starosty. Kiedy tak już urządzono i cisza zaległa salę —

Starosta *(wstaje mówi do Doroty):*
Widziałaś Doroto okropne ich męki?
Słyszałaś westchnienia i bolesne jęki?

Dorota. Widziałam ich uśmiechnięte. Słyszałam, jak się modliły święte! poumierały i do niebieskiej chwały poszły modlić się.

Starosta. I ty jeszcze zostajesz przy swojej wierze? Do Ukrzyżowanego Boga odmawiasz pacierze? Wyrzeknij się Chrystusa, bo zginiesz — szkoda urody i pięknych lat. Patrz! jakie cię czekają męki *(pokazuje)* tu wieszadła *(szubienica)*, a tam kat!

Dorota. W porównaniu z wiecznością — to życie — to dzień, a męki doczesne choć najsroższe to od piekielnych ani cień. W piekle katy z rogami ciebie z twemi bogami męczyć będą bez przestanku. Nawróć się, nawróć do Chrystusa — ty poganku *(staróścianku)*.

Starosta. Corpo di Bakko — jak śmiesz tak zuchwale drwić ze mnie! Dalejże katy! Dorotę bierzcie na pale, przywiązać i bić baty.

(Kat i żołnierze chwytają Dorotę — przywiązują ją do słupa — ręce w górę. Pomaga im katka babsko).

Służąca Doroty *(z płaczem prosi)*. Ach panowie litości! na wasze bogi zaklinam nie męczcie mojej panienki — mnie szarpcie, mnie zabijcie *(klęka — ręce składa)* przynajmniej ty niewiasto okrutna, bez serca nie pomagaj katom, nie wiąż, nie krępuj jej rączek.

(Żołnierze biją Dorotę, która widząc swoją sługę płaczącą mówi):

Dorota. Nie płacz Gertrudo! ale wraz ze mną odmawiaj

Hymny do Imienia Jezus.

O Jezu słodkiej pamięci, Jezu błogiego wspomnienia
Niewysłowionego brzmienia. Jak mnie Imię Twoje nęci —
Jakie miody w serce wlewa, Jakie hymny w duszy śpiewa.
Cóż słodszego od śpiewania — Dźwięczniejszego do wygrania?
Jaka rozkosz w Twem imieniu — Balsam w smutku i ciepieniu —
Woń i słodkość w rozważaniu. Jakie szczęście w ukochaniu!
Dla niewinnych w Twej miłości — Srebrna kąpiel niewinności.
Pokutnikom Jezu Boże — Miłosierdzia jesteś morze...
Kto Cię wzywa — kto Cię szuka, kto do serca Twego puka—
Nie zawiedzie się w nadzei — wśród doczesnych tych zawiei
Lecz kto Jezu znajdzie Ciebie, Ten już mieszka w jasnem niebie

Ten w spokojnym oceanie — Twych słodyczy — ginie Panie.
Nie wypowie tego mowa, nie wyrażą ludzkie słowa —
Nie wyśpiewa serce w pieśni I przez wieczność duch nie prześni.
Ty o Jezu, Ty jedyny — Weźmij chęci — myśli, czyny!
Mej istoty zajmij całość — Podnieś, rozszerz moją małość —
Niech rozgorzą płomieniami, niech się strawią cierpieniami
A z popiołów gdy powstanę — Uwielbioną gdy zostanę —
Nie po kropli, nie pod miarą, Ale przepełnioną czarą
Pić już będę aż na wieki — Twych słodyczy Boskie rzeki.

(Gdy skończyły, wtedy starosta zmięszany mówi):

Starosta: Doroto! Czemu w mękach wesołość udajesz?

Dorota: Nędzniku! w błędzie zostajesz! Ja wesołością Ciebie zwyciężę i twoje bogi i twe oręże.

Starosta: Spuście ją z pala — tu na podłogę, Ja jej bluźnierstwa ścierpieć nie mogę. Bijcie ją w gębę, kopcie nogami, rozpalonemi pieczcie blachami.

(Żołnierze wykonują to prędko).

Ty zaś kacie — w czerwonej szacie zetniesz głowę Dorocie!

(Teraz dają Jej chwilę do namysłu)!

Dorota *(zmęczona — podnosi się na kolana, wznosi ręce i patrząc w niebo mówi):* Dziękuję Ci Panie Jezu Chryste — Miłośniku dusz naszych, że mnie do Raju Twojego przyzywasz i do chwały Swej niebieskiej prowadzisz!

(Teraz zbliża się do Doroty Teofil i żartując sobie z panienki mówi):

Teofil: Oblubienico Chrystusowa *(skoro idziesz do raju)* przyślij mi z raju jabłek i róży!

Dorota: Uczynię tak zaprawdę — jako sobie życzysz.

Starosta: A więc wyprawcie ją do raju, kacie zetnij jej głowę.

(Katka babsko przystępuje i suknie Dorocie na szyi rozpina — welon zdejmuje. W sali cisza — jedna sługa płacze — całuje stopy Dorocie wołając):

Służąca Doroty: O moja panienko najdroższa, weźmij mię z sobą sierotę — o mój Aniele, moja dobroci nie opuszczaj mię, pobłogosław mi.

Dorota *(błogosławi — całuje ją w głowę).*

Bądź błogosławioną, żegnam cię — pozdrów ode mnie chrześcijan.

(Teraz żegna się — klęka — kładzie głowę na klocu).

Kat uderza mieczem *(z papieru)* w szyję, krew z czerwonego buraka w pęcherzyku przygotowana wylewa się— co może się stać tak, że

Babsko-katka — podtrzymująca głowę Dorocie wylewa na szyję czerwoną rudę.

Po ścięciu — daje się słyszeć za kulisami śpiew *(pianissimo)* **panienek,** *jaką stosowną pieśń).*

(Światła jasność bije, — bengalskie ognie).

Podczas oświetlenia i śpiewu — zjawia się skrzydlaty **Aniołek** — przynosi z raju w koszyku róże i jabłka Teofilowi, a z drugiej ciemniejszej strony przychodzi djabełek i pokazuje staroście na tacy ogień dymiący kadzidłem.

Starosta drży — wszyscy osłupieli — *(cisza).*

Aniołek *(przed Teofilem mówi).* Przynoszę Ci Teofilu od świętej Doroty te jabłka i róże, abyś uwierzył w Boga w Trójcy św. Jedynego. Panienka Dorota o coś ją prosił daje — dla Ciebie ja Anioł widocznym się staję.

Teofil *(klęka — wznosi ręce do nieba).* Prawy Bóg jest Chrystus o cudy! o cudy! Nie masz w chrześcijanach najmniejszej obłudy.

Starosta *(przylatuje i woła):* Coś ty oszalał, albo żartujesz!

Teofil: Ani szaleję, ani żartuję — ja po chrześcijańsku wierzę i miłuję. Trzebaby chyba z rozumu być wyzutym, ażeby widząc Anioła z jabłkami w lutym — nie uwierzyć w prawdziwego Boga. — Ach widzę Chrystusowy cud! Niech żyje Jezus i Jego chrześcijański lud! —

Zasłona spada.

Z pamiętnika starego huzara.

Pułk nasz huzarski miał znakomitego trębacza — mówiliśmy mu wszyscy Marcin. Pułkownik go chwalił z potężnego jego dechu, my zaś wiedzieliśmy, że brzmiące te sygnały jego trąbki płyną tylko z powodu gniewu i złości

i byliśmy przekonani, że gdyby to zależało od gniewu, byłby na polnej swej trąbce ani najkrótszego nie wygrał sygnału.

Zrana się złościł, że musiał pierwszy wstać, aby drugich pobudzić, na wieczór się gniewał, że pierwszy musiał być w koszarach, aby drugich zwoływać, przy ćwiczeniu zacinał zęby, że pułkownik więcej nim komenderuje, aniżeli szwadronem — kiedykolwiek tylko trąbił, był zagniewany, dlatego też trąbka jego tak głośno i wesoło brzmiała.

W koszarach znajdował się tylko tak długo, jak koniecznie musiał; resztę czasu przesiedział w poblizkiej karczmie, gdzie pilnie się starał o wybadanie przemysłu piwowarskiego. Był on nieszczęsnym człowiekiem, przyrodę uważał za swą matkę, a pułkownika za ojca. «Matka» przyroda obdarzyła go suchem zawsze gardłem, a pułkownik «ojciec» dawał mu tylko sześć groszy dziennie, tak, że ubogi Marcin, pomimo, że wszystkie swe rachunkowe mądrości wyczerpał, nie mógł się dorachować tak, że gospodarz karczmy często musiał mu pomódz swą kredą w rachubie jego, a długi rząd kresek na drzwiach oznaczał, gdzie ostatni raz przestali rachować...

— Frącku! — zawołał pewnego razu gospodarz na syna — Marcinowi już nie będziesz nalewał! miara grzechów jego już się przepełniła.

— Ale ojcze, on przecie zapłaci! A gdy się żołnierze tutaj biją, on ich sam zawsze powyrzuca, aby tobie ujął pracy!

— Nie, aż zapłaci! a na tem koniec! — fuknął, tupnął nogą i przy ostatnim rachunku Marcina nakreślił osobliwszy znak, tak, że Frącek nic nie mógł dopisać.

Wkrótce potem huzar Marcin nadszedł, a Frącek mu powiedział całą sprawę.

— No, ja wam jeszcze naleję — ale trzeba o tem zamilczeć!

Wlał Frącek porządną miarę i przyniósł, ale już nic więcej.

Marcin wypił piwo, a nieszczęście nauczyło go myśleć. Myślał, myślał nareszcie się uśmiechnął.

— Tak dobrze — ja potrzebuję piwa, a nie pałasza. Nadaremnie tylko człowiekowi cięży. Rękojeść zatrzymam,

a do pochwy wystrużę kawał drzewa. Trębacz nie potrzebuje szabli przez cały rok, tak samo, jak adjutant; chyba, że przy jakiej bijatyce — ale od dzisiejszego dnia już się nie będę bił.

Poleciał do kramu żyda Mośka.

— Słuchajno Mośku, mam coś do sprzedania.

— Żołnierski tytoń z pewnością?

— Nie, szablę.

— Kupię, kupię, panie huzarze; ile za nią?

— Sześć złotych.

— Dobrze.

— Weźmij ją sobie — dawaj pieniądze! ale rękojeści ci nie dam.

— To też nie kupię!

— Nie!

— Hm, kupię!

Wojak wydobył pałasz, odśrubował rękojeść, a drugą część oddał żydowi.

— Teraz przynieś mi Mośku kawał drzewa.

— Na co?

— Nie pytaj się, tylko przynoś.

Żyd przyniósł deskę, huzar wydobył swój trzygroszowy nóż, ostrugał ją, wkręcił rękojeść, schował do pochwy i poszedł.

— Dokąd?

— Prosto do karczmy.

Zawołał szynkarza, aby obrachował dług, zapisany na drzwiach za picie. Szynkarz obrachował, powiedział mu, a on bez sprzeczki wydobył pieniądze, zapłacił i powiedział gościnnemu, aby na nowo wziął kredę do ręki.

— Dobrze, dobrze, ja wam znowu poczekam, Marcinie.

Tymczasem w karczmie znajdujący się koledzy trębacza dziwili się, skąd Marcin nabył pieniędzy; mówili to i owo, kręcili głowami, zaczęli się spierać, rozmowa stała się coraz głośniejsza, już powstali, brali za szklanki i stołki.

— Ja was tu pogodzę, wy gołobratkowie! — krzyknął Marcin i wyskoczył z poza innego stołu. — Wy się tu chcecie bić — co?

I w sprawiedliwym swym gniewie sięgnął po szablę, aby im dać naukę moralną — wyrwał z pochwy, zamachnął nad głowami — kawałem drzewa. Zapomniał nieborak o przyrzeczeniu, że już bić się nie będzie. Spiesznie wsunął «szablę» do blaszanej pochwy, ale już zapóźno.

Ogromny śmiech wybuchnął w karczmie, a wnet wiedział cały pułk, że trębacz Marcin ma drewnianą szablę. Wiedzieli huzarzy, wiedzieli oficerowie, dowiedział się i pułkownik.

Na drugi dzień Marcin został zawołany do kancelaryi pułkownika.

Wiedział już nieborak, o co chodzi, i był pogrążony w największym smutku.

Zapukał do drzwi, wszedł.

— Hej huzarze! — zawołał pułkownik, trzymając innego żołnierza za kołnierz — ten tu człowiek napadł na mnie — dobrze, że ty idziesz. Zabij go na miejscu. Dobądź szabli!

Marcin zawahał się.

— Słyszałeś? — dobądź szabli. Rozkazuję ci, abyś go przebił!

— Niech pan pułkownik mu przebaczy.

— Rozkazuję ci, abyś..

— Nie chcę przelać krwi mego kamrata — westchnął trębacz i pobożnie wzniósł wzrok ku niebu. — Ty zaś, święty Marcinie, patronie mój, pomóż zapobiedz krwi przelaniu — uczyń cud, aby ostra moja szabla przemieniła się w kawał drzewa! Więc!

Chwycił za rękojeść i wydobył drewnianą szablę.

— Widzisz, panie pułkowniku! stał się cud — człowiek ten niewinny, Patron mój mnie wysłuchał.

Pułkownik się rozśmiał i rzekł:

— No, to dobrze Marcinie! Idź zgłoś się do straźmistrza o nową szablę, lecz pamiętaj, że na drugi raz ani twój patron ci nie pomoże.

O SŁOŃCU.

(Dokończenie).

Zachodzi jeszcze pytanie, skądże my wiemy, że słońce nie jest tarczą, jak nam się zdaje, ale kulą? Przecież, chcąc się tego dowiedzieć, trzebaby je obejrzeć na około, ze wszystkich stron. A ono zawsze jednakowo wydaje nam się okrągłym białym krążkiem, co jeszcze wcale nie dowodzi jego kulistości.

Od niepamiętnych czasów astronomowie przyglądali się pilnie i badali słońce. Otóż tak patrząc na nie przez szkła zakopcone, bo inaczej dla niezmiernego blasku patrzeć nie można, spostrzegli na niem jakieś miejsca ciemniejsze, czyli plamy. Badając dalej te plamy, zauważyli, że one nie stoją zawsze w jednem miejscu, ale się przesuwają coraz dalej ku prawej krawędzi słońca, poczem zachodzą za krawędź, wreszcie znikają. Zauważyli znowu, że we dwa tygodnie też same plamy ukazują się na lewym brzegu słońca i przez następne dwa tygodnie przesuwają się zwolna ku prawemu brzegowi — i tak ciągle. Z tego wypływa wniosek, że kula słoneczna potrzebuje około 28 dni, żeby się obrócić około swej osi. — Otóż to właśnie jest dowodem, że słońce obraca się samo koło siebie, jak koło u woza obraca się około swej osi, że widzimy je zawsze okrągłem, musi więc ono być kulistem, jak i nasza ziemia.

Słońce należy do gwiazd stałych, to jest takich, które mają własne światło, a w przestrzeni świata zawsze w jednem się miejscu znajdują. A słońc takich w wszechświecie jest bardzo dużo.

Kiedy podczas jasnej, pogodnej nocy spojrzymy w górę, to oczom naszym przedstawi się niezliczone mnóstwo świetlanych punkcików, zasiewających firmament niebieski. Są to gwiazdy. Przy dobrym wzroku można ich dostrzedz parę tysięcy, ale przez teleskop (dalekowidz astronomiczny) widać ich kilkanaście milionów. O! cóż to za ogrom wszechświata nam się wówczas przedstawi! A o ileż on się wyda nieskończenie większym, gdy zrozumiemy, że każda z tych gwiazd, tak drobna na pozór — to wielkie i potężne słońce, równie jasne i gorące, a może jeszcze gorętsze, niż nasze

słońce. Wydają się nam one tak niepozorne i małe dlatego tylko, że są oddalone od ziemi o miliony milionów mil.

Wszyscy znają drogę mleczną, ten wązki pas, tę smugę świetlaną, biegnącą po niebie nad naszemi głowami. Otóż ta droga mleczna, co nam się wydaje jakby tylko jakaś mgła jasna — niczem innem nie jest, jak olbrzymiem mrowiskiem gwiazd, które można rozróżnić jedynie przy pomocy wielkiego, bardzo przybliżającego teleskopu. Jest to więc zbiorowisko słońc, których nikt przeliczyć nie jest w stanie, a do tego pierścienia słońc należy i nasze życiodajne, błogosławione słońce, znajdujące się gdzieś na samym jego skraju.

W niezmiernej przepaści wszechświata i nasze słońce wydaje się taką drobną gwiazdą, tak niepozorną, jak tysiące owych gwiazd, błyszczących na niebie w czasie pogodnej nocy. Dla nas jednak ma ono niezmierne, niesłychane znaczenie. Korzystamy z jego światła i ciepła, bo znajduje się bez porównania bliżej ziemi, niż wszystkie inne gwiazdy.

Dokoła słońc w niezmiernej przestrzeni poruszają się ciemne kuliste bryły, tak zwane planety, do których należy i nasza ziemia. Wszystkie one wirują dokoła słońca i od niego zależą, słońce bowiem wywiera na nie siłę przyciągającą, która im nie pozwala zejść ze swej drogi i pomknąć w dal niezmierzoną. Siła ta nadaje im ruch i utrzymuje w sąsiedztwie słońc. Dotąd planet większych, odbywających ruch dokoła słońca, znamy ośm, a najmniejszych, zwanych planetoidami nierównie więcej. — Dokoła planet krążą księżyce, a wszystko to razem tworzy jednę całość, której środkiem jest słońce, a która nazywa się systemem, albo układem słonecznym.

Z planet należących do układu słonecznego, największe są: 1) Merkury o 8 milionów mil oddalony od słońca, rzadko widzialny, bo cały tonie w świetle słonecznem. 2) Wenus, piękna gwiazda, o 15 milionów mil oddalona od słońca, nazywamy ją Jutrzenką, albo Gwiazdą poranną, czy Wieczorną. 3) Nasza Ziemia, o 20 milionów mil od słońca oddalona. 4) Mars, o 32 miliony mil oddalony. 5) Najpotężniejszy ze wszystkich planet Jo-

wisz, odległy o 117 milionów mil. 6) Kilkaset razy większy od ziemi unosi się w przepaściach niebieskich Saturn; 7) po nim idzie Uran, wreszcie 8) Neptun, najodleglejszy i najpóźniej odkryty.

„Wkoło tych olbrzymów krążą całe szeregi planet drobniejszych, księżyców, komet, ukazujących się od czasu do czasu na niebie. Wszystko związane w jedną całość siłą przyciągającą słońca, a wirujące w nieskończonych obszarach międzygwiaździstych, nazywa się, jak rzekliśmy, układem słonecznym, a jest jednym, ale potężnym wyrazem wszechmocności Boga, Stwórcy wszystkich tych cudów i tego olbrzymiego, myślą ludzką nieobjętego wszechświata. *W. G.*

POLSKIE ZBOŻE.

Oddawna rodzi zboże piękne polska ziemia; oddawna, odkąd tylko jakieś wieści są o naszych przodkach, chodził Polak za pługiem czy sochą, orał, siał i zbierał i dla siebie i dla swej rodziny. Rolnikiem przecież miał być Piast, ojciec książąt i królów, którzy wieki całe szczęśliwie rządzili państwem polskiem, — dumny był z swego zajęcia.

I szczęścił Bóg i rodziło się tu zboże plenniej niż gdzieindziej; i rzadko się w Polsce zdarzało, znacznie rzadziej niż w innych krajach, by zawitał głód, tak groźny w dawnych wiekach, kiedy niełatwo było dowieść ziarno, czy na zasiew, czy na chleb powszedni.

Rolniczy to kraj nasza Polska — od zarania naszych dziejów.

W dawnych czasach sam każdy musiał tyle własnemi rękami uprawić ziemi, ile mu było potrzeba, sam zrobić sobie wszystko, i dom zbudować, i narzędzia rolnicze i sprzęty domowe. A jeśli więcej zboża mu się zrodziło, to chował na zapas, bo nie było komu sprzedać. Ledwie rzadkie były targi w czasie odpustów przy większych kościołach, a i na nich nikt o zboże nie pytał.

Ale przyszły — lat temu sześćset — nowe czasy. Polska zaczęła się zaludniać, bo coraz więcej rodziło się

ludzi, zaczęły powstawać miasta, w których osiedlali się rzemieślnicy, zmyślni i pracowici, tak, że czego kto nie umiał sam zrobić, lub mu się nie chciało, to u nich mógł się we wszystko zaopatrzyć. A czego nie dostarczyli rzemieślnicy, to dowozili kupcy, którzy się po miastach osiedlili, nieraz zdaleka, bo nietyko z innych krajów Europy, ale nawet i z Azyi, skąd do Polski szły wtedy korzenie: pieprz, imbir, cynamon i t. d. i ładne, ale drogie jedwabie. A właśnie to w tym czasie — nauczył się polski wieśniak lepszej uprawy ziemi, wrowadził trójpolówkę i żelazny pług. Więc tak się dobrze składało, że właśnie wtedy, kiedy po miastach można już było nabyć wiele ładnych przedmiotów, i lepszych zwykle, niż je sobie chłop mógł sam zrobić, i chłopu zaczęło się lepiej wieść, tak, że miał za co kupić — a zwłaszcza za to zboże, które mu rodziła jego święta ziemia. Jeśli więc tego zboża miał więcej, niż potrzebował, wiózł na targ, gdzie je kupowali piekarze, czy inni mieszczanie, którzy często sobie wtedy sami chleb piekli, a za pieniądze, które dostał, znów kupował, coby trzeba mu było do gospodarstwa. A czem więcej było miast, czem w nich więcej ludzi, tem więcej też było zboża dla nich potrzeba.

I nie brakło go. Poczciwa polska ziemia tyle go rodziła, że dla wszystkich starczyło. A niewszędzie tak wtedy było. W innych państwach w Europie, w Niderlandach zwłaszcza, (tam, gdzie są dwa państwa: Belgia i Holandya) i w odległej Anglii, ale także we Francyi i w Italii coraz jakoś mniej było zboża, a coraz więcej ludzi. Nieraz tam nieurodzaj przychodzi, a z nim i głód. Lecz zwiedzieli się, że jest taki kraj, gdzie tego zboża jest dużo, tak, że i dla nich wystarczyłoby, że ten kraj Polską się nazywa. Więc zaczęli wysyłać swoje okręty do wielkiego miasta Gdańska, które leży tam, gdzie Wisła wpada do morza i pytali się, czyby zboża nie dostali. A Gdańszczanie, choć wówczas jeszcze Krzyżacy tam rządzili, z Polską częste mieli stosunki, więc wiedzieli, gdzie tego zboża szukać.

I rzeczywiście z Polski, ile było potrzeba, dowożono zboża poddostatkiem. Nieraz to i trzysta okrętów w Gdańsku na polskie czekało zboże. Ale jeszcze to się zdarzało od czasu do czasu, kiedy urodzaj w tamtych krajach nie

dopisał. Tak było za króla Jagiełły i jego obu synów: Władysława i Kazimierza Jagiellończyka. Ale się wkrótce ci obcy przekonali, że to polskie zboże i lepsze i tańsze, niż u nich, że lepiej im w inny sposób zarabiać na pieniądze, a zboże w Polsce kupować. I tak już za panowania króla Zygmunta Starego i jego syna Zygmuta Augusta zaczynają już stale, co rok, okręty jeździć po zboże do Gdańska, by je stamtąd morzem wieść do dalekich krajów. A kiedy dawniej tylko drzewo Wisłą spławiano, to teraz coraz częściej, coraz więcej szło Wisłą statków do Gdańska, który już wtedy do Polski należał, bo go odebrano Krzyżakom, zbudowano na wyspie wielkie spichlerze, w których zboże chowano, aż się po nie zjawił kupiec.

I z każdym rokiem wzmagał się ten ruch, coraz to więcej zboża do Gdańska z Polski Wisłą płynęło i dochodziło do tego, że za króla Jana Kazimierza to nieraz dowieziono w ciągu roku i do dwóch milionów korcy żyta i pszenicy. Sławna też była w Europie Polska ze swojego zboża, bez niego byliby ci obcy co roku prawie ciężki głód musieli znosić. I mówiono o Polsce zagranicą, że ona dla tych krajów jest spichlerzem Europy, to jest że z niej jak ze spichlerza ci Holendrzy, Anglicy, Francuzi i Włosi mogli brać dla siebie zboże. I taka była wówczas Polska bogata, jak nigdy przedtem.

Cieszyli się z tego bogactwa ludzie, ale nie wszyscy długo się cieszyli. Ta obfitość zboża, to, że można było je tak łatwo zbyć za dobre pieniądze, sprawiło, że zaczęła się do uprawy roli brać także i szlachta. Dawniej szlachcic niewiele uprawiał ziemi. Koło jego dworu był wprawdzie folwark, ale nie duży, co najwyżej — to i to rzadko — kilkadziesiąt morgów, który chłopi szlachcica bez trudu mogli uprawiać. Niewiele też było robocizny, zwykle od jednej chałupy ze wsi trzy dni roboty na rok wystarczy, by wszystkie te grunty pańskie obrobić, zasiać i zebrać, bo młócił pan wsi swoją czeladzią, która mu i resztę robót wykonywała. Poza tem zaś dawali mu chłopi z gruntów czynsz i to niewysoki, bo z jednego morga na nasze dziśby dwie może korony wypadły, bo wtedy pieniądz więcej wartał. Z tego żył szlachcic, a resztę na króla pa-

trzył, z którym chodził na wojaczkę, by go nagrodził za trudy wojenne.

W tym jednak czasie, już za króla Jagiełły przekonano się, że takie wojsko, do którego od czasu do czasu powoływano szlachtę, niewiele warte, bo często nie było posłuszne, a nieraz, kiedy najwięcej ich trzeba było, to się do domów rozchodzili, jeśli wyprawa za długo trwała, bo im się cniło za żoną i pierzyną. Więc król zaczął sobie najmować żołnierzy, którzy mu za pieniądze służyli, jak długo ich płacił; a że to było ich stałe zajęcie, więc z nich dobry był żołnierz, który wojną żył i dobrze też był w wojennem rzemiośle wyćwiczony. Pozostawała więc odtąd szlachta w domu mogła też więcej zająć się rolą i pługiem. A że i ona widziała, jak łatwo było zboże sprzedawać, więc też myśleć zaczęła o tem, by go uprawiać więcej i tak swoje powiększyć dochody; ziemi jej nie brakło.

Każdy pan wsi miał jeszcze obok tych morgów, które już uprawiał i obok tych, które oddał swoim chłopom do uprawy, jeszcze dość ziemi, ale nieuprawnej, nieużytki i lasy. Więc zaczął tę ziemię brać pod uprawę, karczować lasy i tak powiększać swój folwark, że nieraz już wtedy ten folwark prawie taki duży się zrobił, jak wszystkie razem grunta chłopskie. Ale do tego wykarczowania ziemi, a potem stale co roku do jej uprawy, trzeba było pracy rąk ludzkich. I skądżeby ją wziąć? Oczywiście od chłopa bo innego robotnika nigdzie nie było. Więc zaczęto domagać się pańszczyzny i coraz to większej. A że szlachta sama siedziała w sejmach, więc też i sejmy na to się godziły, choć najczęściej poprostu zmuszali sami chłopów do tego, by się zgodzili na podwyższenie pańszczyzny, bo na sejmie toby było ciężej, tam przecie znalazłby się niejeden, a zwłaszcza król, któryby się takiej uchwale sprzeciwiał.

Ale już wtedy szlachta nie pozwalała nawet królom mieszać się do tego, co się na wsi działo, mówiąc: że ona we wsi królem. I tak, czem więcej zboża szło za morze, tem więcej pracy musiał dawać chłop, a później przez dwieście ostatnich lat istnienia Polski, to zwykle z piętnastu morgów musiał robić przez cały rok po dwa dni w tygodniu na pańskiem. Tylko w królewskich dobrach i kościelnych było lepiej, bo duchowni więcej baczyli na przyka-

zania Boskie, by nie uciskać, a król to zawsze bronił chłopów i pozwalał im skarżyć w swoim sądzie na dzierżawców swoich, jeśli źli byli i za wiele żądali robocizny. A że chłop widział, iż go uciskają, więc tracił chęć do pracy i coraz gorzej pracował. Bo i cóż to znaczy dzień pracy? Jeden zrobi dużo, jak będzie pracował dobrze, zwłaszcza wtedy, kiedy pracuje dla siebie i wie, że co zarobi, to jemu zostanie. A drugi i silniejszy i sprytniejszy w robocie, to gdy musi robić dla innego, gdy za to nic nie ma, będzie tylko patrzył, by jak najmniej się upracować. I tak też, choć dużo dni na pańskiem robili, to niewiele i kiepsko robili, choć ekonom stał im nad karkiem i krzyczał. Więc też i ziemia, gorzej uprawiana, mniej dawała.

A i szlachta wówczas, za obu królów Sasów, o tem tylko myślała, by jeść i pić, niewiele się uczyła, nie dbała o rolę, sądziła, że jak ma dużo dni pańszczyźnianych, to już wystarczy. A ziemia tyle lat uprawiana tak samo, już tak nie chciała rodzić, jak dawniej, bo ją trzeba było lepiej nawozić, lepiej przygotować, a tego nie robiono. I tak, że w tych czasach kiedy chłopu było najgorzej, kiedy najwięcej musiał na pańskiem pracować, ziemia mniej dawała płodów, a do Gdańska za tych królów Sasów to z tej dużej Polski ani czwartej części nie wysyłano zboża, co dawniej, kiedy chłop jeszcze mniej pracował.

Ale spostrzegli ludzie mądrzy, że tak dalej być nie może, że trzeba pomódz chłopu, uwolnić go jakoś od takich nieznośnych ciężarów. I zaczęto za króla Stanisława Augusta poprawiać te stosunki, zniżać pańszczyznę, dawać chłopu większe prawa.

— Był to już początek przyszłej wolności i lepszej doli chłopskiej. *(Przypisek Redakcyi)*.

Z pism Dra St. Kutrzeby.

Sąd familijny w Nowym Jorku.

Niezwykły sąd rozpoczął przed kilkoma tygodniami swoje czynności w Nowym Jorku (w Ameryce). Jest to sąd «pożycia domowego», który ma wydawać wy-

roki w rozmaitych sprzeczkach domowych, a w szczególności bronić opuszczonych i źle traktowanych zarówno żon jak i mężów.

Na otwarcie owego sądu przybyła wielka liczba kobiet i mężczyzn z najrozmaitszych stanów, aby u sędziego p. Cornella szukać pomocy i ratunku w potrzebie. Były pary eleganckie i wyglądające na zadowolone, ale nie brakowało postaci rozpaczliwych, którym głód i nieszczęście można było wyraźnie wyczytać z oblicza i z ubioru.

Sędzia otworzył pierwsze posiedzenie skromnie i bez wszelkich formalności, a zarazem zaznaczył, że wszyscy, którzy się zwrócili do sądu, muszą przedłożyć swoje sprawy ze spokojem i że kłócić się nie wolno. Pierwszą oskarżycielką, która wystąpiła, była nieśmiała i uboga kobieta z dziecięciem na ręku. Prosiła o zaaresztowanie męża, który ją opuścił. Jej życzeniu uczyniono zadosyć, poczem przed sędziego wystąpiła inna kobieta w towarzystwie męża i ojca. Oskarżającym był w tym wypadku mąż. Żalił się gorzko na zachowanie się swego teścia. Przesłuchano więc teścia, zamącającego spokój małżeński. Zeznał, iż go wspomaga syn i że mieszka u córki.

— Musi więc pan teraz zamieszkać u syna — brzmiał salomonowy wyrok sędziego p. Cornella — to obecne małżeństwo będzie potem szczęśliwem z sobą.

— To jest właśnie, czego pragniemy — powiedział małżonek z zadowoleniem i opuścił salę sądową, prowadząc żonę pod rękę.

Tuzin innych wypadków wytoczono jeszcze przed sędzią, a owemu urzędnikowi udało się usunąć w połowie trudności między małżonkami i doprowadzić do tego, że pary odeszły zadowolone i szczęśliwe. W ostatnich latach zdarzało się coraz częściej, iż jeden z małżonków opuszczał złośliwie drugiego, co wywołało konieczność zaprowadzenia takiego sądu. Przeciętna liczba skarg, jakie z tego powodu otrzymywała policya, wynosiła w roku 2.700 sztuk.

Rozmaitości.

Żyd o żydach polskich.

Jeden z żydów berlińskich Dr. Lessing, były syonista, objechał w tym roku Galicyę i Królestwo Polskie, poczem wydrukował w pewnym berlińskim tygodniku żydowskim swe wrażenia, malując w najczarniejszych barwach stan moralny żydów.

Według jego zdania (całkiem trafnego) żydzi zamieszkali w Polsce, to sami prawie złodzieje, krzywoprzysięzcy, handlarze żywym towarem, oszuści, kłamcy i t. d. I nie omylił się, bo rzeczywiście tak jest.

Objawienie zmarłego.

Gazety nowojorskie donoszą, iż niejaki William James, profesor na uniwersytecie w Havard, obiecał swym przyjaciołom, iż po śmierci da im znać o sobie.

Otóż niedawno w tym roku przesłał on jednemu z lekarzy taką podobno wiadomość z tamtego świata: „Pokój jest ze mną i z całą ludzkością. Przebudziłem się do życia, które o wiele przewyższa wszystkie moje oczekiwania i najśmielsze przedstawienia robione na ziemi. Powiedz moim braciom, że dostarczę im niezbitego dowodu mej osobistości, skoro tylko będę mógł dokładniej się dać poznać. Nie mogę opisać, jak trudno jest przesłać na ziemię znak z tego tutaj świata".

Świecąca ryba.

Jedna z gazet włoskich donosi, że w znacznej głębokości morza znaleziono rybę szczególnego rodzaju. Ryba ta posiada po obu bokach ciała szereg okienek, wydzielających światło, przy pomocy którego ryba może się oryentować.

Okienka powyższe mogłyby grozić rybie niebezpieczeństwem, to też posiadają one zasłony w rodzaju powiek ocznych. Osobliwym jest fakt, iż ryba owa przy

pomocy pewnych gruczołów, zawierających ciecz barwnikową, może kolor wydzielanego przez siebie światła dowolnie zmieniać. Wskutek tego świetlik ryby zmienia się często z błękitnego w czerwonawy lub żółty.

Czytelnie i biblioteki ludowe w Danii.

W roku 1908 dawał rząd duński zapomogi 688 bibliotekom ludowym, które liczyły razem 388 tysięcy tomów na składzie, a 940 tysięcy tomów w wypożyczeniu u czytelników.

Prócz tego otworem dla ludu stoi także państwowa biblioteka w Aarhus, posiadająca obszerną i piękną czytelnię, w której znajduje się kilka tysięcy książek najwięcej używanych. Lud duński chętnie i w wielkiej liczbie uczęszcza do owych bibliotek na czytanie książek. Kiedy to u nas do tego dojdzie! Chyba po setkach lat, bo nasz lud w znacznej jeszcze części woli karczmę, niż czytelnię!

Okropna ciemnota.

Pewien znachor w miejscowości Godor w Hiszpanii poradził dzierżawcy, ażeby się leczył krwią młodego chłopca. Znachor podjął się za 750 pesetów dostarczyć chłopca. Schwytano istotnie 7-letniego chłopca w kąpieli i przywieziono do domu dzierżawcy. Tu przekłuto mu serce, a krew z niego wypił chory. Następnie rozpłatano tłuszcz z pod żeber i przyłożono dzierżawcy na piersi. Resztki ciała rzucono w przepaść. Wszystkich współwinnych aresztowano, z wyjątkiem znachora, który zbiegł.

Wychodźctwo do Ameryki.

Wychodzący w Milwaukee *Kuryer polski* pisze, iż w miesiącu czerwcu bież. roku wylądowało w porcie nowojorskim 76 tysięcy 615 emigrantów, którzy przywieźli z sobą gotówką 2 miliony 80 tysięcy 125 dolarów, czyli średnio 25 dolarów na głowę. Z ogólnej liczby przybyszów 11 tysięcy 296 było już pierwej w Ameryce.

Zwrócono do miejsca wyjazdu lub wyłączono od lądowania w czerwcu 1.562 osoby. Według narodowości było: Włochów 16.654, Polaków 10.040, żydów 8.015, Greków 5.556, Niemców 5.042. Polacy zajmowali zatem w czerwcu drugie miejsce co do ilości; Rusinów przybyło tylko 1.992.

Ruchome Kościoły.

Chociaż Stany Zjednoczone liczą teraz więcej niż 200 tysięcy kościołów i kaplic, to jednakowoż są miejscowości, gdzie niema ani kościoła, ani żadnego domu modlitwy. Ażeby przeto ludziom, mieszkającym w takich miejscowościach, o ile nie znajdują się w pobliżu stacyj kolejowych, ułatwić bywanie na nabożeństwie swego wyznania, zbudowano ruchome kościoły i domy modlitwy na podobieństwo wagonów kolejowych Tak n. p. dla katolików zbudowano taki kościółek pod wezwaniem świętego Andrzeja.

Kościółek ten ma 13 metrów długości od drzwi wchodowych do ołtarza i ławki po obu stronach przejścia w pośrodku z miejscem na 100 osób. Jest nawet zakrystya, są nawet i organy. W drugiej mniejszej połowie wagonu znajduje się mieszkanie dla księdza z kuchnią. Obecnie krąży po kolejach Stanów zjednoczonych 12 takich kościołów i domów modlitwy, przeznaczonych dla rozmaitych wyznań. Koleje przewożą takie wagony z kaplicami zupełnie bezpłatnie. Znany miljarder Rockefeller popiera hojnie dalsze ich zakładanie.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Figle i żarty.

Na egzaminie. — Proszę mi powiedzieć, jakie są oznaki wścieklizny?

Student milczy.

— No, cóż pies uczuwa wówczas, gdy ma gdzie jakie bóle?

— Przepraszam pana profesora, ale żadnego psa o to nie pytałem.

Siła przyzwyczajenia. — Stary kawaler, który strawił życie w knajpach, leżał na łożu śmierci. Jego ostatnie słowo było:

— Już idę, kelner, płacić!

Mądry Jędruś. — Cóż to Jędrusiu, taki jesteś przestraszony?

— O, bo ciocia przed chwilą mi powiedziała, że jam z prochu powstał, obawiam się więc, abym nie wystrzelił!

Pomylili się. — Dlaczego ci małżonkowie rozchodzą się już w pół roku po ślubie?

— A bo pomylili się. On myślał przed ślubem, że ona ma duży posag; ona znowu myślała, że on bardzo bogaty.

Ciekawe zapowiedzi. Ksiądz głosi:

— Jan Chrzan i Maryanna Jedlipsa — zapowiedź pierwsza.

Panu młodemu to się nie podobało, więc prosił księdza, aby inaczej to powiedział.

Ksiądz usłuchał i tak głosił:

— Jan i Maryanna Chrzan i Jedlipsa — zapowiedź druga...

I to nie zadowoliło młodego — znowu poszedł do księdza.

Ksiądz, zmieniwszy, tak głosił:

— Maryanna z Janem Jedlipsa z Chrzanem — zapowiedź trzecia i ostatnia.

Dziwna rzecz. — Masz pan wodę w boku, trzeba będzie wypompować.

E, to nie może być, ja przez całe życie nigdy wody nie piłem.

ŚWIATŁO

pismo powieściowe i popularno-naukowe

wychodzi **raz** w miesiącu — około dnia **1-go.**

Wydawca i redaktor: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

Rocznik II. (Półrocze II.) — **Numer 6.**
(Za grudzień 1910 r.).

Adres: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie
ulica Powiśle L. 12.

KRAKÓW.
Nakładem Ks. M. Dziurzyńskiego.
Czcionkami Drukarni Związkowej pod zarządem A. Szyjewskiego.
1910.

Treść numeru 6-go.

Rozszerzajcie „Światło“

i jednajcie nam nowych prenumeratorów jak najwięcej, bo gdy się w tym roku zbierze większa liczba Czytelników, to w takim razie podawać będziemy w każdym numerze „ŚWIATŁA“ piękne ryciny (obrazki).

Zdania Papieży i Biskupów o popieraniu prasy!

Papież **Pius IX.** powiedział: „**Żądamy, aby katolicy życzliwie popierali tych, którzy wydają pisma przejęte duchem katolickim**“.

Pius X., który niegdyś jako Patryarcha Wenecyi gotów był zastawić swój pastorał biskupi, aby podtrzymać pewne pismo weneckie, wyraził się już nieraz jako Papież, że „**popieranie dobrej prasy katolickiej** (czyli pism) **jest o wiele lepszem dziełem, niż budowanie kościołów i klasztorów**“.

W podobny sposób mówił w roku 1908 o prasie na wiecu katolickim w Saragossie (w Hiszpanii) Arcybiskup Aguirre z Bourgos. Wyrzekł on te słowa: „**W dzisiejszych czasach jest rzeczą większej wagi dać światu jedno pismo prawdziwie katolickie, niż zbudować kościół**“.

Kardynał Parochi mawiał: W czasach, gdy Kościołem rządził Leon X., udzielano hojnie odpustów tym, którzy składali ofiarę na budowę kościoła świętego Piotra. Ja zaś na klęczkach prosiłbym Ojca świętego, aby udzielał odpustów wszystkim, którzy przez popieranie prasy katolickiej współuczestniczą w budowaniu żywego Kościoła Bożego“.

Rocznik II. Kraków 1-go grudnia 1910. (Półrocze II-gie) Nr. 6.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok: 3** korony — na **pół roku: 1** kor, **50** hal. — Do Niemiec na rok: **4** kor. — półrocznie **2** kor. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya **„ŚWIATŁA“** w Krakowie ul. Powiśle 12.

Wszystkim Szan. Czytelnikom

życzymy: „Wesołych Świąt“ — i prosimy o rychłe nadsyłanie nowej prenumeraty, na rok 1911, oraz o zjednywanie nowych Czytelników!

Polacy w Bośnii.

Wychodźctwo naszych włościan do Bośnii i osiedlanie się tamże zaczęło się w roku 1894, a więc przed dwudziestu laty. W owym roku wyjechało sporo rodzin włościańskich z powiatu niskiego i rzeszowskiego na Wołyń, gdzie otrzymali korzystne dzierżawy. Ale potem zakazał im rząd rosyjski dzierżawić ziemię; trzeba było pomyśleć o czem innem. Że zaś mieli grosz, więc wysłali kilku z między siebie do Galicyi, aby wynaleźli jaki majątek do rozparcelowania.

Było to w roku 1894. Na dworcu we Lwowie powiedział im jeden pan, że właśnie przejeżdżali z Wołynia Czesi, którzy udawali się na osadnictwo do Bośnii, gdzie rząd rozdaje grunta. Dwóch z tych włościan pojechało natychmiast za Czechami i dogonili ich na miejscu, gdzie czekali w barakach na orzeczenie rządu. Wywiedzieli się

o warunkach i powróciwszy na Wołyń, zabrali się wkrótce w siedm rodzin na nową siedzibę.

Rząd dał im grunta za małą opłatą, bo płacili przez dziesięć lat tylko po koronie z hektara na rok. Każda rodzina otrzymała od dziesięciu do piętnastu hektarów szczerego lasu, który trzeba było karczować, tak jak w Brazylii. Ziemia dobra, przepuszczalna, miejscami trochę czarnoziemu, niezłe pastwiska, można trzymać bydło i trzodę. Co do zboża, najlepiej udaje się pszenica i kukurudza, żyto wielkie w słomie, lecz nietęgie. Czasem jednak, gdy żyto zbierze się wcześniej, to można jeszcze posiać hreczkę lub proso i mieć drugi zbiór. Urodzaje na ogół dobre; ziemniaki i buraki, wogóle okopowizna nawet bardzo dobra.

Co się tyczy zbytu, to pszenicę zwłaszcza i kukurudzę można dobrze sprzedawać w Banialuce, gdzie Ojcowie Trapiści bardzo podnieśli stosunki ekonomiczne. Wogóle na materyalne położenie skarżyć się nie można.

Ciężką mieli z początku sprawę z podatkami. Do lat temu dwa wstecz, składali dziesięcinę. To było dla nich bardzo uciążliwe. Gdy się posiali przychodził osobny urzędnik, tak zwany dziesiątar i zapisywał, co i gdzie posiane. Podczas zbiorów nie wolno było niczego ruszyć, póki dziesiątar z wójtem i dwoma taksatorami nie oszacowali, ile zboża w ziarnie; następnie płacili dziesięć procent gotówką od ustalonej wartości. Nieraz wskutek tego mieli szkody, nie mogąc zbierać przed otaksowaniem. Od dwóch lat płacą już podatek z morgi. Jest to i mniej i nie tak kłopotliwe.

— Ilu jest teraz w Bośnii włościan polskich, to dokładnie trudno obliczyć. W kolonii, Milovac jest 22 rodzin, w Bakieńcach górnych i dolnych jakie 40, oprócz tych są kolonie: Dewietyna, Dąbrowa, Nowa Dąbrowa, Korostki, Luk, Celinowac i t. d.

Drzewo mieli z karczunku; komu brakowało, dostawał jeszcze z lasów rządowych, woda dobra, źródlana; tylko z drogami było trudno, musieli sami ścieżki torować, teraz jednak wszystko prawie w porządku, kolonie mają dobre zabudowania, drzewiane albo i murowane, ogółem dobrobyt rośnie.

Z ludnością tamtejszą żyją nasi osadnicy w dość przyjacielskich stosunkach. Z Serbami schizmatyckimi spotykają się na jarmarkach tygodniowych w Gradysce i w Banialuce. Wolą Serbów od Chorwatów, najlepszymi jednak sąsiadami są Turcy. Przedewszystkiem Turek nigdy nie kłamie, każde jego słowo szczera prawda, a jeżeli mu nie wchodzić w jego religię, ani nie zajmować się tem, co robią jego kobiety, to nigdy nie dojdzie do żadnego sporu Teraz Turcy silnie emigrują.

Polacy podnieśli swym przykładem gospodarstwo rolne u Serbów, pokazali im ziemniaki i nauczyli uprawiać rolę pługiem; dotychczas bowiem używali Serbowie do orki drewnianego radła i gałęzi bukowej.

Nasz wieśniak polski okazał w Bośnii wielką siłę fizyczną i wytrwałość ducha. Z przepastnych lasów i puszcz wiejących ciemnym chłodem, uczynił on złociste łany zbożowe, głośne zagrody i wesołe sady. Koło obejścia polskiego osadnika, widzimy gnące się pod owocami drzewa, wylepione miodem pasieki, na ogrodach winograd, za stodołą na zagonach melony i kawony. Widok to dla przybysza niespodziewany. A poznamy, że to osady polskie, bo przy każdym niemal domu sterczy w niebo krzyż szeroki, podobny jak przy drogach polskich, ale wyższy dwukrotnie. Mają się chłopi nasi nieźle w Bośnii, skoro który już rolę uprawną posiędzie. «Chleba mamy dzięki Bogu dosyć», powiadają gospodarze w Rakowcu lub w Martincu. Brakuje im jednak obroku duchowego.

»Księdza polskiego i nauczyciela Polaka — a będziemy szczęśliwi«, powiada gromada cała jednogłośnie. gdziekolwiek się z nimi rozgwarzyć. Są parafie, są kościoły są księża, ale cóż, to wszystko jakieś inne, obce, cudze. Cała wieś czysto-polska, a ksiądz Chorwat. Uczy się wprawdzie po polsku, ale łamie. i kaleczy tą obcą sobie mowę. Powiadają, że Biskup z Banjaluki chce mieć z osadników naszych Chorwatów, nie Polaków. Toć nawet naukę wiary polecono wykładać parafianom polskim po chorwacku. «Ani zatem nieszporów, ani godzinek, jak to w ojczyźnie było» — pół biedy, ale bieda już cała tam, gdzie ludność jest nasza zmieszana z Chorwatami, tam bowiem nasi koloniści coraz więcej zatracają mowę polską, nieraz o księdza pol-

skiego wołają i proszą — ale bez skutku bo tamtejszy Biskup banialucki jest Chorwatem i chciałby wszystkich Polaków w Bośnii na Chorwatów przerobić.

Gdy przed kilku laty przyjechał do Bośnii Jezuita z Krakowa, ks. Czermiński, milami się ludność zbierała na Mszę św. i kazanie. «Ojca duchownego z Krakowa», księdza Czermińskiego wspominają, z westchnieniem głębokiem, ale jemu też już Biskup banjalucki zabronił przyjeżdżać do Bośnii na misye, bo spowiadał i kazanie miał po polsku».

Szkół polskich niema nigdzie. Były siostry Felicyanki w Martyńcu, prowadziły szkółkę doskonałą, myśleli nasi koloniści, że pozakładają wszędzie szkoły, przy każdym kościele, ale Biskupowi się to nie spodobało, że po polsku uczyły. Musiały wyjechać.

Nasi potulnie znoszą tę niechęć Biskupa banialuckiego — inaczej poradzili sobie Rusini i Niemcy mieszkający w Bośnii.

Rusini mają tam swoich księży, a nawet klasztor swój mają w Kamienicy. Chciano Rusinów też oddać duchownym chorwackim rzymsko katolickim, ale oni się oparli, oświadczyli, że przejdą na prawosławie, gdyby nie dostali swoich księży. Chcąc ich utrzymać przy Rzymie, musiano się zgodzić na parafie unickie zupełnie samodzielne, a metropolita Szeptycki zdobył im generalny wikaryat dla Bośnii z siedzibą w Sarajewie.

Z rzymsko-katolików pierwsi dopiero Niemcy w kolonii Windhorst podobno zagrozili Biskupowi przejściem na protestantyzm, jeżeli im nie da księdza Niemca. Smutnem to jest wielce, że aż takiemi groźbami muszą inne narodowości wywalczać sobie kapłanów.

Za naszymi osadnikami powinno się ująć Koło polskie i księża Biskupi i postarać się o to, by mieli swoich księży i swe szkoły — bo inaczej zapomną, że są Polakami i wiarę też stracić mogą, gdy będą mieli tyle trudności w zaspokojeniu swych potrzeb duchowych.

NOWA ZORZA.

Nowa dzisiaj wschodzi zorza
Jakie jasne jej promienie
Budzą rozkosz i zdziwienie!
Widni, lśni z niej łaska Boża
I nad ziemią blask rozwodzi
   Bóg się rodzi! Bóg się rodzi!

Bóg się rodzi, radość wszędzie,
Ziemia z ludźmi w okół śpiewa,
W serca nowe życie wlewa,
Bóg się rodzi, drży w kolędzie,
I tęsknotę w nas łagodzi,
   Bóg się rodzi! Bóg się rodzi!

Nie w pałacach, ani w złocie,
Lecz ubogo i w stajence,
Żywmy dzisiaj blask w jutrzence,
Bo w miłości, wierze, cnocie,
Nasz Zbawiciel do nas schodzi
   Bóg się rodzi! Bóg się rodzi!

Od miast do wsi, z dworków w chaty,
Wieść mknie, jakby błyskawica,
Bóg uchyla z niebios lica,
I przegląda wszystkie światy,
Bo świat każdy go obchodzi,
   Bóg się rodzi! Bóg się rodzi!

Oby dla nas dzień dzisiejszy,
Co stracone, to nam wrócił,
I z gnuśności nas ocucił,
Ubrał słońce w blask piękniejszy,
Co nam życie rozpogodzi,
   Bóg się rodzi! Bóg się rodzi!

Gdy w was słabnie promień wiary,
Będziem przez złe pognębieni,

Więc niech się w nas rozpłomieni
Serce chętne do ofiary,
Ducha z grzechów oswobodzi,
  Bóg się rodzi! Bóg się rodzi!

Więc tę chwilę wysławiajmy,
Niech nam ciągle w sercu płonie,
I w dniach życia i przy skonie,
Zgodnym chórem cześć śpiewajmy,
Niech po świecie się rozchodzi:
  Bóg się rodzi! Bóg się rodzi!

GWIAZDA ZBAWCY.

Z legend ludowych.

Gdy noc zapadła, przyszło na świat Przenajświętsze Dzieciątko w Betlejemskiej stajence. Ułożyła Je Marya w żłóbku na sianku i na Józefa zawołała:

— Cóż my poczniemy bez światła... Wyjrzyjno przed stajnię, żali kto nie nadchodzi, coby nam poświecił... Wszak ci ja mego Syneczka nie widzę!

Wyszedł Józef na drogę i przez chwilę wypatrywał i nasłuchiwał, czy kto nie nadejdzie, aż nareszcie powrócił do szopy markotny, mówiąc do Maryi:

— Smutno! niema żywej duszy...

W tejże chwili jednak kilka much, które kręciły się koło wołu i osła, obsiadło żłób i co która dotknęła się nóżki kwilącej Dzieciny, to zaraz ulatywała w górę cała błyszcząca, niby gwiazdka. Rozjaśniło się tedy w stajence; tak świeciły latające nad sianem muchy. Więc Marya rzecze do Józefa:

— Czy widzisz, jakie to nam gwiazdki Bóg zesłał w postaci muszek?

— Niechaj Mu za to będzie chwała na niebie i ziemi!

— Ale w cóż ja — nagle Marya zawołała — owinę mego Synaczka? Ani jednej pieluszki nie mam, ani koszuliny... Co my też poczniemy, mój Boże!

— Szczęście, że się bodaj siano znalazło w żłóbku...

Wtem Marya, nad Dzieckiem nachylona, ujęła trawkę jedną z siana — i patrząc w Synka swego, rozmyślała nad tem, jakby sobie poradzić...

Bezwiednie bawiąc się trawką w palcach, spostrzegła nagle, że ta trawka w palcach, rozciąga się przedziwnie i rozszerza w Jej rękach. Zanim do Józefa o dwa kroki doniosła niezwyczajne ździebełko, by mu pokazać dziw nad dziwy, już rozszerzyło się ono w Jej palcach tak dalece, że dałoby się niem okryć cały żłóbek. Co widząc Józef, zdumiał się i uradowanym zawołał głosem:

— Toć to akuratnie pieluszka! Patrzajże to samo bieleje w oczach, niby płótno... a jakie miękkie!... Mamy zatem w co owinąć Dziecinę.

I owinęła Marya Syneczka swego w białą z trawki pieluszkę. Poczem z innych jeszcze trawek, wydobytych z siana, narobiła pieluch do tuzina. Józef zaś każdą trzymał przez chwilę przed pyskiem wołu, który tchem swoim ogrzewał cudowne płócienka. Ledwie jednak wziął Józef z rąk Maryi jednę pieluszkę, Ona mu już podawała drugą gotową, tak, że nie mógł nadążyć z grzaniem płótna.

— Dość nam pieluszek — odezwała się naraz Marya. — Pomyślmy przedewszystkiem, w czemby tu dało się wykąpać dziecko...

— Skądżeby tu wziąć wanienkę? — zafrasował się Józef.

Tymczasem Marya zobaczyła w górze ponad jasłem rozpięty sznurek. Więc żeby na nim rozwiesić pieluszki, nastąpiła na ogromny kamień, leżący podle żłóbka, inaczej bowiem nie byłaby z ziemi ręką dostała do sznura. Aliści, gdy z kamienia schodziła, spostrzegła, że się w nim odcisnęła Jej stopa — i, co dziwniejsza, wydrążyła w tem miejscu kamień głęboko iż mógł od biedy posłużyć teraz dogodnie za wanienkę. Więc ucieszona obejrzała się zaraz za wodą.

— Najtrudniej będzie nam o wodę — biadał Józef — nawet nie mają jej już te poczciwe zwierzęta. Żeby też gdzie blisko było źródełko!

— Jest, jest! — zawołała Marya, wskazując na kamień wydrążony.

Istotnie w wydrążeniu głazu biło źródełko wody cieplutkiej, jak sam raz na kąpiel dla niemowlęcia. Wprawdzie Józef wyraził obawę, iż woda przypływając ciągle, gotowaby zatopić Dziecię, lecz zauważył zaraz, że źródełko wewnątrz kamienia wyschło w tej chwili, gdy napełniło dostatecznie wanienkę. To też śmiało wykąpała w niej Marya Synaczka, poczem, owinąwszy maleństwo w pieluchy, nakarmiła piersią i na sianku ułożyła do snu.

Ledwie Dziecię spokojnie usnęło, znalazł Józef tuż obok żłobu zawiniątko, które nie wiadomo skąd się tu wzięło, a w którem była strucla biała, przykrywająca duży dzban gorącego mleka. Posiliła się Marya, potem Józef zjadł również trochę, kiedy zaś popijał mlekiem, doleciała go z daleka jakaś wrzawa.

Dzban odstawiwszy, wyszedł więc na próg szopy, skąd zaraz zakrzyknął:

— Cóż za jasna świeci gwiazda na niebie, od słońca prawie nie mniejsza!

— Aż się od niej w stajence rozjaśniło — dodała Marya przy żłóbku.

— Dziwna ta gwiazda jaśnieje niby tuż ponad tą szopą... Ale nie mylą mnie uszy, to przecież ludzie zdala nadchodzą w nasze strony.

— Czy nie śpiewy słychać?

Daleko, ale z każdą chwilą coraz bliżej odzywały się głosy ludzkie, poczem wyraźniejszy śpiew pasterzy doleciał do stajenki...

«O gwiazdo Betlejemska świećże nam na niebie, szukamy cię wśród nocy, tęsknimy do ciebie... Prowadź nas do stajenki, gdzie Jezus złożony, Bóg Chrystus, z Panny Świętej dla nas narodzony!...

Obtarł Józef łzę z oka i w stronę żłóbka zwrócony, odezwał się:

— Słyszysz, Maryo? «Gwiazda Zbawcę im ogłasza, do Betlejem spieszą»...

Marya, modląc się, skłoniła głowę nad Dzieciną, a Józef wrócił na próg szopy, mówiąc głośno w stronę drogi:

— «W żłobie leży... Któż przybieży kolendować małemu, Jezusowi Chrystusowi dziś nam narodzonemu?... Pastuszkowie przybywajcie!...»

Na drodze rozległy się odgłosy pastuszych fujarek.

Józef wzruszony mówił dalej z radości:

Jemu wdzięcznie przygrywajcie — jako Panu Naszemu!»

I przybieżeli do stajenki Betlejemskiej liczni pastuszkowie z darami i weszli do szopki uklęknąć przed żłóbkiem, wołając:

— «Podnieś rękę, Boże Dziecię» (pobłogosław lud Swój!)

A starsi, z pomiędzy nich, pokłon oddając Zbawicielowi i Boga-Rodzicy, szeptali w pokorze z radością:

— A Słowo Ciałem się stało i mieszkało między nami....»

BOŻE NARODZENIE.

u ludu polskiego w zachodniej Galicyi [1]).

Po pośniku [2]) chłop, pomyślawszy jeszcze raz o tym małym, białym, jak śnieg Jezusie, co przyszedł pod jego strzechę biedną, zasnął twardo. Szczekanie psów wiejskich budzi go na pasterkę. Zrywa się, wybiega na próg, rozgląda się naokoło, nasłuchuje w ciszy nocnej, psy szczekają dalej, ale koguty jeszcze nie pieją — jeszcze czas. Stoi i duma... naokoło, jak okiem sięgnąć, biało, a na niebie miesiączek srebrny, otoczony złotemi gwiazdami, nad białą zwiesza się ziemią i patrzy i słucha cichy, jak ta noc.

Wtem padł strzał... Wzdrygnął się człowiek.

— To nic, tylko Wojtek próbuje szczęścia — z pewnością położył zająca, będzie mu się darzyło cały rok.

Wraca do izby, tymczasem baba już roznieciła światło i poczyna się krzątać, jakasi szczególnie raźna. Ogarnęli się i idą na Pasterkę, choć jeszcze czas, ale też i kawałek trzeba iść. Spoglądają na niebo, na którem gwiazd, jak piasku złotego moc, wypatrują jutrzenki, ciekawi bar-

[1]) Z pism Dra Karola Matya'sa.

[2]) Pośnik — wieczerza, względnie obiad wigilijny.

dzo, czy też w nadchodzącym roku polskiemu sercu będzie ona świeciła.

— Bo i starzy opowiadają ludzie, że ta cudowna gwiazda, która przededniem bardzo jasno świeci, świeci od czasu, kiedy się Pan Jezus narodził w Betlejem. Nie w każdym roku ta gwiazda świeci w naszej części świata, a to z tej przyczyny:

Jeżeli w innej części świata w wiliją Bożego Narodzenia do pasterskiej Mszy św. ksiądz wcześniej się weźmie i odprawi ją wcześniej, to tam ta gwiazda poranna będzie przez cały rok świecić. A dopiero w następnym roku, jeżeli ksiądz u nas się pospieszy z odprawieniem tej Mszy św. pasterskiej, to wtenczas i ta gwiazda jutrzenka znów u nas będzie świecić przez cały następny rok, a w tamtym kraju już nie.

I tak powiadają, że czasami to ta gwiazda jutrzenka świeci i przez trzy lat po sobie, a czasami to rok i dwa niema u nas tej gwiazdy, tylko świeci ona bez przerwy innym krajom.

W Zaborowie (powiat brzeski) powiadają sobie o tem z pewną odmianą, a mianowicie, «że wtedy, kiedy raz w roku ksiądz ma śpiewać przy pasterskiej Mszy św. jutrzenkę (»Zawitaj prześliczna jutrzenko»), a powita ją najpierwszy, jak się jutrzenka na niebie pokaże, to ona nad tym kościołem przez cały rok świecić będzie aż do następnej wilii. Jeżeli, dajmy na to, świeciła nad Strzelcami[1]), a powitał ją pierwszy w pasterkę ksiądz w Zaborowiu, to się zaraz przeniesie nad Zaborów i cały rok nad Zaborowem będzie świeciła».

Na Pasterkę idą przeważnie młodzi, starzy zaś śpią; z Pasterki wracają o drugiej godzinie po północku i śpią aż do siódmej godziny rano. Gdy rano (w dzień Bożego Narodzenia) wstaną, wlewają na miskę wody, do wody wrzucają trochę siana ze stołu wilijnego i pieniądz srebrny i w tej wodzie się umywają.

W sianie na to się umywają, żeby byli zdrowi, a pieniądz srebrny ma dać ich ciału, ich twarzy białość srebra i pieniądze w przyszłym roku będą się ich trzymały. Po-

---

[1]) Wieś i parafia Strzelce wielkie (powiat brzeski).

tem mówią pacierz, jedzą opłatek, a następnie śniadają, a jeżeli mają wódkę, to sobie wypiją po kieliszku przed śniadaniem.

Na śniadanie jedzą pozostałą z pośnika kaszę z warzonem mlekiem, a potem kawę z plackiem (Wola gołego), gdzieniegdzie nawet nie gotują śniadania, tylko jedzą resztki z pośnika.

Parobek lub chudobniejszy gospodarz, nie trzymający parobka, daje tymczasem jeść bydłu i koniom z tej karmy którą utrząsł w wiliją, to jest słomę żytnią (zytnionke) albo jęczmienną (jecmionke) albo owsianą (owsionke) z sianem lub koniczem, bo w godne święta, a zwłaszcza w dzień Bożego Narodzenia niewolno pod grzechem ciężkim żadnych robót gospodarskich i domowych wykonywać, dlatego w wiliją natrząść muszą tyle karmy, aby im wystarczyło na dzień Bożego Narodzenia i święty Szczepan.

Tak samo w wiliją dla świń, kur i gęsi odmierzają ziarno, bo od Boskiego Narodzenia aż do Nowego Roku nie wolno brać ziarna z beczki, boby na wiesne nie béło skutecne do siewu, boby nie wesło».

Po śniadaniu starzy się ładują (zbierają się) do kościoła, parobek zaprząga konie do wozu lub sani i jadą starzy do kościoła. Młodzież idzie piechotą — chudobni także. We wsi Stalach[1]) przed dwudziestu kilku laty z całej wsi chłopaki i gospodarze jechali konno wierzchem do kościoła, a na wozie nikt nie jechał, zwyczaj ten jednak zaginął. Miał on przypominać jazdę Matki Najświętszej z Jezusem na ośle do Jerozolimy.

Dzień Bożego Narodzenia uważa lud za najuroczystsze święto w roku. W dniu tym każdy spieszy do kościoła na Mszę św., kto nie był na Pasterce, musi być na rannej Mszy św. lub sumie. Tylko maleńkie dzieci, zgrzybiali starcy i chorzy zostają w domu, jakby na straży sioła. Nawet taki, co nigdy nie lubi chodzić do kościoła, w Boże Narodzenie idzie.

Jest to takie wielkie święto, że w dniu tym nawet żadna kobieta, ani dziewczyna nie zamiata izby, bojąc się, żeby jej Pan Bóg nie ukarał za gwałcenie święta próż-

[1]) W powiecie tarnobrzeskim.

niactwem przez rok cały (powszechnie), zresztą jest to pamiątka, «że się Pan Jezus urodził w stajence», a izba od wilii zasłana cała słomą, ma przypominać szopę betlejemską, «w której narodził się Chrystus Pan między bydlętami, właśnie tam musiało być zabarłozone».

Wróciwszy z kościoła, jedzą śniadanie, względnie obiad stosownie do tego, czy byli na rannej Mszy św., czy też na Sumie. Dziewka, która pozostała w domu, zgotowała im kaszy jęczmiennej lub jaglanej i mięsa kilo albo dwa. Gdzieniegdzie starają się o pożywienie jak najwyśmienitsze. A więc barszcz tłusty z wieprzowiną, zasypany jagłami i chleb lub placek do niego. Albo barszcz z gęsiną, przyrządzony tak samo, jak z wieprzowiną. Po barszczu mięso, zwane śtuką. Nawet u najbiedniejszego są placki, choćby z razowej mąki i pierogi, pieczone z kaszy jaglanej lub reczanej, także z dodatkiem sera.

Po obiedzie zasiadają razem i śpiewają kolędy i pasterałki (powszechnie).

Cały ten dzień siedzą kamieniem w domu, nawet do sąsiada nie idą, bo grzech jest wielki iść w tak uroczyste święto na chałupy. Starodawny to zwyczaj, którego twardo przestrzegają, tak dalece, że nawet dzieciom nie pozwalają chodzić do sąsiednich domów i straszą je, «że kto dziś idzie na chałupy, temu zaraz język urzną».

Bywało dawniej, że, jak ktoś w dzień Bożego Narodzenia przyszedł do drugiego domu, to mu tam obsypywano nogi popiołem lub nawet bito go miotłą, uważając przychodnia za czarownika. Młodsze pokolenie jednak, coraz mniej szanując stare zwyczaje i obrzędy, poczyna i ten zwyczaj lekceważyć, to też gdzieniegdzie widać można młodych odwiedzających się, ale jeszcze bardzo rzadko, powszechnie jednak trwają przy pięknym obyczaju, który nawet największego pijaka chroni od pójścia do karczmy.

Zasadą jest, że w Boże Narodzenie nikt nie wychodzi nigdzie, tylko do jednego kościoła, a i z kościoła wyszedłszy, nie zatrzymuje się nigdzie, tylko wprost spieszy do domu. A w Zawadzie pod Nowym Sączem to z opisanym powyżej pięknym obyczajem łączą nawet przesąd, że w dzień Bożego Narodzenia nie należy chodzić do obcego domu dlatego, «aby sie w tym domu bolaki nie kociły».

W dzień Bożego Narodzenia gospodyni daje jeść kurom pod łóżkiem w obręczy z beczki (położy obręcz na ziemi, nasypie ziarna do środka, żeby w tem kółku kury jadły), «żeby kury bez cały rok do sąsiadów nie odchodziły i jaj nie gubiły, tylko na obejściu niesły».

Jak nie zamiatają izby, tak też nie ścielą łóżek, «boby się cały rok pchły kociły i ludzi gryzły«.

Nie czeszą się, «boby po śmierci włosy z głowy nie wylazły, tylko mocno trzymać się będą czaszki».

Nie chodzi się w tym dniu boso, «żeby się bolaki, ani odbity na nogach nie kociły» Nie należy jeść placka na polu, «boby się śnieć kociła w pszenicy». Nie wolno jeść chleba i czegobądź na polu, «boby ptaki zboże w polu jadły». We wsi Stalach od Boskiego Narodzenia do Nowego Roku ojcowie karentują dzieci, żeby chleba na dworze nie jadły boby wszystko zboże w polu myszy zjadły.

«Jak gospodyni śpi po południu w Boże Narodzenie, to sie ji len powali.

Niewolno słomą w piecu zapalać, jak to zwykle przez cały rok czynią, «boby słomę w polu spaliło».

W dzień Bożego Narodzenia kto dotknie się kapusty, to zamieni się w rzepę. Kto dotyka zboża jakiegobądź rodzaju, to zamienia się ono w liche, chude i zachwaszczone. «Kto chce mieć jare żyto, to musi w Boskie Narodzenie przewrócić trzy lub cztery snopki ozimnego żyta na drugi bok i po Nowym Roku go omłócić, to już na wiesne moze go siać i bedzie z ozimnego zyta jare. To jest przekonana prawda».

Na stole wilijnym chleb ma ciągle leżeć aż do Nowego Roku, bo Pan Jezus przychodzi w tym czasie po kolędzie.

Nie wolno świecić wieczór w Boże Narodzenie naftą, a nawet świecą, boby była zaraza na pszenicę. Indziej od Bożego Narodzenia do Nowego roku tylko zaraz z wieczora nie świecą lampy z naftą, tylko milową świecę, i świecą choć godzinę, żeby się pszenica nie zaśmieciła, a także powiadają, że Paniezus (Pan Jezus) chodzi po kolędzie. Potem dalej w wieczór świecą już lampą.

Wieczerza w Boże Narodzenie bardzo skromna — na wieczerzę nie palą, lecz jedzą pozostałości z obiadu albo placek z masłem lub serem.

MŁODY BOHATER.

Okropne działy się rzeczy przed stu laty podczas rewolucyi francuskiej. Ludzie zmieniali się w krwiożercze zwierzęta i zapominali o Bogu, kierując głównie nienawiść swoją ku wiernym sługom Kościoła, ku tym księżom, którzy przekonań swoich zmienić nie chcieli. Niezliczona liczba onych szlachetnych mężów musiała ponieść śmierć z ręki kata i szczęśliwymi byli ci, którzy zdołali ujść rąk rozbestwionej tłuszczy. Ale byli to wygnańcy tułający się od wsi do wsi, po lasach i kryjówkach, którym nie szczędzono wprawdzie przytułku i pomocy, a którzy pomimo to wpadali w ręce okrutnych wrogów.

Jednym z takich bezdomnych tułaczy był ksiądz Dryant, który po długich wędrówkach znalazł nareszcie przytułek w zamku hrabiny Balles. Tutaj wypełniał w skrytości wszystkie swoje obowiązki duszpasterza i pozyskał w krótkim czasie miłość i szacunek całej okolicy. Owdowiała hrabina kazała jeden z pokoi zamienić na kaplicę, ale tak, aby w przeciągu kilku minut można było wszystko usunąć, co kaplicę przypominało, było to koniecznem, ponieważ nikt nie był pewnym przed szpiegami, i biada tym, którzy pod swoim dachem pozwalali na odprawianie nabożeństwa lub przechowywali duchownych. Hrabinę zaś ostrzeżono też już przed szpiegami.

I tak zbliżało się święto Zielonych Świątek i dzień, w którym jedyny syn hrabiny miał przystąpić razem z kilku innymi chłopcami do pierwszej Komunii św. Ksiądz Dryant przygotował dzieci bardzo starannie i uroczystość ta odbyła się z niezwykłą powagą, wszyscy obecni mieli łzy w oczach i nigdy pewnie nie modlono się w tej kaplicy tak gorąco, jak tego dnia. Ale przy końcu nabożeństwa stało się coś nadzwyczajnego, — nagle bowiem otworzono

gwałtownie drzwi; jeden ze służących wbiegł śmiertelnie blady do kaplicy.

— Idą, idą, — wyjąkał bez tchu prawie — cała gromada, z czerwonymi chorągwiami i z dobytemi szablami...

Hrabina zadrżała, nie tracąc jednak przytomności umysłu, kazała czemprędzej wynosić obrazy i uporządkować pokój tak, aby nikt nie poznał, że się tu Msza św. odprawiała. I zaledwie wszystko ukończono, wpadła zgraja rewolucyonistów pod przewodnictwem pewnego ślusarza, którego dziki wyraz zdradzał aż nadto wyraźnie jego charakter i skłonności.

— Wydajcie nam księdza — krzyknął groźnie — stojąc przed hrabiną z podniesioną pięścią.

— O kim to mówicie? — odrzekła hrabina na pozór spokojna.

— Przechowujecie księdza w waszym domu! Nieprzyjaciela Francyi, zdrajcę ojczyzny!

— Mylicie się, obywatelu! Zdrajcy naszej ojczyzny nie przyjęłabym nigdy w moim domu!

Hrabina nie kłamała, bo nieszczęśliwi prześladowani byli z pewnością lepszymi patryotami, niż owi okrutnicy, którzy piękny i bogaty kraj zamieniali w pustynię.

Ślusarz zdumiony spojrzał na nią, ale nie zadawalając się tą odpowiedzią, kazał swoim towarzyszom przeszukiwać cały zamek.

Z dzikim okrzykiem radości rzucili się naprzód. Łamiąc kosztowne meble, niszcząc wszystko, co im w ręce wpadło, przetrząsnęli wszystkie kąty, lecz daremnie, i z prawdziwą wściekłością wrócili do mieszkalnego pokoju hrabiny.

Tutaj zastali jej syna samego.

— Hej, arystokrato! — krzyknął jeden z tłuszczy, — powiedz nam natychmiast, gdzie ksiądz, inaczej źle z tobą będzie.

I dobywszy miecza podniósł go nad głową chłopca. Chciał go widocznie zastraszyć i zmusić do wydania duchownego, ale chłopiec stał spokojny i niewzruszony.

— Nie mogę żądania waszego wypełnić, — odpowiedział.

— Czemu?

Chłopiec kłamać nie chciał, ale nie chciał też wskazać ukrycia swego ukochanego «ojca Dryanta». Dla tego dał wymijającą odpowiedź, która jeszcze więcej rozdrażniła srogiego złoczyńcę.

— Przeklęty psie, krzyknął teraz dowódzca bandy, taki młody jesteś, a już taki niegodziwy!

I schwyciwszy jasne, długie włosy chłopca, przywlókł go do siebie, towarzysz jego zaś uderzył go tak silnie, że biedny zatoczył się i upadł na ziemię.

— Gdzie ksiądz? Powiedz natychmiast, bo cię zabijemy, — wołała rozjuszona zgraja.

Dziecko drżało z przerażenia. Z natężeniem wszystkich sił podniosło się i stanęło naprzeciw swoim prześladowcom blade i chwiejne, lecz pozornie spokojne.

— Gdzie ksiądz?

— Nie mogę tego powiedzieć!

Rewolucyoniści szaleli ze złości. Wszystkie meble w pokoju zostały wmgnieniu oka połamane, a jeden z nich, zbliżywszy się do obrazu Najświętszej Maryi Panny, zamierza go zrzucić na ziemię.

Chłopiec zbladł jeszcze więcej i przycisnął się mimowoli do ściany. Złoczyńca miał znieważyć obraz Matki Boskiej, którą ksiądz Dryant tak mu polecił kochać i wielbić! I co gorsze jeszcze — za tym obrazem znajdowały się drzwi do kryjówki księdza! Jak łatwo mogli je ci ludzie odkryć! Jedno uderzenie w mur wystarczyło, aby zdradzić próżne poza nim miejsce, a w wynajdowaniu kryjówek bardzo wszyscy byli wprawni!

Chłopiec objął obraz drobnemi swemi ramionami i stanął odważnie w jego obronie.

— Precz! — krzyknął ślusarz — wynoś się stąd, bo cię zabijemy na miejscu!

Ale chłopiec nie ustępował i jeszcze silniej obejmował ramy obrazu. Ten opór rozwścieklił rewolucyonistów do najwyższego stopnia, jeden z nich przyskoczył w szalonej złości i uderzył chłopca sztyletem w pierś.

Z cichym jękiem pochyliło się nieszczęśliwe dziecko i opuściło ręce, a strumień krwi zbroczył strojne jego ubranie.

— Młody hrabia zabity — szepnął ślusarz zmieszany.

I jak gdyby widok tej krwi niewinnej wrócił im przytomność, opuścili jeden po drugim pokój, cicho, bez szelestu, i nikt już nie myślał o szukaniu księdza.

W przeciągu kilku minut nie było w zamku ani jednego napastnika!

Hrabina znalazła syna nieprzytomnego przed obrazem Matki Boskiej. Mały bohater, który z poświęceniem własnego życia ocalił obraz od zniewagi i swego ukochanego nauczyciela od okrutnej śmierci, leżał teraz na łóżku z zamkniętemi oczami, w głębokiem zemdleniu. Hrabina klęczała, płacząc głośno przy nim, ksiądz zaś starał się przywrócić go wszelkimi środkami do przytomności.

— Zamordowali mi mojego syna — wołała hrabina z rozpaczą. — O moje biedne, nieszczęśliwe dziecko!

— Nie trać pani odwagi — pocieszał ją zacny kapłan — nie wszystko jeszcze stracone. Syn twój żyje jeszcze, może go Bóg ocali!

— Mój syn! Mój syn!

Ani hrabina, ani ksiądz nie wiedzieli, co zaszło przed obrazem Matki Boskiej, myśleli oni oboje, że rewolucyoniści zamordowali chłopca tylko dlatego, że był arystokratą.

I nareszcie po długich usiłowaniach otworzył mały męczennik oczy i z wyrazem niewysłowionej miłości spojrzał na hrabinę i na księdza.

— Matko! — szepnął zbielałemi ustami.

Hrabina zerwała się i przycisnęła głowę jego do serca.

— Mój Karol żyje! — zawołała. — O Boże, dzięki Tobie!

Ksiądz ucieszył się także z całego serca, ale jedno spojrzenie przekonało go, że chłopiec jest umierający. Głuche rzężenie odezwało się ze zranionej piersi, na usta wystąpił szum krwawy.

— Boli mnie... boli... — szepnęło dziecko — ja umieram...

— Nie, Karolu, nie umrzesz — krzyknęła hrabina. — Nie możesz mnie opuścić!

Ale i ona poznała, że niema dla niego ratunku.

— Matko — szeptał chłopiec — ja idę teraz do mojego Zbawiciela..., do Tego, którego przed kilku godzinami przyjąłem. Idę do Niego chętnie i cieszę się bardzo, że ocaliłem obraz i mojego kochanego ojca Dryanta.

— Co to znaczy? — zawołała hrabina.

— Rewolucyoniści chcieli znieważyć obraz... i szukali ojca Dryanta..., a ja... a ja nie pozwoliłem na to.

Teraz zrozumiała hrabina wszystko, a ksiądz wzruszony do głębi, padł na kolana i głośnym wybuchnął płaczem.

— Jesteś bohaterem i męczennikiem — rzekł uroczyście.

Karolek uśmiechnął się, spojrzał raz jeszcze na matkę i zamknął oczy — na wieki.

Hrabina zemdlała.

Lata minęły od tego czasu. Rewolucya skończyła się wkrótce potem, a przywódzcy jej albo ponieśli śmierć na rusztowaniu, albo musieli opuszczać Francyę i potomność wspomina ich dziś ze wstrętem i pogardą.

Pamięć małego bohatera męczennika nie zaginęła wcale, imię jego wymawiane było z czcią i szacunkiem, i wszystkie matki stawiały go za wzór swoim synom. Hrabina zbudowała w swych dobrach klasztor i dom dla chorych dzieci, a ksiądz Dryant był tam aż do śmierci doradzcą duchownym i pocieszycielem biednych.

Kara za opilstwo.

Niewielu zapewne, nawet wśród wstrzemięźliwców naszych, wie o tem, iż są kraje na Wschodzie, gdzie pijaństwo należy do bardzo hańbiących i surowo karanych występków. Jest to tem dziwniejsze, że u nas, a nawet dalej na Zachodzie, zapatrywania pod tym względem są mniej surowe, choć wobec wyższego poziomu oświaty należałoby oczekiwać właśnie czegoś wprost przeciwnego.

Takim wrogo wobec pijaństwa usposobionym krajem jest n. p. A l b a n i a, prowincya państwa Tureckiego.

W mieście Prizrendi, liczącem około 50 tysięcy ludności, przeważnie słowiańskiej, ale wyznania mahometańskiego, istnieją nawet bardzo szczegółowe a ostre przepisy określające sposób wykonania kary na nałogowo upijających się ludziach. Najgorsze zaś dla przestępcy jest to, iż karę tę wykonywa się publicznie, wobec tłumów ludności, dla której to ma być odstraszającym przykładem.

Oto schwytanego na gorącym uczynku opilstwa obywatela prowadzą zastępcy władz związanego przez ulice miasta, następnie przywiązują go do słupa i tam odbywa się dalsza egzekucya. Polega ona na tem, iż tłum, zwabiony okrzykami i odgłosem bębnów, urąga pijanemu, wyszydza go; a od czasu do czasu i dotkliwiej daje mu się we znaki, tak, iż nieszczęsna ofiara alkoholu wychodzi po takiej egzekucyi nietylko zupełnie wytrzeźwiona, ale z sińcami i guzami.

Przy tej sposobności, nadmienić należy, że w niektórych stanach Ameryki północnej, także istnieje kara za opilstwo, stosowana w ten sposób, że pijaka fotografują i tą fotografię posyłają mu do domu jako znak i ostrzeżenie do jakiego to stanu człowiek pijany dochodzi. Gdyby niebaczny nałogowiec w stanie pijanym był spotkany po raz drugi, fotografują go po raz drugi i tą fotografię rozwieszają po rogach ulic dla zupełnego pohańbienia opilca.

W Finlandyi od 1-go lipca 1910 roku sprzedaż wódki jest zupełnie zabronioną, a alkohol w celach leczniczych będzie można kupować w aptekach z polecenia lekarzy. Walka z pijaństwem na całym świecie przybiera coraz większe rozmiary, ażeby ludność uwolnić od tej plagi świadczącej o nałogowości natury ludzkiej.

Kobiety — a gospodarstwo na roli.

Zabiegi kobiet, by znaleźć odpowiednie zajęcie, zataczają coraz szersze kręgi, i skłoniły niektóre z nich do zajęcia się gospodarstwem rolnem.

W Kanadzie (w północnej Ameryce) zdarzyło się niedawno, że młoda dziewczyna wytężającą robotą na roli, nietylko uchroniła rodzinę od biedy — ale nawet podniosła gospodarstwo. Dokonywała przytem wielkich robót rolnych. Orała, bronowała i siała.

Prócz tego musiała przed rozpoczęciem, i po skończeniu ciężkiej pracy codziennej wydoić sześć do osiem krów. Ojciec mówił o niej, że pracuje za dwóch mężczyzn.

Druga osada, gospodarowana przez kobiety, znajduje się w Anglii, w miejscowości Buchinghamshire. Tu gospodarkę prowadzi sześć sióstr, bez pomocy robotników.

Objąwszy po śmierci ojca posiadłość, obejmującą 32 morgi roli, podzieliły pracę około niej pomiędzy siebie w ten sposób, że jedna z nich zajęła się tylko robotami domowemi, druga bydłem itd. Hodowały z wielkiem powodzeniem świnie, a mleka i drobiu tyle miały, że nie mogąc same zużytkować, zbywały te produkta korzystnie odbiorcom.

Owocarstwo w Niemczech.

Na zasadzie obliczeń dokonanych w roku 1900, a więc przed 10-ciu laty jest w Niemczech:

jabłoni . . .	52 miliony	332	tysięcy	sztuk
grusz . . .	25 milionów	116	«	«
śliw	69 «	436	«	«
wiśni . . .	21 «	548	«	«

ogółem drzew owocowych jest w Niemczech 168 milionów 432 tysięcy.

Do obliczenia wartości rocznego urodzaju tych drzew, wzięto średni urodzaj jabłoni i grusz po 10 kilogramów, śliw po 4 klgr., wiśni po 8 klgr.

Cena zaś jednego kilograma wynosi dla jabłek: 15 fenigów (35 hal), dla gruszek 8 fenigów, dla śliwek 5 fenigów, dla wiśni 30 fenigów.

Na tej podstawie obliczono dalej, że powyższe drzewa owocowe przynoszą rocznego dochodu przeszło **174** milionów marek.

I w naszym kraju mógłby niejeden gospodarz mieć ładny dochód z drzew owocowych, gdyby nie żałował dla nich kawałka ziemi i nauczył się koło nich chodzić.

Rozmaitości.

Ile papieru idzie na gazety?

Pewien francuski uczony obliczył że 30 tysięcy gazet, jakie wychodzą na świecie, potrzebują dziennie blisko milion kilogramów papieru; jeśli się do tego doliczy książki, jakich mniej więcej wychodzi dziennie 20, rocznie potrzeba 270 milionów 500 tysięcy kilogramów papieru. Do tego nie liczy się papier do pisania ani do pakowania.

A ponieważ papier wyrabiają z drzewa, więc by dostarczyć tak wielkiej masy papieru, trzeba rocznie na książki i gazety 1.250 milionów kubicznych metrów drzewa Gdy przyjmiemy, że z jednego morga gęstego lasu narąbać można 100 kubicznych metrów drzewa, to przez jeden rok na gazety i książki potrzeba takiego lasu, którykolwiek miał 12 i pół miliona morgów. Najwięcej, bo jedną trzecią część papieru zużywa Ameryka, gdyż tam wychodzi najwięcej gazet i książek.

Najniebezpieczniejsze zwierzę.

Pewien amerykański uczony Jackson, dowodzi, że najniebezpieczniejszem zwierzęciem świata jest mucha domowa. Włóczy ona z sobą kilka milionów zarazków najrozmaitszych chorób, jak tyfusu, dyfteryi, gruźlicy, cholery, ospy i t. p. Wskutek tego więc grzechotnik jest wobec niej zupełnie niewinnym szkodnikiem. Jackson dowodzi, że muchy zbierają zarazki niezmiernie szybko i że roznoszą je wszędzie. A ponieważ rozmnażają się niezmiernie szybko, więc są najstraszniejszym rozsadnikiem chorób wśród ludzkości.

Przeciw nauce strzelania w szkołach średnich.

W Pradze odbył się tymi dniami wiec czeskich profesorów szkół średnich (gimnazyalnych i realnych) z całego kraju, który uchwalił ostrą rezolucyę przeciw projektowanemu przez ministerstwo wprowadzeniu w VII. i VIII. klasie ćwiczeń w strzelaniu. Profesorowie protestują przedewszystkiem przeciw temu, że zamierzono wprowadzić taką nowość bez pytania się profesorów, oraz podnoszą inne trudności i szkody wynikające z tego zarządzenia. Wreszcie oświadczają profesorowie, że pod żadnym warunkiem nie podejmą się przy tej nauce nadzoru.

Nauka ćwiczeń wojskowych w szkołach rosyjskich.

Rosyjskie ministerstwo oświaty zamierza wprowadzić naukę ćwiczeń wojskowych jako przedmiot obowiązkowy nietylko do szkół średnich, ale i ludowych w państwie i w tym celu zasięgnęło zdania kuratorów okręgów naukowych, na co już otrzymuje odpowiedzi. Wszyscy kuratorowie przychylają się do projektu ministerstwa i sądzą, że nauka ćwiczeń wojskowych umożliwi powstanie straży ogniowych po wsiach.

Zmiany w budowie okrętów wojennych.

W Niemczech i Anglii przemyśliwają najwyższe władze wojskowe nad zbudowaniem małego okrętu pancernego, któryby mógł atakować i niszczyć największe okręty wojenne,

Taki okręt mieć będzie 86 metrów długości a 14 szerokości i nieznacznie tylko wystawać nad powierzchnię wody. Opancerzenie ma być tak silnem, że przebicie pociskami będzie prawie niemożliwem. Ów okręt ma mieć wieżę działową z dwoma olbrzymiemi działami szybkostrzelnemi.

Przeciw wrzucaniu zwłok do morza.

Biskup Filadelfii ks. Prendergast wniósł imieniem duchowieństwa petycyę do Towarzystwa żeglugi na Atlantyku, by w przyszłości nie wrzucano do morza ciał marynarzy lub pasażerów zmarłych w czasie podróży morskiej. Powodem petycyi było wrzucenie niedawno do morza ciała zmarłego na okręcie ks. Wiliama Mac Loughlima z Filadelfii, mimo. że kapitana okrętu proszono przy pomocy telegrafu bez drutu, by przywiózł ciało do lądu. Petycyę ks. Biskupa przyjęły Towarzystwa przychylnie.

Książę na zgromadzeniu robotniczem.

Książę, o którym mowa, pojawił się na zgromadzeniu robotniczem w Wiedniu, w dzielnicy Ottakring. Tym księciem był Sykstus książę Parmy, członek rodu dawniej panującego. Ks. Sykstus ma lat 24. Studyował sprawy robotnicze w Paryżu. Jest gorącym zwolennikiem programu chrześcijańsko-socyalnego. Zamierza obecnie pracować wśród robotników chrześcijańskich w Wiedniu.

W wiedeńskiem stronnictwie antysemickiem pracuje jeszcze inny książę, obecny marszałek Dolnej Austryi Jego Ekscel. książę Alojzy Liechtenstein. Pochodzi on także z rodu panującego. Jedna Liechtensteinówna jest żoną arcyksięcia. Książę Alojzy Liechtenstein wyrósł na polityka wśród zgromadzeń i ruchów ulicznych. Jest naprawdę demokratycznym księciem, popularnym w całym Wiedniu. Takich książąt niema Galicya od śmierci księcia Adama Sapiehy. Nasi książęta i wogóle nasi panowie nie wiele się nawet interesują sprawami społecznemi, a już najmniej ruchem robotniczym.

Skarby w lochach.

Nad Dniestrem o dwadzieście wiorst od stacyi Kodyma w majątku Zahnitkowie (w Rosyi) należącym obecnie do banku włościańskiego, podczas wiercenia studni natrafiono w starym parku na mur, głębokości 4 sążni. Ponieważ podanie ludowe głosi, że tam są lochy, a w nich

skarby, zaczęto kopać dokoła muru i istotnie dokopano się lochu, w którym znaleziono naczynie zawierające plan, a z którego okazało się, że loch dochodzi aż do Dniestru, i, zdaje się, ma połączenie z dawnym zamkiem w Raszkowie.

Znaleziono również spis skarbów, ukrytych w lochu, w którym, oprócz kilkunastu beczułek złota i srebra, wymieniono mnóstwo broni i siodeł. Plany i spis sporządzone są w języku polskim. Wejście do lochu zostało opieczętowane na żądanie pełnomocnika kamienieckiej filii banku włościańskiego, prócz tego postawiono straż koło niego do czasu przybycia członków komisyi z Petersburga.

Skazani na śmierć.

W roku 1899 skazanych zostało na śmierć w Austryi 69 osób, z których 4 stracono; w roku 1900 odsądzono 72, stracono 4, w roku 1901 odsądzono 64, stracono 4, w roku 1902 odsądzono 54, stracono 2, w roku 1903 odsądzono 64, stracono 3, w roku 1904 odsądzono 49, w roku 1905 odsądzono 43, w roku 1906 odsądzono 54, w roku 1907 odsądzono 46, a w roku 1908 odsądzono 45, a nie stracono w tych latach ani jednego; w roku 1909 odsądzono 33, a stracono 1.

Bogata żebraczka.

W Paryżu umarła tymi czasy żebraczka żyjąca z jałmużny. Ogólnie przypuszczano, że powodem śmierci był głód i brak opieki wobec czego sąsiedzi drogą składki urządzili dla niej pogrzeb. Jakież było jednak zdumienie, gdy w czasie przetrząsania rzeczy zmarłej znaleziono sumę 14 tysięcy franków w monetach złotych pośród stosów rupieci. Komisaryat policyi opieczętował pokój zmarłej dla dokładnego zbadania spadku.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Figle i żarty.

W szkole ludowej. — Nauczyciel: Antek, utwórz mi jakie zdanie.

— Uczń: Koń ciągnie wóz.

— Nauczyciel: dobrze! A teraz zmień mi to zdanie w ten sposób, aby czasownik miał tryb rozkazujący.

— Uczeń: Wio hejta!

Ofiara postępu. — Sędzia. Dlaczego kradłeś drut ze słupów telegraficznych?

Złodziej. — Czytałem w gazetach, proszę prześwietnego sądu, że teraz telegrafują bez drutu, ano chciałem tedy ludziom umniejszyć roboty i usunąłem drut.

Fatalizm. — Gość: Wszak ty z bratem jesteście bliźniakami?

Chłopiec: — Niestety!

Gość: — Czemu niestety?

Chłopiec: — Bo ojciec połapać się nie może, który z nas coś zbroił i za każdym razem bije... obydwóch...

W sądzie. — Sędzia: Oskarżeni jesteście o kradzież kury. Czy możecie podać jakich świadków w tej sprawie?

Oskarżony: Nie prześwietny sądzie; przy świadkach nie kradnę.

Żyd na okręcie. — Podczas silnej burzy na morzu, gdy okrętowi groziło rozbicie, żydek rozdrażniony woła:

— Panie kapitanie, każcie stanąć! Ja wysiądę i pójdę piechotą.

W karczmie. — Ej, Mośku cóż to, ty mi będziesz mierzył oszukaną kwartą. Czy to ja nie widzę, że miara ma dno dubeltowe, jedno niżej, drugie wyżej?

— Aj, waj, grojse zache! wy też macie na wierzchu sukmanę, a pod spodem kożuch, a przez to będziecie zawsze Wojciechem.

Pijak filozof. — Cego lizies w błoto, pijaku?

— Głupiaś babo, jak się psewrócę, to mi bańdzie miętko.